

Rozbójnik Boży

Douglas Hyde

ROZBÓJNIK BOŻY

Historia księdza Orione
„Ojca ubogich”

Tłumaczenie z angielskiego
ks. Edward Sobieraj FDP
ks. Tadeusz Witkowski FDP
ks. Łukasz Mikołajczyk FDP

Wydawnictwo WAM

Słowo wstępne prowincjała księży orionistów do III wydania

Tytuł oryginału: *God's Bandit*

© Wydawnictwo WAM, 2018

© Małe Dzieło Boskiej Opatrzności – Orioniści, 2018

Opieka redakcyjna: Klaudia Adamus

Korekta: Wydawnictwo Republika Ostrowska

Projekt okładki i skład: Wydawnictwo Republika Ostrowska

ISBN 978-83-277-1600-2

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

Druk: xxx • xxx

Publikację wydrukowano na papierze xxxxxxxxxxxxxxxx
dostarczonym przez xxxxxxxxxxxx.

Do grona świętych i błogosławionych należy wielki przyjaciel Polski i Polaków – nasz Założyciel święty Alojzy Orione. Papież św. Jan Paweł II beatyfikował ks. Orione 26 października 1980 roku i przedstawiał go Kościołowi jako „cudowny i genialny wyraz miłosierdzia chrześcijańskiego”, dodając: „z pewnością był on jedną ze świetlnych postaci tego wieku poprzez swoją otwarcie przeżywaną wiarę chrześcijańską”, miał hart i serce Apostoła Pawła, a zarazem [był] delikatny i wrażliwy, aż do łez, niestrudzony i odważny, aż do śmiałości, wytrwały i dynamiczny, aż do heroizmu”. A podczas kanonizacji, która miała miejsce 16 maja 2004 roku na Watykanie, św. Jan Paweł II nazwał ks. Orione „strategiem miłości”.

Świętość ks. Alojzego Orione wzbudziła i nadal rodzi podziw oraz pobożność wśród wiernych, wśród uczniów – wolę naśladowania go i pójścia za nim. Żywy pozostaje bowiem jego charyzmat, nieustanny i uniwersalny dar dla Kościoła. Dzięki światłu tego charyzmatu zaistnieli wspaniali naśladowcy ks. Orione; niektórzy z nich stali się wzorami dla dru-

gich, inni pozostawili głębokie ślady w życiu Kościoła i społeczeństwa, a jeszcze inni – choć mniej znani – „oddali swe życie w radosnej całopalnej ofercie miłości dla Chrystusa i dla dusz” (ks. Orione).

Dzieło ks. Orione – istniejące dziś w ponad trzydziestu krajach świata – obejmuje zgromadzenia zakonne Synów Boskiej Opatrzności, Małych Sióstr Misjonarek Miłosierdzia, Sakramentki Niewidome, Pustelników Boskiej Opatrzności, Orioński Instytut Świecki oraz Orioński Ruch Świecki – ogromną Rodzinę Oriońską, która promieniuje w świecie, przede wszystkim poprzez dzieła miłosierdzia.

Życiorys ks. Alojzego Orione próbowało napisać wielu autorów: zarówno spośród jego synów duchowych, jak i wielu spoza ich grona. Wśród biografii dostępnych w języku polskim najbardziej znane w Polsce jest dzieło angielskiego autora Douglasa Hyde’a *Rozbójnik Boży (God’s Bandit)* z 1952 roku. Po raz pierwszy ukazało się ono w Polsce w 1980 roku dzięki tłumaczeniu z języka angielskiego naszych współbraci: ks. Edwarda Sobieraja FDP i ks. Tadeusza Witkowskiego FDP.

Niniejsze wydanie *Rozbójnika Bożego* jest już trzecim, uzupełnionym o fragmenty usunięte przez cenzurę w latach osiemdziesiątych i wzbogaconym o fragment homilii Ojca Świętego Jana Pawła II ze Mszy Świętej kanonizacyjnej.

Dziękuję Fundacji Iskra Boskiej Opatrzności, to znaczy jej niestrudżonym pracownikom: ks. Grzegorzowi Sikorskiemu FDP, p. Andrzejowi Walczakowi, ks. Łukaszowi Mikołajczykowi FDP, a także ks. Sylwestrowi Sowizdrzałowi FDP za podjęcie się redakcji tego trzeciego polskiego wydania. Wyrazy wdzięczności składam również na ręce p. Katarzyny Pytlarz i całej redakcji Wydawnictwa WAM w Krakowie.

Zatem czytając tę biografię, starajmy się czerpać inspirację do naśladowania Chrystusa w naszym codziennym życiu tak, jak to czynił św. Alojzy Orione: poprzez służbę najuboższym i umiłowanie Jezusa, Maryi, Papieża i dusz, które Pan Bóg stawia na drodze naszego życia.

Warszawa, 12 marca 2018 roku

*ks. Krzysztof Baranowski FDP
prowincjał*

Od tłumaczy

Autor *Rozbójnika Bożego* – Douglas Hyde jest Anglikiem. Przyszedł na świat w 1908 roku w rodzinie pastora. Uzyskał wyższe wykształcenie, ale nie poszedł w ślady ojca, lecz przystąpił do angielskiej lewicy. Z tym nurtem życia politycznego Anglii był związany do 1948 roku. Odtąd zmienił przekonania i przeszedł na katolicyzm, by oddać mu między innymi swoje pióro.

Hyde swego czasu poznał wielkiego pisarza włoskiego Ignacego Silone, który mu dużo opowiadał o swoim przyjacielu – księdzu Alojzym Orione i zafascynował go tym „dziwnym kapłanem”. Między innymi od tego pisarza dowiedział się, że ksiądz Orione pomógł mu w ucieczce do Szwajcarii przed więzieniem faszystowskim, dowiedział się zresztą dużo więcej...

Postać tego księdza rzeczywiście bardzo zainteresowała Hyde'a, tak że w latach pięćdziesiątych przyjechał do Włoch, żeby się bliżej zapoznać z jego zgromadzeniem i zebrać materiał do biografii.

Podczas zbierania wiadomości, zarówno w archiwach, jak i wśród osób, które znały księdza Orione

i stykały się z nim, fascynacja osobą założyciela Zgromadzenia Księży Orionistów rosła z każdą nową uzyskaną informacją, nowym dokumentem. Następnie Hyde opracował te materiały – przytaczając bardzo często wypowiedzi swoich rozmówców – i zatytułował *God's Bandit (Rozbójnik Boży)*.

Tłumacze starali się oddać jego myśl możliwie najlepiej, ale często niektóre sformułowania opuszczali, uważając je za mało istotne dla polskiego czytelnika. Nie uszczuplili jednak w niczym „substancji” dzieła – i ksiądz Orione, bohater opracowania, i Hyde, jego autor, pozostali w nim sobą.



PROLOG



W mieszczącej się w suterrenach Szkoły Zawodowej w Wenecji jadalni o kamiennej posadzce furtian podawał mi kolację: chleb, specjalny gatunek sera i czerwone wino. W rzeczywistości nie był to zwykły furtian. Stawiając posiłek na nieheblowanym stole, mówił bez przerwy dźwięcznym basem, a płynnej jego wymowie towarzyszyły żywe, pełne wyrazu gesty. Był niskiego wzrostu, krępej budowy, o potężnej klatce piersiowej, którą śnieżna biel koszuli zdawała się jeszcze poszerzać.

– Z taką klatką piersiową nadawałby się pan na śpiewaka operowego – schlebiałem mu.

– Byłem nim, proszę pana, byłem niegdyś – odpowiedział. – Już jako chłopiec marzyłem o karierze śpiewaka. Dorastając, utwierdziłem się w przekonaniu, że Bóg obdarzył mnie pięknym głosem. Moje nadzieje się spełniły. Zostałem śpiewakiem operowym. Zaangażowano mnie do La Scali w Mediolanie, co jest w ogóle największym zaszczytem dla każdego śpiewaka. Ja osobiście, będąc mediolańczykiem, uważałem to za największe szczęście, jakie mnie mogło spotkać. Śpiewałem partie solowe w kilku najśłyn-

niejszych operach. Oto tak... – odrzucił w tył głowę, wyprężył pierś, a z jego ust po pustych korytarzach szkoły popłynęła kaskada dźwięków.

– Pan ma jeszcze wspaniały głos! Co pan tutaj robi? Dlaczego opuścił pan La Scalę? – zapytałem.

Jego odpowiedź doskonale harmonizowała z wrażeniami, jakie właśnie odniosłem.

– Pewnego wieczoru wracałem z opery. Natknąłem się na księdza Orione. Odezwał się do mnie i w tej samej chwili odczułem na sobie jego oddziaływanie: wiedziałem, że pójdę za nim choćby na koniec świata. Nie potrafię panu wytłumaczyć, jak się to stało. Opowiadał mi o swojej pracy, a na moje pytanie, czy mógłbym mu być w czymś pomocny, odrzekł, że potrzebuje palacza do szkoły, w której chłopcy z ulicy powinni się czegoś pożytecznego nauczyć. Tę właśnie szkołę otworzył tutaj w Wenecji. Wyraziłem zgodę na tę pracę, udałem się z nim do Wenecji i już mnie La Scala więcej nie zobaczyła.

Było po północy, gdy przybyłem do Mediolanu. I kiedy znalazłem się w Małym Cottolengu księdza Orione, udałem się natychmiast na spoczynek, nie rozejrzawszy się wcale w rozkładzie gmachu i nie zadawszy sobie trudu dociekania, czemu służy.

Następnego ranka wybrałem się na poszukiwanie łazienki i wnet pobłądziłem w labiryncie korytarzy. Nagle otworzyły się szeroko drzwi i wypadł z nich siedzący na wózkowi wrotkowym chłopak bez nóg; szurnał

koło mnie, wpadł do przeciwległych drzwi i zniknął w pomieszczeniu, gdzie prawdopodobnie była łazienka. Przez otwarte drzwi, z których wyjechał, zobaczyłem wielką salę, gdzie chłopcy bez rąk i nóg dźwigali się z łóżek.

I tak zorientowałem się równocześnie, gdzie jest łazienka i jakie jest przeznaczenie zakładu. Był to jeden z sześciu domów księdza Orione dla dzieci – kalek wojennych.

Później, gdy wybrałem się na zwiedzanie domu, spotkałem jego mieszkańców wracających po Mszy Świętej z kaplicy mieszczącej się w głębi kompleksu zabudowań. Była to niezwykła gromada odzwierciedlająca wielorakość wykonywanej tutaj pracy i sprawowanej opieki. Przebywały tu staruszki, młode dziewczęta – kaleki, niewidome, stare, upośledzone umysłowo kobiety, okaleczone przez wojnę dzieci, często sieroty. Kiedy szedłem dalej szerokim korytarzem, obok tych odepchniętych i odrzuconych, mijałem jasne pomieszczenia pełne obłąkanych dziewcząt, małych ludzkich zwierzątek, oraz przykutych chorobą do łóżek staruszek, które już nie potrafiły zapanować nad swoimi potrzebami fizjologicznymi.

Pod jednym i tym samym dachem przebywało dwieście kalekich dzieci, sto osieroconych dziewcząt, pięćdziesiąt dziewcząt upośledzonych umysłowo (część z nich w stopniu głębokim), zniekształconych, pokrzywionych, sto kobiet chorych psychicz-

nie, dwieście kobiet starszych, zgrzybiałych, nieuleczalnie chorych. Razem sześćset pięćdziesiąt osób, o które nikt inny nie chciałby się zatroszczyć. Opiekowali się nimi członkowie Zgromadzenia Synów Boskiej Opatrzności i Małych Misjonarek Miłosierdzia – dwóch zakonów założonych przez księdza Orione.

Burmistrz Florencji, La Pira, to człowiek miły i nieprzeciętny. Jest pierwszym obywatelem jednego z najpiękniejszych miast świata, pracuje w jednym z jego wspaniałych gmachów, a mieszka w celi mniszkiej. Na umówiony obiad zjawił się na *vespie* – skuterze młodego człowieka, który akurat wtedy przejeżdżał przed portalem Palazzo Vecchio, gdy burmistrz opuszczał siedzibę urzędu.

Obiad spożywaliśmy przy stole, na podeście klatki schodowej, w pewnym domu przeznaczonym dla małoletnich przestępców. Byli wśród nich skazani za kradzież, których umieszczono tutaj zamiast w więzieniu; młodzi włóczędzy i bezdomni ulicznicy – w sumie czterdziestu młodzieńców między siedemnastym a dwudziestym pierwszym rokiem życia. Wszyscy oni weszli już w konflikt z prawem i porządkiem społecznym. Mimo to nie stosuje się tu zamków w drzwiach ani surowego regulaminu.

Dozór sprawował jedynie niepokąźny, zawsze uśmiechnięty, starszy już ksiądz Secchiaroli ze Zgromadzenia Synów Boskiej Opatrzności. Członkowie tej opornej „familii” w każdej chwili mogli wykończyć

go i ulotnić się. To się jednak nie zdarzyło. Między stu pięćdziesięcioma młodocianymi, którzy od założenia dom ten zamieszkiwali, znalazł się tylko jeden recydywista. Przeważnie czują się oni tu jak u siebie, kochają ten dom jak ognisko rodzinne, które większość z nich znalazła po raz pierwszy w życiu. Niektórzy, mimo że już poprzednio karani, pracują u znanych złotników i jubilerów we Florencji. Z poruczenia księdza Secchiarolego cały dzień mają do czynienia ze srebrem i złotem. Jeszcze żaden z nich nie sprawił zawodu.

– Jak on to robi? – zapytałem mego towarzysza zjadającego makaron. – Czym to wytłumaczyć?

La Pira rozłożył ręce charakterystycznym szerokim gestem.

– Większości członków jego zgromadzenia udało się z czasem, przynajmniej w pewnej mierze, przyswoić tę lub ową wybitną cechę założyciela. Ksiądz Secchiaroli ma coś z potężnej osobowości księdza Orione, którego cechowało wielkie umiłowanie człowieka. Z tego on właśnie czerpał i w tym leży jego moc. Ponieważ jest silną indywidualnością, może rezygnować z krat i surowych przepisów; nie potrzebuje też uciekać się do pomocy policji.

W wielkim ośrodku robotniczym w Turynie mieszkali liczni pracownicy przemysłowi, zatrudnieni przeważnie w wielkich zakładach Fiata.

Tam mieli swoje mieszkania i dobre utrzymanie; korzystali z koncertów, kursów artystycznych i mu-

zycznych, bogatego zbioru płyt i dokształcenia we wszystkich dziedzinach od ekonomii do filozofii.

– Poza tym – mówił mi kierownik, ksiądz Pollarolo – pomagamy im przygotować się na dzielnych przywódców środowiska robotniczego, aby jako członkowie rad zakładowych lub związków zawodowych byli gotowi walczyć zdecydowanie, gdy zajdzie potrzeba; a także wspieramy ich we właściwym ukierunkowaniu ich aktywności przywódczej. Ksiądz Orione żywił przekonanie, że robotnik powinien walczyć o sprawiedliwość społeczną, a społeczeństwo ze swej strony musi dołożyć wszelkich starań, aby podnieść jego godność.

Jako były działacz lewicy rozmawiałem z Ignacym Silone w jego mieszkaniu w Rzymie. Sławny ten powieściopisarz, członek Niezależnej Partii Socjalistycznej, jako chłopiec również doznał opieki księdza Orione.

– Bardzo pana proszę – nalegał – jeżeli pan będzie o nim pisał, niech pan nie robi z niego filantropa katolickiego. W ten sposób pan go pomniejszy. Naturalnie, opiekował się bliźnimi jak to i inni czynią, dążył do sprawiedliwości społecznej, ale jego nadzwyczajna siła i moc tkwiła w tym, że we wszystkim, co czynił, polegał wyłącznie i całkowicie na Bogu.

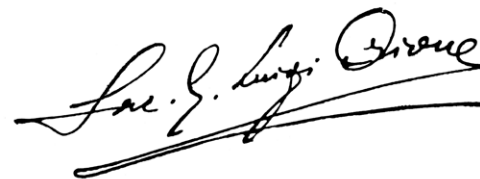
Dnia 7 kwietnia 1949 roku przybył do Londynu ksiądz Paweł Bidone, kapłan ze Zgromadzenia Synów Boskiej Opatrzności. Nie znał języka angielskiego. Ca-

łym jego majątkiem było dziesięć szylingów oraz karteczka z nazwiskiem i adresem jedyne go angielskiego pośrednika, życzliwego człowieka znanego zakonowi. Przywiózł jednak ze sobą niezłomne przekonanie, że Opatrzność Boska wyznaczy mu pracę i zadanie.

2 lutego 1952 roku, a zatem w niecałe trzy lata po jego przybyciu, wprowadził się pierwszy staruszek do urządnego przez księdza Bidone domu dla starców w południowej dzielnicy Londynu. Dom kupiono za wysoką cenę i był obciążony okazałą hipoteką, ale koszty byłyby jeszcze większe, gdyby nie dobrowolna, wydatna pomoc robotników sąsiednich dzielnic.

Po następnych trzech latach otworzono drugi dom. Domy dla starców odpowiadały palącym potrzebom, gdyż doła ludzi w podeszłym wieku przedstawia się w państwach powojennego dobrobytu najgorzej.

Hojność społeczeństwa angielskiego, która umożliwiła te niezwykle osiągnięcia, dowodzi, że ludzkość doszła do przekonania, iż państwowa sprawiedliwość społeczna, chociażby z woli ludu wypływała, nie zawsze może zaradzić nędzy społecznej. Konieczna jest jeszcze obfita i nieograniczona chrześcijańska miłość bliźniego.

A handwritten signature in black ink, reading "Fr. P. Luigi Orione". The signature is written in a cursive, flowing style with a long horizontal line underneath.



ROZDZIAŁ I
SYN BRUKARZA



Gdy Rzymianie budowali drogę prowadzącą przez ich obóz wojenny w Pontecurone, nie mogli przewidzieć, że kiedyś grozić ona będzie niebezpieczeństwem śmierci zmotoryzowanym ludziom XX wieku.

Ta sama droga prowadzi dzisiaj, jak niegdyś, przez środek wsi Pontecurone. Tworzą ją tutaj kocie łby, poprzecinane traktem z płaskich płyt odpowiadającym dokładnie rozpiętości kół samochodów. Kiedy jadący z Mediolanu do Genui, i odwrotnie, z Genui do Mediolanu, spotykają się właśnie na tym spornym odcinku, następuje walka o pierwszeństwo. Słabsi są skazani na kocie łby, zwycięzcy pędzą przez wieś traktem wytyczonym środkiem drogi.

W 1872 roku, kiedy urodził się Alojzy Orione, trasa ta nie znała jeszcze śmiertelnych katastrof; od dwóch tysięcy lat mało się tu ruch zmienił.

Pontecurone jest i obecnie, mimo ożywionego ruchu samochodowego oraz czterech tysięcy mieszkańców, trzech cegielni, fabryki tkanin z sześciusetosobową załogą, senną i brudną dziurą w północnej części Piemontu, blisko lombardzkiej granicy. Wtedy musiało być jeszcze bardziej osowieale i zaniedbane.

W dobudówce większego domu na skraju Pontecurone żyli Wiktor Orione, majster brukarski, i jego żona. Jako brukarz Wiktor był odpowiedzialny za stan okolicznych dróg – znosił głązy z rzeki, obrabiał je i układał, naprawiając drogi, jeśli była potrzeba.

Prosta ludność wieśniacza poważała brodatego Wiktora, byłego garybaldczyka. Znał się na swoim rzemiośle, był solidny i uczciwy, wymagający, lecz sprawiedliwy wobec swojej brygady. Potrafił się unieść i wydawać głośno rozkazy, ale nie był zawzięty ani mściwy i nie zrażał sobie pomocników.

Cechowała go wielka oszczędność. Aby nie tracić grosza na środki lokomocji, wyruszał pieszo nocą w niedzielę do oddalonego o pięćdziesiąt kilometrów miejsca pracy. W przeciwieństwie do większości swoich ziomków stronił od gospody, a w każdą niedzielę widziano go w kościele na Mszy Świętej.

– Przy tak wspaniałej kobiecie, jaką była jego żona, nie mógł zejść na manowce, choćby mu na to przyszła ochota – mówił pewien dziewięćdziesięciodziewięcioletni starzec, który go jeszcze pamiętał. – Nie, żeby był pantoflarzem, na to był za surowy i nieustępliwy.

Ta uwaga nie była naganą dla Wiktora, ale pochwałą dla nieprzeciętnego charakteru jego żony.

Cały dzień spędziłem na rozmowach z ludźmi, którzy pamiętali jeszcze rodzinę Orione z czasów, kiedy Wiktor i Karolina wychowywali swoje dzieci.

Najbardziej miarodajną i pomocną w moich poszukiwaniach okazała się pani Joanna, dziewięćdziesięcioletnia niewysoka staruszka spędzająca swoje ostatnie lata w Domu Starców Sióstr Małych Misjonarek Miłosierdzia. Jej jasna twarzyczka o wesołych czarnych oczach żywo odzwierciedlała przeżycia, jakie wywoływały w niej moje słowa. Rozmowa toczyła się gładko i przyjemnie. Staruszka była realistką. Rzadkie, białe włosy miała zebrane w mały kok. Z łatwością przenosiła się pamięcią w przeszłość sprzed osiemdziesięciu lat, kiedy Alojzy był małym chłopcem, a ona nieco starszą dziewczynką.

– To była na wskroś uczciwa rodzina – mówiła. – A matka Alojzego, pochodząca z sąsiedniej miejscowości Castel Nuovo, była rzeczywiście bardzo, bardzo dobra. Przystojna, poważna, była świętobliwą kobietą, prawdziwą świętą. Dbała o porządek, była wymagająca, dzieci trzymała krótko, karała rzadko. Jedno słowo mamy wystarczało. Gdy karała, czyniła to gruntownie. Była dobrą gospodynią, dobrą żoną, dobrą matką.

Mimo że była żoną prostego robotnika, cieszyła się wyjątkowym poważaniem kobiet w Pontecurone. Staruszka wspominała i o tym, jak Karolina przystawała, by zwrócić sąsiadkom uwagę i przemówić do ich sumienia, gdy słyszała obmowy lub przekleństwa.

– Czy jej tego nie brano za złe? Była przecież jedną z nich? – zapytałem.

Staruszka podniosła ręce, otworzyła szeroko bezzębne usta.

– Bynajmniej, kobiety za bardzo ją poważały, były przekonane o jej prawości, nie było można niczego jej zarzucić, wprost ją podziwiano. Tak samo było, gdy zachęcała do udziału we Mszy Świętej. Wiedziały, że Karolina nie tylko uczęszcza na Mszę Świętą, lecz korzysta z każdego wyjścia z domu, by wpaść do kościółka i pomodlić się. Przyjmowano więc chętnie jej uwagi i napominania. Miała silny charakter, a przy tym dobre serce. Nie, nie – niczego nie brano jej za złe.

Na uwagę o odwiedzinach kościoła mój towarzysz, ksiądz Bidone, przypomniał sobie anegdotę, która o niej krążyła.

– Słyszałem, że matka Alojzego przed jego urodzeniem ofiarowała Madonnie róże, aby uprosić dla dziecka szczególne łaski. Czy pani wie coś o tym?

Znowu kościste, małe ręce uniosły się nieco.

– Niech pan w to nie wierzy, taka ona nie była. W swojej pobożności była prawa i solidna jak we wszystkim. Do kobiet wyczyniających takie rzeczy ona nie należała.

A kiedy moja rozmówczyni zaczęła opowiadać o dzieciach i kobietach wiejskich, jak rokrocznie wybierały się w czasie żniw na pola, by zbierać kłosa, przed oczami stanął mi jak żywy mały wiejski światek Pontecurone sprzed osiemdziesięciu lat.

Rodzina Orione brała w tym udział: Alojzy, najmłodsze dziecko, jego brat Albert i żona najstarszego brata Benedykta. Podczas wędrówki polami w celu zbierania kłosów dzieci prędko stygły w zapale i zaczynały zabawę, a żona Benedykta korzystała chętnie z chwili odpoczynku.

– Dalej, dalej – popędzała swą gromadkę niestrudzona Karolina – to jest chleb, a chleb jest czymś świętym.

I znowu podejmowano pracę bez niechęci, idąc za dobrym przykładem matki, która siebie nigdy nie oszczędzała.

Dla niej chleb miał jakieś prawie mistyczne znaczenie, a zbieranie kłosów było jakby uświęconym obrzędem. Tkwiło to w niej tak głęboko, że i Alojzemu udzieliło się na całe życie tak dalece, iż w czterech założonych przez niego zgromadzeniach żyje troska, by nie zmarnowała się nigdy ani kromka chleba.

Pewnego razu, gdy podróżowałem z dwoma wybitnymi członkami Zgromadzenia Synów Boskiej Opatrzności z Florencji do Rzymu, przypomniał mi się ten charakterystyczny rys Karoliny. Spożywaliśmy wtedy posiłek, jaki można kupić w zgrabnym opakowaniu we wszystkich włoskich pociągach. Zostało nam po bułeczce. Właśnie zamierzałem moją wrzucić do kosza wraz z opakowaniem i papierowym kubkiem, gdy zobaczyłem, że moi towarzysze swoje resztki starannie zapakowali, by posilić się nimi później.

Odwiedzając tak mieszkańców wsi, wiele razy sły-
szałem opowiadanie o cudownie dzwoniących kwia-
tach kampanuli.

Nielatwo jest zbadać losy Włocha, wieśniaka już za
życia otoczonego nimbem świętości, którego proces
kanonizacyjny jest w toku. Fakty trzeba oczyścić z le-
gend, zwykle wydarzenia oddzielić od nadzwyczajno-
ści i cudowności.

Pobożny Włoch lubuje się w zdarzeniach cudow-
nych. Tak jak Hiszpan, Irlandczyk, mieszkaniec Ame-
ryki Południowej – nie stracił on nigdy łączności
z epoką pierwotnej żywej wiary. W cudach nie wi-
dzi przeto nic nieprawdopodobnego, lecz coś, czego
można się spodziewać od ludzi współdziałających
z Bogiem. Skłonny jest w cudach upatrywać dowód
świętości. Dla mnie, sceptyka o zupełnie innej men-
talności, są one wyłącznie zjawiskiem wtórnym. Ży-
cie wewnętrzne świętego, jego samozaparcie, postawa
wobec otoczenia i jego działalność decydują o wszyst-
kim. Dopiero to stanowi dla mnie kryterium świętości.

Już na długo przed śmiercią Alojzego, bardzo wiele
cudów stwierdzonych lub zmyślonych łączono z jego
osobą. Z łatwością można by napisać dzieło o niezwy-
kłych wydarzeniach jego życia.

Dlatego z góry postanowiłem wszystkie te cudow-
ne opowiadania traktować jak bajkę. Trzymałem się tej
zasady tak długo, dopóki ważne przyczyny nie zmusi-
ły mnie do zmiany zdania. Sporządziłem wywiad z Er-

nestem Sacchim. Leżał w swojej czystej pościeli, liczył
osiemdziesiąt trzy lata i był rówieśnikiem Alojzego
Orione. Chodzili razem do szkoły. Signor Sacchi zaraz
na wstępie zaczął mi opowiadać, jak to mały Alojzy
zbierał dzwoneczki polne, układał je w bukiet, a kwia-
ty w jego rękach wydawały cichy dźwięk.

Przerwałem mu energicznie: „Ta historia może
być tak samo prawdziwa jak zmyślona. Wobec czasu,
który upłynął, w żaden sposób ani ja, ani pan spraw-
dzić tego nie możemy, lecz pan może mi opowiedzieć
coś nieporównanie ważniejszego. Mnie i moim zna-
jomym jeszcze nigdy kwiaty nie dzwoniły. Takie zja-
wisko czyni Alojzego Orione człowiekiem innej ka-
tegorii niż my wszyscy, a to do mnie nie przemawia.
Przecież był zwyczajnym chłopcem wiejskim. Bawili-
ście się razem, znał pan jego usposobienie, jego tem-
perament i o tym proszę mi opowiedzieć”.

Z początku pan Sacchi, gdy mu tę jego najefek-
towniejszą historyjkę popsulem, czuł się dotknię-
ty, lecz wnet jako człowiek inteligentny zorientował
się, o co mi chodzi. Podobnie jak Wiktor Orione i on
kierował grupą robotników drogowych. Był fachow-
cem, który przewodził innym. Pozwoliłem jego pa-
mięci przez kilka chwil wędrować po szlakach bar-
dziej przyziemnych.

Potem zaskoczyłem go nagłym pytaniem: „Czy
w szkole i na ulicy Alojzy bił się grubiańsko, czy też
w sposób godny?”.

Staruszek namyślał się z wysiłkiem: „On bił się rzadko, to był uczciwy chłopak, bójek unikał. Przy tym jednak był wybuchowy; sprowokowany bił krótko, lecz mocno, ale szybko uspokajał się. Bójki takie zdarzały się rzadko. Widziałem je chyba raz lub dwa razy”.

Badalem dalej: „Pan mówi, że był porywczy, lecz nie zawzięty. Czy znał się na boksie? Czy bił w złości w twarz, kopał w brzuch, rzucał o ziemię. Co w ogóle wyczyniał?”.

– Przyczepiał się, ot tak... – oczy chorego na moment zabłyśły, gdy w pamięci odżyły lata dzieciństwa, i uczynił ręką gwałtowny ruch uderzenia, palce rozczapierzył jak szpony. – Drapał i darł. A tego nie powinien był robić, tak się nie walczy, bo miał dosyć sił, by napastnika pokonać w inny sposób. Lecz pan rozumie, to się działo tylko w uniesieniu. Nie był bowiem łagodny z natury.

Zmieszał się zaraz, jakby zdradził przyjaciela, jakby uwłaczał sobie, mówiąc o Alojzym w ten sposób, zamiast go bronić. Dla mnie zaś Alojzy stał się istotą z krwi i kości, ucieleśnił się, ożył. Jego temperament, jego rzadkie a pospolite wybryki uczyniły mi go bliższym niż dzwoniące kwiatki.

Opowiadanie pana Sacchiego skonfrontowałem ze wspomnieniami dziewięćdziesięcioletniego Fryderyka Bozziego, którego spotkałem w mieszkaniu jego syna, urzędnika poczty. Ten krępował się mniej niż

poprzedni rozmówca, gdyż nie był z Alojzym tak zaprzyjaźniony jak Sacchi.

– Z natury był skory do bójek. Nie chcę przez to powiedzieć, jakoby szukał zaczepek, chociaż miał ku temu liczne okazje. Podobnie jak matka był prawdziwie pobożny, lecz sprowokowany porywał się do bójki – mówił. – Było to u niego zupełnie naturalne jak u każdego normalnego chłopca. Wiedział z góry, że matka go za to ukarze, a jednak bił się czasem, gdy tracił panowanie nad sobą. Nie zaczepiał nikogo, ale też nie przepuścił nikomu.

Spotkałem w sumie z pół tuzina mężczyzn i kobiet pamiętających mniej lub więcej chłopięce lata Alojzego. Ich opowiadania składały się na obraz żywego, miłego, inteligentnego i ułożonego chłopca. Był dobrze zbudowany, miał oczy uderzająco ciemne, gęste brwi, uszy wydatne, ręce duże. Kobiety zachowały dla niego sympatię. Jedna z nich mówiła z odcieniem melancholii: „Dziewczętom się podobał, niejedna się za nim oglądała, lecz on już od najwcześniejszej młodości czuł się jak przyszyły ksiądz i dziewczęta nie obchodziły go zupełnie”.

Jako chłopiec broił razem z innymi, był jednak pobożniejszy od nich, choć nie zachowywał się jak świętoszek. Nie zakrawał na zniewieściałego niedołęgę; był wybuchowy, ale nie miał opinii brutalnego zawiadaka.

Miał w sobie coś niezwykłego. To było jasne. Obecnie – z perspektywy czasu – wydawało się starcom,

z którymi rozmawiałem, że oni zawsze byli przekonani, iż Alojzy dokona kiedyś czegoś nadzwyczajnego. Gdy dociekałem źródła ich pewności, przekonałem się, że nie było to zwykle mędrkowanie po fakcie.

W szkole był najlepszym uczniem. Uczył się szybko i dużo; pojmował prędko. W okresie dojrzewania matka miała na niego przemożny wpływ. Był najzdolniejszym i najbardziej wyróżniającym się spośród jej trzech synów. Nie faworyzowała go jednak, a o rozpieszczaniu nie mogło być w tej rodzinie w ogóle mowy. Mój główny świadek, niewysoka dziewięćdziesięcioletnia Joanna oświadczyła: „Matka była z niego dumna, kochała go bardzo, nie okazując mu tego; pieszczoty i pocałunki były jej nieznane”.

Alojzy odwzajemniał się matce głębokim przywiązaniem. Całe życie szczyił się swoją matką i zawsze znalazł czas, aby ją odwiedzić i opowiedzieć o swoich sukcesach czy niepowodzeniach.

Od niej też miał to umiłowanie wiejskiego kościółka; dom Boży był dla niego domem rodzinnym.

Dzwon kościelny w jego rodzinnej wiosce nie był poruszany liną. Aby go wprawić w ruch, trzeba było wspinać się na skrzynkowe oszalowanie. Alojzy zgłosił się chętnie do tego zajęcia. Już w pierwszym dniu dzwonił tak długo i gwałtownie, że skarżono się u proboszcza, co zresztą niewiele poskutkowało. Mieszkańcy nadal głośno protestowali z ulicy, a Alojzy udawał, że ich nie słyszy.

Jako chłopiec dobrze wychowany cieszył się uznaniem wśród wieśniaków. Sam zaś darzył szacunkiem wyłącznie tych, którzy według jego przekonania na to zasługiwali.

Pewnego przedpołudnia miejscowy proboszcz, lekarz i adwokat gwarzyli sobie, siedząc na osłonecznionej ławce. Alojzy przechodził w pobliżu i nie mógł uwierzyć, jak można o tej porze siedzieć beczynnie, gdy inni pracują w polu lub przy warsztatach. To było całkiem sprzeczne z postawą matki i ciężko pracującego ojca. Oburzony, wznicił grubym kijem olbrzymią chmurę pyłu, wykrzykując: „Nie wypada się tutaj w słońcu wygrzewać, gdy cała wieś jest przy robocie!”.

Można sobie wyobrazić zdziwione miny wiejskich dygnitarzy. Matka wkrótce się o wszystkim dowiedziała i ukarała go dotkliwie. Jeszcze po latach przypominał sobie Alojzy odebrane cięgi, ale uważał, że zdziwienie owych notabli wyrównało otrzymane klapsy.

Wyrażanie się jasne i dobitne, nawet z pomocą żywej gestykulacji, było zawsze cechą charakterystyczną księdza Orione.

W kościele parafialnym był duży krucyfiks z bardzo realistycznie – na włoską modłę – odtworzoną postacią Ukrzyżowanego. Raz w czasie Wielkiego Postu Alojzy wyszedł na pole, napotkał krzew zwany *spina Christi*, naciął z niego gałązek i upłótl piękną koronę cierniową. Zaniósł ją następnie do kościoła i włożył na gipsową koronę rzeźby. Do dziś, zachowany po

siedemdziesięciu latach, krucyfiks ten z koroną Alojzego znajduje się pod szkłem w tamtejszym kościele. Pobożni mieszkańcy Pontecurone opowiadają związaną z tą pamiątką historię i uważają to za rzecz naturalną... My zaś, zwłaszcza z naszą mentalnością Anglosasów, od czterech wieków oderwani od prawdziwej wiary, skłonni jesteśmy widzieć w tym pewną przesadę – jakby zarodek okrucieństwa w młodym Orione – tak samo jak rażą nas ubrane w habity szkielety w trumnach, trupie czaszki na biurkach zapracowanych przełożonych zakonnych i mnóstwo innych rzeczy dowodzących jednak zdrowego ustosunkowania się zarówno do problemu własnej śmierci, jak i do śmierci Boga-Człowieka. W każdym razie pewne jest to, że w życiu Alojzego Orione uderza wręcz coś przeciwnego niż okrucieństwo.

Większą część wolnego czasu spędzał Alojzy w obrębie kościoła. Pragnąc być zawsze pożyteczny, porządkował krzesła po zebraniu Sodalicji Mariańskiej oraz sprzątał kościół przed niedzielną Mszą Świętą.

Nic więc dziwnego, że mając lat trzynaście, zapragnął rozpocząć przygotowanie do stanu kapłańskiego. Ale jak? Pieniądzy nie było. Nie było też widoku na pozyskanie jakiegoś możnego protektora.

Pewnego dnia, gdy śnieg pokrywał ziemię, udał się Alojzy na pielgrzymkę do kaplicy w pobliżu wsi Fogliata. Kaplica była w ruinie, ale znajdował się tam obraz Maryi Panny otaczany przez wiernych wielką

czcią. Przed tym obrazem błagał o oświecenie oraz z prostotą dziecka, którą w całym życiu się odznaczał, zaproponował Matce Bożej umowę: „Daj mi okazję do zbadania mego powołania, a ja odbuduję Ci tę kaplicę”. Obiecał i dotrzymał słowa.

Nadarzyła się sposobność wstąpienia do zakonu franciszkanów. Dnia 4 września 1885 roku wyruszył z matką do Instytutu św. Antoniego w pobliskim mieście Vogherze, by wstąpić do seminarium kształcącego przyszłych franciszkanów. Całą jego skromną wyprawę, zamkniętą w starym blaszanym kufrze, ciągnął na małym wózku osiołek.

Alojzy szarpnął za dzwonek klasztorny, który był dla niego sygnałem wejścia w nowe życie, o jakim, choć był jeszcze dzieckiem, marzył dzień i noc.

Otworzył mu drzwi zgryźliwy furtian, obrzucił ekwipunek szyderyczym spojrzeniem i mruknął:

– Skąd przychodzisz?

– Z Pontecurone.

Brat furtian roześmiał się na całe gardło.

– Pontecurone to tam, gdzie wszyscy mają wola.

Potem jeszcze raz obejrzał nędzny kuferek, potrącił go nogą i szydził:

– A cóż to takiego?

Na szczęście w tym momencie zjawił się gwardian i uwolnił przybysza od dalszych upokorzeń. Dzięki uprzejmości gwardiana wkrótce chłopiec poczuł się jak w domu.

Stary budynek klasztorny jest dziś własnością Zgromadzenia Synów Boskiej Opatrzności, które założył właśnie Alojzy Orione.

Odrestaurowany i do pewnego stopnia zmodernizowany ma jednak dzisiaj wszystkie braki i niewygody starych budowli. Przed siedemdziesięciu laty musiały tam panować iście spartańskie warunki. Tylko dziesięciu postulantom i pięciu braci zajmowało gmach mogący pomieścić parokrotnie większą liczbę osób. Mnisi żyli też w dotkliwym ubóstwie.

Po półrocznym pobycie, w Wielki Czwartek 1886 roku, na trzy dni przed terminem obłóczyn Alojzy ciężko zachorował. Przeziębienie pociągnęło za sobą zapalenie płuc. Nic dziwnego. Alojzy, liczący wówczas czternaście lat, dzień i noc przygotowywał się gorliwie modlitwą i nauką do uroczystego aktu obłóczyn, który miał odbyć się w Niedzielę Wielkanocną. Aby nie zaspać, kładł się do twardego łóżka, dodatkowo wkładając doń kawałki drewna. Spędzał też większą część nocy, klęcząc na kamiennej posadzce, podczas gdy inni chłopcy spali. Tak przeszedł cały chłodny marzec.

W Wielki Czwartek Alojzy zemdlął w kościele. Zanimiono go do infirmerii i stwierdzono zapalenie płuc. Wezwano rodziców. Alojzy, leżąc w wysokiej gorączce, słyszał na korytarzu płacz matki. Ponieważ był to u jego matki nader rzadki objaw, wywnioskował stąd z dziecięcą logiką, że pewnie musi umrzeć,

i przygotował się na śmierć. „Szybko oswoilem się z myślą o śmierci – wspominał później – i wcale się jej nie bałem, przejął mnie tylko głośny płacz matki”.

Dwa tygodnie leżał ciężko chory. Raz w czasie tych krytycznych dni, mającąc, widział samego siebie w długim szeregu postulantów, którzy jednak nie mieli franciszkańskich habitów zakonnych, lecz zupełnie odrębny, nieznanym mu strój. W kilka dni później, gdy niebezpieczeństwo minęło, lekarz orzekł, że Alojzy nie nadaje się do surowego życia franciszkańskiego, gdyż ciężka choroba zbyt osłabiła jego organizm. Gdy odzyskał zdrowie, wezwano ponownie rodziców, tym razem po to, aby go zabrali do domu.

Przez sześć miesięcy zdawało się, że zbliża się do celu, który przyświecał mu od dzieciństwa. A teraz poczuł się rozbitkiem.

Wyczerpany, słaby i zawiedziony wracał młody Alojzy na swoim wózku ciągniętym przez osiołka po kocich łbach z Voghery do Pontecurone.



ROZDZIAŁ II
BURZA NA WIEŻY



Karolina Orione była przygnębiona takim obrotem rzeczy, natomiast jej mąż zapatrywał się na tę sprawę nieco inaczej. Alojzy mógł już teraz sam na siebie zapracować i pomóc w utrzymaniu rodziny. Prędzej czy później okaże się, do czego właściwie jest powołany. Tymczasem, skoro wrócił do sił, pomagał ojcu. Praca na świeżym powietrzu miała uchronić chłopca przed gruźlicą.

Przez całe lato 1886 roku Alojzy pracował w zespole robotników pod nadzorem ojca. Było ich dwunastu – młodych mężczyzn i chłopców z Pontecunone. Gdy pracowali w bardziej odległym Frugarolo, przyłączała się do nich taka sama grupa robotników z Lombardii. Wszyscy podlegali Wiktorowi Orione.

Między obiema grupami stale panowała zazdrość. Rywalizacja Lombardczyków z Piemontczykami nasiłała się z dnia na dzień. Na obiad była polenta i dorsz suszony. Lombardczycy uważali, że porcje Piemontczyków są obfitsze. Wiktor uciekał się więc do osobliwego sposobu losowania: ciągnięto słomki. Ci, którzy mieli dłuższą, wybierali porcje pierwsi. Alojzy

podpatrzył sprytne oszustwo Lombardczyków, którzy przynosili ze sobą gotowe długie słomki. Wtedy jego ojciec chwycił się nowego sposobu. Ustawił miski w dwóch szeregach, a robotnicy wybierali na przemian: prawa – lewa.

Jesienią Alojzy czuł się już zdrowszy i silny. I znowu – po raz drugi – ośmielił się prosić rodziców o pozwolenie na przygotowanie się do stanu kapłańskiego. Matka nie wyrażała sprzeciwu, a z czasem i ojciec wyraził swoją zgodę.

Pamiętając o swoim sennym widzeniu w klasztorze franciszkanów, zwrócił się tym razem do księdza Bosko, założyciela Zgromadzenia Salezjanów. Przybył do ich głównego domu w Turynie dnia 4 października 1886 roku. Mimo że zakon ledwo powstał, już prawie całe Włochy były pełne podziwu dla wielkiego założyciela i jego działalności polegającej na troskliwej opiece nad sierotami i dziećmi ulicy.

Właśnie w Turynie, głównej siedzibie salezjanów, spotkałem osiemdziesięcioletniego księdza Jana Segalię, który kształcił się z Alojzym w seminarium salezjańskim. Określił mi go jako „wzorowego ucznia, gorliwego w dobrym”. Miało to posmak świadectwa kwalifikacyjnego i nie mogło mnie zadowolić. Zachęciłem go przeto do obszerniejszej charakterystyki Alojzego z podkreśleniem pewnych cech, jakimi się już wtedy wśród ogółu wyróżniał. Jego odpowiedź przekonałaby każdego.

Pod koniec drugiego roku pobytu, gdy Alojzy miał zaledwie szesnaście lat, przełożeni powierzyli mu nauczanie religii wśród współuczniów i wygłaszanie pogadanek na zebraniach sodalicy. To było czymś niecodziennym i świadczyło zarówno o jego zdolnościach, jak i nadzwyczajnym zaufaniu, jakim go obdarzono. Nikt z jego kolegów nie podjąłby się tego zadania. On zaś nie tylko dobrze się z niego wywiązywał, lecz jeszcze zyskał uznanie swych kolegów. Podziwiali oni nie tylko jego zdolności, ale ponadto kochali go za wesołe usposobienie i umiejętności sportowe. Orione był także zapalonym członkiem kółka dramatycznego i osiągał dobre wyniki.

Salezjanie go polubili. Miał przyjaciół w konwencie i między rówieśnikami. Szczególnie cenili go sam ksiądz Bosko, który często przysłuchiwał się jego lekcjom religii.

Ta przyjaźń mistrza z uczniem, przyjaźń z jednym z największych świętych Kościoła, wywarła głęboki wpływ na wrażliwego, uduchowionego młodzieńca. W Valdocco odbył po raz pierwszy spowiedź u księdza Bosko i uzyskał wskazówki dotyczące obowiązków i drogi życiowej. Święty był jego przełożonym i kierownikiem duchowym.

Salezjanie gromadzili chłopców z ulicy i z najohydniejszych zaułków nędzy, uczyli ich pożytecznego zawodu. Przez fachowe kształcenie nadawali im życie i kierunek i godność, jakiej dotąd byli pozbawieni. Było

to dzieło miłosierdzia przewyższające jałmużnę i jakąkolwiek doraźną pomoc.

Chłopców, których nie można było umieścić w internacie, zrzeszano w związki wpływające korzystnie na ich rozwój umysłowy i moralny. Taki kierunek działania odpowiadał całkowicie Alojzemu. Jego widoczne ubóstwo pozwoliło mu zrozumieć poniżającą nędzę wychowanków salezjańskich.

– Pamiętaj, pozostaniemy na zawsze przyjaciółmi – mawiał do niego ksiądz Bosko i to zapewne krzepiło młodego Alojzego Orione.

W styczniu 1888 roku, w drugim roku nauki Alojzego, ksiądz Bosko ciężko zachorował. Nie dziwi nas gest Alojzego, który dowiedziawszy się o groźnym stanie swojego przyjaciela i mistrza, ofiarował Bogu swoje młode życie za umierającego świętego. Jednak 31 stycznia 1888 roku ksiądz Bosko umiera. Ta bolesna strata pogłębiła w Alojzym pragnienie jeszcze doskonalszego oddania się Bogu i Jego Kościołowi.

Ksiądz Segalia opowiedział mi następujące zdarzenie, o którym później gdzieś czytałem, ale nie znałem go uprzednio. Alojzy należał do wybranej czwórki straży honorowej przy zwłokach świętego. Ze wszystkich stron przychodzili wierni, by oddać cześć świętemu, któremu tyle zawdzięczali. Alojzy wiedział, że wielu z nich pragnęło wrócić do domu z czymś, co miałoby związek ze świętym. W swojej pomysłowości pokrajał chleb na drobne kawałki, dotykał nimi ciała

i rozdawał obecnym. Przy krajaniu zaciął się głęboko w palec. Nie wątpiąc w świętość księdza Bosko, uczynił, co w danej chwili uważał za zupełnie naturalne. Przytknął palec do czcigodnych zwłok i rana natychmiast się zasklepiła.

Mimo przywiązania do księdza Bosko i przyjaźni łączącej go z salezjanami w szkole oraz pełnego uznania dla ich owocnej działalności Alojzy zmienia nagle swój plan życiowy. Przy końcu drugiego roku nauki zamiast rozpocząć nowicjat salezjański, opuszcza Valdocco i zgłasza się do tortońskiego seminarium dla kapłanów diecezjalnych.

Wszyscy – zarówno nauczyciele, jak i uczniowie – byli przekonani, że nadawał się na członka Zgromadzenia Księży Salezjanów. Przecież uczył już religii w jednym z salezjańskich stowarzyszeń młodzieżowych. Dlatego wszyscy byli zdumieni, „lecz – jak mnie zapewniał ksiądz Segalia – nikt i tym razem nie wątpił w czystość jego intencji, ponieważ przełożeni zwykle aprobowali jego poczynania”.

Alojzy rzeczywiście, jak większość poważnie myślących chłopców w tym wieku, zastanawiał się nad tym, gdzie jest jego właściwe miejsce. Czy Bóg powołał go do księży salezjanów? Już przed kilku miesiącami przedstawił swoje wątpliwości księdzu Bosko. Ten go uspokajał: „Jeżeli czujesz, że Bóg woła cię gdzie indziej, idź. Pamiętaj, pozostaniemy na zawsze przyjaciółmi”.

Po śmierci świętego niepokoje wzrosły. Człowiek o takim sumieniu jak Alojzy Orione wiedział, że w tych sprawach wątpliwości mieć nie można. Od lat słyszał wezwanie do spełnienia jakiejś misji. Obecnie doszedł do przekonania, że choć zachwycał się działalnością salezjanów, jego miejsce nie jest u nich. Poszedł więc za głosem wewnętrznym, który uznał za wyraźną wolę Bożą podczas rekolekcji pod koniec drugiego roku nauki, i wrócił do domu.

Księża salezjanie, znając jego prawość, decyzję tę rozumieli. Jednak niełatwo poszło z ciężko zapracowanym ojcem Alojzego. Takie postępowanie wydawało mu się nieobliczalne, wręcz awanturnicze. Powiedział:

– Jeżeli nauka ci nie odpowiada, wracaj i pracuj znów ze mną. Zobaczymy, co będzie z tobą dalej.

I Alojzy znalazł się po raz drugi w brukarskiej brygadzie ojca. Zadowolonia jednak w tym nie znalazł. Za radą matki zwrócił się do miejscowego proboszcza z prośbą o pośrednictwo w przyjęciu do seminarium diecezjalnego w pobliskiej siedzibie biskupiej w Tortonie.

Tymczasem prawie przez cały rok pracował jako brukarz. Kiedy jesienią 1889 roku był zatrudniony w Nizza Monteferrato, sześćdziesiąt kilometrów od Pontecurone, ojciec otrzymał list od proboszcza. Wiktor Orione przeczytał z pośpiechem i zawołał do syna: „Spiesz się, musimy wracać, jesteś przyjęty do

seminarium w Tortonie”. Mimo doznanych rozczarowań ojciec był mile przejęty takim obrotem sprawy i naglił do pośpiechu.

Tak rozpoczął Alojzy w siedemnastym roku życia studia teologiczne na kapłana diecezjalnego w Tortonie. Fakt ten dla wielu może wydawać się mniej romantyczny, niż gdyby Alojzy zgłosił się do nowicjatu salezjańskiego, który pozostawał nadal pod wpływem wielkiego księdza Bosko. Także Alojzy czasem musiał odczuwać wątpliwości, czy słusznie postąpił, opuszczając salezjanów w Turynie. Seminarium w Tortonie nie było bowiem wtedy na wysokim poziomie. Szwankowała karność, zachowanie niektórych chłopców było wprost rażące. Ich wybryki przekraczały dopuszczalne granice.

Młodzieńcy bawili się kosztem Alojzego, drwili z jego zniszczonego ubrania, taniego obuwia, a przede wszystkim z jego groszowych oszczędności. Przy posiłkach rzucali pod stół kromki chleba, które Alojzy z uszanowaniem podnosił i zjadał. „Chleb jest darem Bożym i nie wolno nim poniewierać” – powtarzał słowa matki zasłyszane w dzieciństwie.

Rozmawiałem z poważnymi ludźmi, którzy wtedy przebywali z nim, a obecnie są w sędziwym wieku i dojrzeli dzięki miłości i mądrości. Przyznawali, że mniej ich drażniło ubóstwo, natomiast więcej raziła zupełna odrębność moralna Alojzego. Taka jest psychika młodzieży: sympatyzuje z równymi lub niższymi

od siebie. Orione zaś był inny, różnił się od nich, a to w oczach młodych uchodzi za zbrodnię.

Alojzy był żywego usposobienia, na wskroś pobożny i zbyt przejęty dostojnością swego powołania, by zniżyć się do wulgarnej przeciętności otoczenia. Miał pewne ruchy i gesty, które uważano za zbyt teatralne – gesty tego typu, które toleruje się i uznaje u człowieka, gdy ten jest u szczytu sławy, a wydrwiwa bez skrupułów, kiedy dopiero zaczyna karierę.

Niezbyt lubił bawić się z kolegami, zwłaszcza gdy był to czas przeznaczony na naukę. Koledzy wyzyskiwali też jego usługę tak, że wkrótce stał się ich służącym seminaryjnym. Obarczali go najbardziej przykrymi zajęciami, jak na przykład noszeniem wody z podwórza. Alojzy w swej wielkiej pomysłowości wynalazł nawet nowy sposób noszenia czterech wiader równocześnie. Jednak przeciwności te i niechęć stopniowo zniknęły. Alojzy powoli przyzwyczajał się do kolegów, a oni zaczęli ulegać jego wpływowi, dostrzegając i doceniając w nim ofiarną uczynność. Większą część wolnego czasu poświęcał sprawom innych. Pomagał kolegom w ścieleniu łóżek, zamiatał podłogi, pielęgnował ich w chorobie.

Charakteryzowało go ubóstwo i odmienność, ale bardziej niż innych charakteryzowała go chrześcijańska miłość praktyczna.

Nadzwyczaj skuteczny wpływ wywarł on na jednego z seminarzystów, bardzo niekarnego alumna. Jest nim obecny jezuita – o. Albert Vaccari z Watykańskiego

Instytutu Biblijnego, światowej sławy biblista. Albert wstąpił do seminarium rok przed Alojzym i poddał się panującemu tam stylowi. Był tak krnąbrny, że prawie stracił ducha powołania. Wezwano więc ojca, aby go zabrał z zakładu. Oto, co mi opowiadał w swoim pokoju Instytutu Biblijnego, wspominając lata seminaryjne:

– Rok 1890/1891 był decydujący w moim życiu. Gdyby nie Orione, nie nosiłbym dzisiaj sutanny. Jemu zawdzięczam moje powołanie.

– Na czym polegał ten przemożny wpływ Alojzego? – zapytałem.

– Przede wszystkim na przykładzie. On miał postawę i wewnętrzny głęboki stosunek do życia, do nauki, któryśmy utracili albo go wcale nie posiadali. Ponadto promieniował apostołskim zapałem. Nie miał jeszcze dwudziestu lat i nie zgłębił teologii podczas studiów, a już planował przyszłą działalność i szukał ludzi przychylnych sprawie. Wywierał przemożny wpływ, któremu wszyscy ulegali, bo w gruncie rzeczy byli to mimo wszystko dobrzy chłopcy.

Albert został najbliższym przyjacielem Alojzego w seminarium. Już samo to świadczy o głębokim przełomie, jaki się w nim dokonał. Alojzy, z początku lekceważony i wyszydzany, zdobył w niedługim czasie miłość i podziw wszystkich.

Naprzeciw seminarium, które dziś jeszcze, mimo że jest odnowione, robi wrażenie koszar, wznosi się

szesnastowieczna katedra o nikłej wartości architektonicznej. Wnętrze jest ciemne, ponure, przeładowane barokowymi ozdobami, szerniałą boazerią, ogromnymi malowidłami i mdlą rzeźbą. Całość nie wywołuje nastroju skupienia, zwłaszcza w przybyśzu z północy lub z Ameryki.

Nad zakrystią, wysoko na wieży, znajdują się pomieszczenia, do których prowadzą kręte schody. Jeszcze i dzisiaj mieszka tam stróż. Sypia w obszernej, pustej izbie, a z małego okienka w ścianie może obserwować ołtarz.

Rodziców Alojzego nie było stać na ponoszenie kosztów utrzymania w seminarium, choć były one bardzo niskie. Rektor więc, w zamian za odpłatność, wyznaczył go na pomocnika zakrystiana wraz z drugim uczniem będącym w takiej samej sytuacji. Obaj zamieszkali w izbie na wieży i mieli czuwać nad bezpieczeństwem świątyni. Zdarzyło się raz, że Alojzy, pełniąc straż przy „okienku”, zobaczył człowieka, który w podejrzany sposób skradał się do ołtarza. Wszczęty alarm spłoszył złodzieja.

Jako pomocnik zakrystiana Alojzy służył do Mszy Świętej – czasem do trzech z kolei, był obecny na nabożeństwach różańcowych i pomagał utrzymać świątynię w czystości oraz porządku. Tak zarabiał na utrzymanie i mieszkanie. Zaniedbania lekcji były nieuniknione, ponieważ większość dnia spędzał w kościele. Pociągało to również za sobą jeszcze większe

odosobnienie od pozostałych seminarzystów. Alojzy skłonny do samotności, obecnie tym bardziej chodził własnymi drogami.

Zyskiwał jednak coraz większą przychylność rektora, co umożliwiała mu wykonywanie dodatkowych zajęć przy równoczesnym ścisłym przestrzeganiu obowiązującego w seminarium regulaminu z godzinami milczenia, nauki i modlitwy.

W studiach, mimo rozlicznych obowiązków, robił doskonale postępy, chociaż dzieła z zakresu dogmatyki, teologii moralnej, prawa kościelnego i Pisma Świętego wertował przeważnie nocą. Ze świadectw współczesnych wynika, że zawsze zyskiwał najlepsze oceny. Gdy niektórzy pokpiwali z jego przesadnej pilności, odpowiadał: „Co za pożytek dla Kościoła z kapłana ignoranta?”

W czasie rekreacji chętnie brał żywy udział w zabawach sportowych. Wiedział od księdza Bosko, że sport jest nieodzownym czynnikiem wpływu na młodzież. Nikt jednak nie przewidywał, jakie miał zamiary na najbliższą przyszłość. Gdy pewnego razu dla uczczenia jednego z profesorów miało odbyć się zebranie koleżeńskie, zaproponowano Alojzemu wygłoszenie okolicznościowego przemówienia. Spodziewano się jakiejś zwięzłej i konwencjonalnej przemowy. Tymczasem Alojzy wygłosił świetną mowę, która słuchaczy wprowadziła w zdumienie, gdyż zdradzała nieprzeciętny talent oratorski. Zebrał huczne oklaski i od tego

dnia był jeszcze bardziej ceniony nie tylko ze względu na swą uczynną miłość, ale również ze względu na swój intelekt i uzdolnienia.

Pobożność Alojzego wywierała wpływ na innych i robiła głębokie wrażenie, choć nigdy nie narzucał jej nikomu. Kto bliżej go poznał, przekonywał się niebawem, że jego myśli i uczucia krążą wokół czterech miłości: Krzyża, Eucharystii, Maryi, Papieża. Oblicze Alojzego nabierało nowego wyrazu, głos innego brzmienia, gdy o nich mówił.

Długo zastanawiał się nad tym, czy powinien pracować w podobny sposób jak ksiądz Bosko w Turynie i założyć młodzieżowy klub – Oratorium świąteczne.

Pewnego razu zbliżył się do niego bardzo zafrasowany chłopczyk. Razem z innymi poszedł na węgry, a ponieważ był sierotą, groziło mu wyrzucenie ze szkoły. Od niego dowiedział się Alojzy, że duża liczba chłopców z Tortony przebywa w złym towarzystwie. Włączyli się, niektórzy wcale nie uczęszczali do szkoły, odwiedzali miejscowe koszary, stykając się z żołnierzami, mocno zaawansowanymi w znajomości ciemnych stron życia. Żołnierze dożywiali ich, a równocześnie demoralizowali.

Alojzy zaczął więc gromadzić chłopców w opuszczonym, starym kościółku, skąd już dawno zabrano Przenajświętszy Sakrament. Starał się dostarczyć im godziwej, a tak dla nich potrzebnej rozrywki, zorganizować odpowiednie zabawy, by ich odciągnąć od

tego, co mieli w koszarach. W tym celu wykorzystał doświadczenia nabyte w Turynie. Bawił chłopców opowiadaniem, naśladował znanych aktorów, pokazywał sztuczki kuglarskie, uczył śpiewu, przewodząc swym silnym, choć niezbyt melodyjnym głosem. Przewadził ich na wycieczki, przy czym oczywiście nie zapominał o nauce katechizmu.

Wkrótce powstał nader oryginalny zespół. Chcąc utrzymać chłopców w tym zespole, Alojzy wystarał się o pozwolenie, by mogli swobodnie odwiedzać go w pokoju na wieży.

Odtąd jego życie podobne jest do fantazji. W tej awanturniczej gromadzie wszystko było możliwe; działy się tam rzeczy wręcz niesamowite. I tak jest do dziś wśród tych, którzy dostają się pod jego znaki.

Gdy zjawił się u niego pierwszy chłopiec, sierota, Alojzy powiedział do niego: „Zobaczysz, jak obfite w plon ziarno zasiewamy”. Były to słowa prorocze.

Co wieczór gromady chłopców przychodziły do jego mieszkania. Wkrótce były ich setki. O każdej porze dnia malcy wspinali się krętymi schodami i pytali o Alojzego Orione. Nie byli oni w niczym podobni do gipsowych świętych. Dla takich bowiem nie byłoby trzeba Alojzego. Hałas rozlegał się nie tylko na placu katedralnym, ale płynął górą razem z falującym powietrzem, gdyż jego źródło było wysoko na wieży.

Niektórzy kanonicy mieli poważne wątpliwości, czy rektor miał słuszność, pozwalając dwudziestolet-

niemu młodzieńcowi gościć tę rozkrzyczaną gromadę w swoim pokoju. Aby mu odebrać ochotę do podobnych wyczynów, niżono mu już i tak skromną pensję. Lecz klub chłopięcy i hałas trwał nadal.

Pewnego dnia udał się Alojzy do biskupa Hygina Bandiego i poprosił o umożliwienie wstępu do prywatnego ogrodu należącego do rezydencji biskupiej.

Może dotarły do biskupa skargi na hałas zakłócający ciszę koło katedry, może zaimponowała mu naiwna młodzieńcza śmiałość, może słyszał już o jego zaletach, faktem jest, że dostojnik Kościoła okazał mu wyjątkową przychylność i już 3 lipca 1892 roku Alojzy wprowadził chłopców do ogrodu biskupiego.

Teraz wieczorny hałas malców przeniósł się na drugą stronę ulicy. Ku radości kanoników pożądana cisza zapanowała znowu na placu katedralnym i w bezpośrednim jego sąsiedztwie, lecz zniknął spokój i porządek w ogrodach biskupich.

Następstwem chłopięcych wyczynów były częste, niekończące się skargi matki biskupa mieszkającej u syna: ogród jest zrujnowany, wygląda jak śmietnisko. Biskup atoli pozostał niewzruszony. Stał po stronie Alojzego i znosił cierpliwie domowe niesnaski.

Życzliwość biskupa oddziaływała korzystnie na dzieła Alojzego. Biskup aprobował je i usankcjonował. Luźna grupa zamieniła się w prawnie uznany związek o nazwie „Oratorium św. Alojzego”. Przychylny,

światły i uprzejmy ks. kanonik Novelli został jego kapelanem i opiekunem. Alojzy otrzymał nadto do pomocy starszego od siebie studenta.

Szybko potoczył się bieg wypadków. Józef Perosi, dyrygent chóru katedralnego, wyraził zgodę na prowadzenie chóru chłopięcego, a jego syn Wawrzyniec Perosi, słynny kompozytor i dyrygent chóru Kaplicy Sykstyńskiej, skomponował dla tych dzieci hymn na cześć ich świętego patrona. Związek ten był potrzebą czasu i promieniował nowym duchem, charakterystycznym dla dzieł księdza Bosko.

Działo się to w czasie ciężkiego kryzysu gospodarczego. Panowała skrajna nędza. Wielu chłopców żyło dosłownie na ulicy. Sierotami nikt się nie opiekował i chłopcy musieli o własnych siłach brnąć przez życie. We Włoszech panował silny prąd antyklerykalny oraz rozpowszechniały się idee marksistowskie. Kościół tracił wpływ na masy robotnicze, co w najlepszym wypadku oznaczało ich obojętność, a w najgorszym zorganizowaną wrogość wobec religii.

Alojzy prawdopodobnie nie zdawał sobie wcale sprawy z politycznych konsekwencji swej działalności i mało go one interesowały. Dla niego ważne było to, że w starej Tortonie, w cieniu katedry, w najbliższym sąsiedztwie seminarium są chłopcy głodni i ogłoceni ze wszelkich dóbr duszy i ciała. Chciał zapobiec ich nędzy, uratować przed rozbiciem moralnym, jakie pociąga za sobą życie uliczne.

Nowe stowarzyszenie musiało mieć jakiś stały ośrodek. Pomieszczenie na wieży już nie wystarczało. Luźne grupy schodzące się wieczorem wymagały czegoś więcej niż zwykłych spotkań. Ruch wymagał zorganizowania. Alojzy zrozumiał, że zaistniała konieczność stworzenia szkoły z internatem, która kształciłaby ludzi zdolnych pomóc w nawracaniu do Boga współczesnej generacji. Taki zakład miałby również znaczenie w budzeniu powołań kapłańskich, których brak dawał się wtedy we Włoszech dotkliwie odczuwać.

Zwrócił się więc do biskupa, przedstawił mu swoje zamiary i rozwinął swój plan. Biskup, który udzielił mu już daleko idącej pomocy, i tym razem ustosunkował się przychylnie.

- Jak mogę ci pomóc? – zapytał.
- Dając mi pozwolenie i błogosławieństwo.
- Dobrze, udzielam ci jednego i drugiego.

Chętnie, lecz prawdopodobnie i z niepokojem dał biskup zezwolenie na otwarcie zakładu pod warunkiem atoli, że Orione znajdzie odpowiednie pomieszczenie.

Podobnie jak odstąpienie ogrodu, tak i obecne pozwolenie mogło pociągnąć za sobą poważne skutki. Może biskup mniemał, że plan dwudziestoletniego seminarzysty założenia dziwacznej szkoły jest tak fantastyczny, iż spali na panewce i zamierzenia spełzną na niczym. A może przeczuwał, że nie ma do czynienia z przeciętnym seminarzystą proszącym o zwykłą

przysługę, lecz że chodzi tu o sprawy o wielkich konsekwencjach.

Alojzy wyszedł z sercem pełnym radości, mimo że nie miał w kieszeni złamanego szeląga, a cóż dopiero pieniędzy na wynajęcie odpowiedniego pomieszczenia. Był gotów przejść miasto wszerz i wzdłuż. Chodziło mu zwłaszcza o dzielnicę San Bernardino – najuboższą i najbardziej oddaloną od Kościoła, gdzie najostrzej rozwijał się antyklerykalizm.

Prosto z pałacu biskupa wyruszył na poszukiwania. Brak pieniędzy i to, że był jeszcze młody, mało go przejmowały. Miał po swej stronie Opatrzność Boską.

Zaraz w drodze spotkał Ludwika Stassano, brata jednego ze swoich podopiecznych. Na pytanie, dokąd spieszy, Alojzy odpowiedział:

– Zakładam szkołę dla chłopców, biskup udzielił mi pozwolenia.

– Gdzie ona będzie? Sam poszedłbym do niej.

– Szukam właśnie odpowiedniego pomieszczenia.

– Mój ojciec ma nieużytkowany dom, który by się pewnie na ten cel nadawał.

Ojciec Ludwika był praktykującym katolikiem, członkiem bractwa św. Wincentego à Paulo, i chętnie brał udział w dziełach dobroczynnych. W owym czasie miał w Tortonie kamienicę, której chciał się pozbyć. Był to trzypiętrowy dom odziedziczony po bracie, a położony właśnie w dzielnicy San Bernardino. Ludwik opowiedział o tym Alojzemu, który postanowił

bez zwłoki wykorzystać sytuację i skłonić właściciela do odstąpienia tej kamienicy. Pan Stassano uznał potrzebę szkoły i korzyści, jakie by przyniosła, lecz odstraszał go młody wiek ewentualnego kontrahenta.

Nadto powstał jeszcze problem zapłaty.

– Ile pan żąda? – zapytał Alojzy.

– Czteryście lirów rocznie płatnych z góry. Pan jeszcze jest chłopcem. Czy ma pan w ogóle pieniądze?

– Nie mam pieniędzy, lecz tym niech się pan nie przejmuję, będę je wkrótce miał z pomocą Opatrzności Boskiej.

Stassano zadecydował, że odstąpi Alojzemu dom, jeśli w ciągu tygodnia otrzyma gotówkę. Jeżeli nie otrzyma pieniędzy w tym terminie, należy uważać umowę za rozwiązana.

– Opatrzność Boska jest wszechmocna – konkludował Alojzy.

Lecz jego starszy partner, zamykając drzwi za rozentuzjowanym seminarzystą, uważał sprawę za skończoną.

Alojzy spieszył do swej siedziby na wieży, by sprawę przemyśleć i przemodlić. W drodze spotkał starszą panią, Angelinę Poggi.

– Alojzy, co tu porabiasz? – zawołała, przechodząc.

– Zakładam szkołę, już mam pozwolenie biskupa.

– Mam siostrzeńca, któremu szkoła bardzo by się przydała. Ile musiałabym ci płacić za jego pobyt w tej nowej szkole?

– Tyle, na ile panią stać.

Po chwili namysłu Angelina zaproponowała:

– Gdybym ci dała czterysta lirów, na jaki czas by to wystarczyło?

– Zaopiekuję się nim, dopóki nie skończy szkoły – Alojzy był pewnie w tej chwili gotów zatrzymać chłopca aż do śmierci, gdyby było trzeba.

Angelina znowu namyślała się.

– Dobrze, wypłacę ci sumę natychmiast i chłopiec będzie twoim pierwszym uczniem.

Alojzy wracał na skrzydłach do zdziwionego bardzo pana Stassano. Położył przed nim czterysta lirów i przystąpił zaraz do urzędowego załatwienia sprawy. Wracał do domu z kwitem rocznej zapłaty i podpisaną umową.

Tak w ciągu jednego przedpołudnia przedstawił projekt biskupowi, uzyskał jego zezwolenie, zdobył odpowiedni budynek, który obecnie należało zapełnić uczniami i rozpocząć pracę. Potem powiadomi biskupa o wynikach.

Tymczasem zjawiły się u biskupa poważne osobistości przeciwne planom Alojzego. „Co jeszcze może mu strzelić do głowy?” – wołali i doradzali biskupowi ostrożność. Biskup zaczął mieć wątpliwości, komu należy ufać.

Po powrocie do domu Alojzy, nie przeczuwając niczego, usłyszał od zakrystiana:

– Biskup cię wzywał. Szukaliśmy cię wszędzie. Posyłał już po ciebie trzy czy cztery razy.

– Ja też muszę z nim mówić – odparł Alojzy podniecony i pobiegł ochoczo, nie domyślając się niczego. Lecz jedno spojrzenie na oblicze biskupa Bandiego pozwoliło mu zorientować się o zmianie sytuacji.

– Przed kilkoma godzinami udzieliłem mojego błogosławieństwa na otwarcie mającej powstać szkoły. Obecnie cofam je, plan należy porzucić!

– Przepraszam, ekscelencjo, niestety będzie to połączone z pewnymi trudnościami – odparł Alojzy z uszanowaniem, lecz stanowczo.

Biskup uderzył ręką w stół, a Alojzy opowiadał spokojnie, co tymczasem zaszło.

– Znalazłem dom i zapłaciłem roczny czynsz, nie możemy już się wycofać.

Gdy biskup dowiedział się o wszystkich okolicznościach, nie miał już wątpliwości, że jest w tym działanie Opatrzności Bożej.

– Uklęknij, synu – odezwał się – udzielam ci powtórnie mojego błogosławieństwa i już go nigdy nie cofnę.

Wkrótce Alojzy ogłosił, że jego szkoła – pierwsza szkoła w mieście połączona z internatem – będzie otwarta 16 października.



ROZDZIAŁ III

DWUDZIESTOLETNI ZAŁOŻYCIEL ZGROMADZENIA



W dwudziestym roku życia Alojzy był jednocześnie studentem i założycielem szkoły z internatem. Co więcej – ten młody alumn dał początek nowemu zgromadzeniu. Biskup mianował go kierownikiem szkoły i dodał mu starszego studenta do pomocy. Alojzy był twórcą dzieła i ponosił główną odpowiedzialność za zakład, którym kierował i w którym równocześnie uczył.

Przed inauguracją zakładu było dużo pracy i kłopotów. Alojzy musiał przy tym pilnować własnych studiów i pełnić obowiązki pomocnika zakrystiana, aby opłacić koszty w seminarium.

Wynajęty dom był zaniedbany i brudny. Sala tańców miała być obecnie głównym pomieszczeniem dla uczniów. Wśród chłopców, którzy zjawili się pierwszego dnia, byli siostrzeniec pani Angeliny Poggi i dwaj Stassanowie.

Jednego z nich, Dominika, odwiedziłem w jego domu w Tortonie. Z jego wspomnień utworzyłem sobie obraz pierwszych dni tej ze wszech miar ciekawej szkoły. Nie można powiedzieć, że od razu panował tam rygor. Dzisiaj się wręcz dziwimy, że ro-

dzice w ogóle powierzali swoje dzieci temu nowemu zakładowi.

Tłumaczą to w pewnym stopniu ówczesne warunki. W rzeczywistości szkoły dla proletariatu, a nawet biedniejszej klasy średniej, nie istniały wcale. Z powodu braku księży dzieci pozbawione były nauki religii. Życie ludzi było trudne, dalekie od wygod, o luksusie i komforcie nikomu z nich się nie śniło. Wśród tej beznadziejności zjawiał się Alojzy Orione, który kochał dzieci i chciał im życie uczynić znośniejszym.

– Często prawie umieraliśmy z głodu w tej szkole, ale zawsze czuliśmy się szczęśliwi – zapewniał Dominik, dorzucając pewne wyjaśnienia. – Ojciec był zadowolony, że chłopcy mają dobrą opiekę duchową, lecz niezupełnie był spokojny o ich wyżywienie.

Pewnego wieczoru wkradł się do domu – jak wiemy, swojego – i znalazł ich w łózkach drżących z zimna, niedostatecznie przykrytych, głodnych. Zniknął, a po krótkim czasie wrócił z chlebem.

– Z głodu umrzecie – szeptał – jeżeli nie zjecie. Podzielcie się z innymi, głodnymi jak wy.

Tak skradał się co wieczór do zakładu i zawsze ta sama toczyła się rozmowa w ciemnościach sypialni, podczas gdy Alojzy spał gdzieś w kącie na podłodze.

– Jak się dziś czujecie?

– Głodni jesteśmy.

Wtedy duży bochenek zniknął pod kołdrą, a ojciec wymykał się, podczas gdy chłopcy dzielili się chlebem.

Co wieczór Alojzy obchodził wszystkie łóżka. Jeżeli któryś z chłopców nie mógł zasnąć lub dręczył go zły sen, wstawał i cicho podchodził do posłania.

– Żał mi cię, że nie śpisz. Poproś swego Anioła Stróża o sen i będzie dobrze – mawiał. Potem kładł się na podłodze obok łóżka i czuwał, póki chłopiec nie zasnął.

– A jak było z karnością – zapytałem Dominika Stassano – czy często i surowo was karano?

– Zazwyczaj wystarczało jedno ostre spojrzenie Alojzego, by wybryk się nie powtórzył.

Podróżując śladami Alojzego po Włoszech, słyszałem bardzo często wzmianki o jego niesamowitych oczach. Pierwsze ich wrażenie było niepokojące – tak były przenikliwe, tak niezwykle. „Błyszczą jak u kota” – mówiono. Innym razem określano je jako „najmilsze w świecie”. Pewien mały mediolańczyk przyrównał je do reflektorów samochodowych. Były przenikliwe i zniewalające; nie można było się im oprzeć. Kto w nich zobaczył płomień gniewu, nie zapomniał nigdy tego przeżycia. Każdego winowajcę ujarzmiła para płonących oczu. „Obraziłeś Boga i zasłużyłeś na karę” – mawiał. Lecz jego oburzenie zamieniało się rychło we współczucie i łagodnie sprowadzał winowajcę na prawą drogę.

– Nikogo nie wydalili tego roku – mówił Dominik, licząc na palcach – a było sześć powołań kapłańskich.

W internacie przy szkole miał Orione od stu trzydziestu do stu trzydziestu pięciu chłopców, a setka

dochodziła z miasta. W następnym roku liczba uczniów podwoiła się, pomieszczenie okazało się za małe i Alojzy przeniósł zakład do wydzierżawionego starego klasztoru św. Klary.

Pierwszy dom został opuszczony, lecz Alojzy o nim nie zapomniał. Kilka lat później udało mu się nabyć go na własność i przeznaczyć na dom macierzysty pierwszego żeńskiego zgromadzenia. Temu też celowi służyły dotychczas.

Na długo przed opuszczeniem pierwotnej siedziby Stassano zwrócił mu czterysta lirów czynszu, wyrażając tym gestem poparcie dla jego dzieła. Alojzy próbował opłacić czynsz po raz drugi, przynosząc ze sobą garść banknotów.

- Skąd je ksiądz ma? – zapytał Stassano.
- Od dobrodziejów wspierających moje Dzieło.
- Proszę więc i moje użyć na ten sam cel.

Stassano był właścicielem małego majątku ziemskiego, w którym pracował sam z kilkoma pomocnikami, więc stać go było na te czterysta lirów. Nie znaczy to, by datek nie był dlań poważnym wyrzeczeniem.

Nowa i obszerniejsza szkoła wymagała większej liczby nauczycieli. Alojzemu udało się zdobyć wśród świeckiego nauczycielstwa ze szkoły państwowej ochotników, którzy bez wynagrodzenia udzielali u niego lekcji.

W drugim roku istnienia szkoły zaszedł wypadek świadczący o niezdyscyplinowaniu, który żywo utkwiał w pamięci Dominika.

Pewien właściciel warsztatu z pobliskiej wsi miał w zakładzie synów. Jeden z nich dopuścił się ciężkiego zgorzenia w wiejskim kościółku. Już samo przestępstwo oburzyło Alojzego, a fakt, że stało się to w kościele, doprowadził go do wybuchu gniewu znanego z jego z lat chłopięcych. W uniesieniu uderzył chłopca kilka razy, aż mu się połała krew z nosa i chłopak na kilka dni zachorował. Scena ta odbyła się na oczach chłopców, wśród których był również brat winowajcy; ten rzucił się na Alojzego, by powstrzymać ciosy. Ojciec chłopców, powiadomiony o zajściu, groził pociągnięciem opiekuna do odpowiedzialności sądowej. Alojzy jednak potrafił go przekonać o słuszności swojego postępowania i obaj jego synowie zostali nadal w zakładzie. Znamienne i to, że jeden z nich został kapłanem w zgromadzeniu księdza Orione. Dominik zapewniał mnie, że wypadek ten nie zmniejszył ich zaufania do Alojzego. Nigdy się go nie bali i sam winowajca nie chował urazy, uznając słuszny powód wybuchu gniewu wychowawcy.

Dwa momenty z tego okresu świadczą o stanowczości Alojzego, którego nic ani nikt nie zdołałby zawrócić z obranej drogi i który swoje dzieła uważał za dzieło Boskiej Opatrzności.

O pierwszym opowiada Fryderyk Bozzi, dziewięćdziesięcioletni starzec z Pontecurone. Wieść o zakładzie Alojzego rozniosła się szeroko, dotarła do rodzinnej wioski i wywołała wielkie poruszenie. Znaleźli się krewni kleryka Orione, którzy dawniej nie bardzo przejmowali się jego losem, a obecnie chcieli ogrzać się w blasku jego sławy.

Starsza niezamężna ciotka posłała mu pewną kwotę pieniędzy, które wydał na chłopców. Wkrótce owa pani zjawiała się w progach szkolnych, by się dowiedzieć, na co jej pieniądze zostały spożytkowane. „I odeszła jak zmyta – opowiada pan Bozzi – gdy Alojzy wyjaśnił jej krótko, że w tym zakładzie nie ma miejsca na protekcję czy kumoterstwo”.

O drugim wydarzeniu opowiadali mi zarówno pan Bozzi, jak i były organista Kaplicy Sykstyńskiej, ks. prałat Perosi.

Trzech seminarzystów: Alojzy, Wawrzyniec i Fryderyk w dwudziestym roku życia otrzymało karty poborowe. Seminarzystów bowiem nie zwalniano od służby wojskowej. Alojzy, choć był bardziej patriotycznie nastawiony niż inni, nie miał ochoty przerywać prac i pójść do wojska, zaprzepaszczając swe plany i studia.

Był wychudzony i wyniszczony ciężką pracą, robił wrażenie słabeusza. Postanowił uczynić wszystko, by go uznano za niezdatnego do służby wojskowej.

Na badanie lekarskie stawił się w ubraniu brata; nie chciał stawać jako seminarzysta, a po wtóre dlatego,

że w tym obszerniejszym ubraniu wyglądał jeszcze mizerniej.

Nasi trzech poborowi czekali razem w dużej sali. Alojzy chodził długimi krokami tam i z powrotem. Fryderyk próbował dotrzymać mu kroku, lecz wnet zatrzymał się.

– Ja już nie mogę. Kiedy ty przestaniesz? – powiedział.

– Pędzę nadal, póki mogę, by przyśpieszyć bicie serca. Zależy mi przecież na zwolnieniu.

Gdy się rozbierał, kolega zauważył, że wokół klatki piersiowej miał szeroki pas.

– Cóż ty tu masz? – zapytał.

– Tym chcę spotęgować niezdolność. Zamoczyłem go w occie, podobno wywołuje na krótki czas objawy podobne do gruźlicy. Może coś osiągnę, nie wiadomo.

Zwierzył się też Wawrzyńcowi, że od trzech miesięcy nie dojadał, żywił się prawie wyłącznie sałatą i unikał wszystkiego, od czego się tyje.

Wawrzyniec został zwolniony z powodu zbyt małego obwodu klatki piersiowej. Alojzego odrzucono również, być może dzięki wspomnianym sztuczkom. Mógł więc zadowolony powrócić do Tortony, by oddać się pracy wśród opuszczonych dzieci.

Jak postępowanie Alojzego osądzali koledzy w seminarium? Z początku wydawał się im dziwakiem. Potem doszli do przekonania, że jego dziwactwa nie były śmieszne, lecz godne podziwu. Na koniec wo-

bec powodzenia w szkole uznali, że jest bardziej oryginalny i godny podziwu, niż można było się spodziewać.

W każdej chwili dnia był w stanie zaskoczyć ich jakąś niespodzianką. Tak na przykład z okazji uroczystości św. Alojzego wielu pobożnych gromadziło się w pewnej wiosce położonej na drugim końcu diecezji. Wybrała się tam także grupa seminarzystów, między nimi Alojzy.

W pewnej chwili znikł im z oczu, aż naraz zobaczyli go na ambonie wygłaszającego niezaplanowane, płomienne kazanie do zebranych. Już jako diakon otrzymał – rzadko udzielane – prawo głoszenia kazań i łatwo przychodziło mu porwać słuchaczy.

– Jak osądzaliście ten wypadek? – zapytał kapłana starszuszka, który był świadkiem tego zdarzenia. – Nie uważaliście go za pełnego pychy zarozumialca? – O nie, bynajmniej – zaprzeczył żywo – rychło przekonaliśmy się, że w nim nie było śladu pychy lub próżności. Był oryginalny, niektórym wydawał się przesadny. Z czasem wszyscy musieli go wysoko cenić, zwłaszcza z powodu jego nadzwyczajnych zdolności i ujmującej szczerości, tudzież prostoty. Nie posądzaliśmy go o to, by czynił coś dla pozoru.

Potwierdził to także o. Albert Vaccari TJ z Instytutu Biblijnego, kiedy z nim w Watykanie na ten temat rozmawiałem. „Jego kipiąca energia mogła go łatwo sprowadzić na manowce – mówił. – On jednak

potrafił kontrolować się i dzięki łasce Bożej i życzliwości dobrych przyjaciół nauczył się wykorzystywać ją w sposób właściwy. Pewne jest, że gdyby nie łaska Boża, jego żywiołowość, jego z natury buntownicze usposobienie mogły zrobić zeń demagoga, uwodziciela lub rewolucjonistę wywierającego ogromny wpływ na otoczenie, raczej w kierunku zła aniżeli dobra. Te same cechy, w inny sposób wykorzystane, mogły pociągnąć za sobą straszne następstwa. Był wtedy i pozostał przez całe życie pełen dynamizmu, pełen nowych pomysłów, stale w ruchu, bez wypoczynku”.

W Wielką Sobotę 13 kwietnia 1895 roku otrzymał święcenia kapłańskie z rąk biskupa Bandiego w katedrze tortońskiej i odtąd był tym „księdzem Orione”, o którym fama poszła na całe Włochy. Mimo swoich wielostronnych zainteresowań i rozległej działalności przygotował się do świętego aktu nadzwyczaj starannie. Kapłaństwo było dla niego najważniejszym wydarzeniem życiowym.

Na Wielkanoc odprawił pierwszą Mszę Świętą w kościele św. Klary należącym do dawnego klasztoru, gdzie mieściła się jego szkoła. Ministrantami i uczestnikami uroczystości byli jego uczniowie. Za specjalnym pozwoleniem biskupa ubrał niektórych z nich w sutanny stanowiące w przyszłości strój zakonny członków powstającego zgromadzenia.

Jednym z pierwszych jego członków był ksiądz Karol Sterpi. Między tymi dwoma młodymi ludźmi

zawiązała się trwała i owocna przyjaźń oraz współpraca, która utrzymała się aż do śmierci.

Ksiądz Sterpi uzupełniał Alojzego Orione w idealny sposób. Temperował jego wybuchowość, doprowadzał do skutku zamierzenia i nadawał realny kształt jego pomysłom, które tryskały z niego jak rwący potok. Ich współpraca była doskonale harmonijna właśnie z powodu tyłu przeciwieństw. Te dwa charaktery miały się do siebie jak wybita moneta do sztancy mennicy.

Ciekawy stosunek dwóch przyjaciół zilustrował mi Perosi zupełnie banalnym przykładem. Przy stole siedzieli zwykle obok siebie. Ksiądz Orione prowadził rozmowę, gestykulując. Rozprowiał bardzo żywo, czasem nawet nieco zaczepnie. Ksiądz Sterpi słuchał i przytakiwał w milczeniu. Czasami pozwolił sobie być nieco innego zdania. Po skończonym posiłku ksiądz Orione zrywał się od stołu, rzucał zmiętą serwetkę i biegł do nowej pracy. Zwykle ksiądz Sterpi brał serwetkę i wyglądał fałdy, składał starannie i wsuwał do pierścienia. Następnie wychodził spokojnie i zabierał się do wprowadzania w czyn szybko rzucanych pomysłów genialnego przyjaciela.

Ksiądz Sterpi pochodził z zamożniejszej rodziny niż ksiądz Orione. Jego ojciec posiadał własny dom z winnicą i był burmistrzem rodzinnej wioski.

Karol Sterpi był o trzy lata młodszy, lecz wstąpił do seminarium w Tortonie przed Alojzym. Był wielce obiecującym studentem i już jako seminarzysta pełnił funkcję wychowawcy w niższym seminarium.

Pewnego dnia spotkali się, gdy Alojzy schodził ze swoimi chłopcami z kaplicy na piętrze. Orione miał dwadzieścia trzy lata. Było to krótko przed jego święceniami. Sterpi miał dwadzieścia lat. Nie byli sobie obcy. Alojzy począł więc opowiadać mu o swym dziele. Zagadnął przy tym kolegę, czy nie byłby skłonny pomagać mu, o ile biskup pozwoli. Sterpi wyraził swoją gotowość, a biskup dał pozwolenie. Stało się to wśród ciekawych okoliczności.

Między uczniami Alojzego był jeden ogromnie niedyscyplinowany chłopiec z Tortony z bardzo wybitnej rodziny katolickiej, która wyświadczyła biskupowi niejedną przysługę.

Chłopiec ten miał fatalny wpływ na innych. Sprawiał Alojzemu i nielicznym jego pomocnikom wiele kłopotów i przysparzał trosk, tak że Orione był w końcu zmuszony wydalic go ze szkoły. Ojciec zwrócił się z prośbą o interwencję do biskupa, który wezwał Alojzego i zapytał: „Dlaczego chcesz wyrzucic tego chłopca? Jest on trudny, niedyscyplinowany, ale w gruncie rzeczy nie jest zły”.

– Nie zależy mi na tym, by usuwać chłopców. Ale nie mam pomocników. Zatrzymam go chętnie, jeśli dostanę do pomocy jeszcze jednego alumna – odpowiedział Alojzy.

Biskup przyznał mu rację i przedłożył spis imienny najlepszych studentów teologii. Wybór Alojzego padł na Karola Sterpiego.

- Tego wybieram – powiedział.
- To jest najlepszy seminarzysta, trudno mi będzie go zwolnić – oponował biskup.
- On jedyny da sobie z chłopcami radę – odpowiedział Orione.

Alojzy jak zwykle wygrał i jak zwykle dokonał trafnego wyboru.

Ksiądz Sterpi pod niejednym względem dorównywał Alojzemu. Lecz podczas gdy Orione w swoich wypowiedziach był jak burza, ten drugi był uosobieniem spokoju. Ksiądz Sterpi od początku wykazywał, że ma dość siły charakteru, by jak ksiądz Orione jednym spojrzeniem ujarzmić chłopców.

Gdy ten pozostał do końca wulkanem, ksiądz Sterpi tak się potrafił wewnątrznie ukształtować, że uzupełniał przyjaciela. Stał się łagodny i dobrotliwy. Gdzie Orione wkraczał gwałtownie i mocno, Sterpi wchodził łagodnie i cicho.

Karol był człowiekiem roztropnym, potrafił obie-
ma nogami stać mocno na ziemi.

Ksiądz Orione górował intuicją, którą jednak uzupełniał oparty na konkretach realizm księdza Sterpi.

Z biegiem lat ich współpraca doskonaliła się coraz bardziej. Każdy z nich wrastał w swoją rolę. Doskonale się wzajemnie uzupełniali.

Alojzy działał z tak kipiącą energią, że nowo kupiony klasztor św. Klary okazał się wkrótce za ciasny, podobnie jak pierwszy dom, i nie mógł pomieścić

uczniów. Nie wystarczał też Alojzemu jako ośrodek rozległej jego działalności. Zachowując drugi dom w Tortonie, otworzył ksiądz Orione trzecią placówkę w Mornico Losana, gdzie wysłał jako dyrektora księdza Pawła Albera, późniejszego biskupa z Mileto. Ten nowy zakład był szkołą rolniczą dla chłopców wiejskich. Z planem jej założenia nosił się Orione już od dłuższego czasu.

Biskup życzył sobie, aby Orione przede wszystkim zajmował się kierownictwem swojej szkoły, w praktyce jednak absorbowały go liczne i rozmaite czynności. Wszystko, czego się imał, prowokowało konieczność nowego wysiłku. W każdym przedsięwzięciu kielkował nowy plan.

Jako nauczyciel zyskiwał wspaniałe wyniki. Niejako bez wysiłku potrafił skłonić uczniów do przyswojenia podawanej przez siebie wiedzy. Szczególne zainteresowania rozbudzał do literatury narodowej. Zachęcał do czytania swych ulubionych autorów. Byli to Manzoni, Pellico, Amicis, a przede wszystkim Dante.

W Dantem tak się rozmiłował, że pozostawał pod jego silnym wpływem. Wgłębiał się w myśli Dantego i potrafił cytować z pamięci długie urywki z *Boskiej komedii*. W późniejszym wieku naśladował żartobliwie Dantego i za jego przykładem umieszczał niejedną osobistość współczesną w kręgach piekła, gdzie według jego mniemania mieli się kiedyś znaleźć wszyscy, którzy zaniedbują czynienie dobra.

Obecnie stał Orione na czele grupy księży i nauczycieli. Prowadzili oni życie w wielkim niedostatku, lecz wszyscy razem czuli się szczęśliwi w dążeniu do jasno wytyczonego celu. Ufali bez granic swemu przywódcy, że z pomocą Bożą poprowadzi ich naprzód.

Nic dziwnego, że mieli wielu przeciwników. Wszyscy byli młodzi, a sam Orione był nowo wyświęconym księdzem. Starsi poważni panowie, którym zależało na tym, aby wszystko szło utartym szlakiem, po staremu, uważali Alojzego za takiego nowatora, który wcześniej czy później musi skrócić kark. Dochodziła tu również do głosu spora doza zazdrości.

Byli między nimi dostojnicy kościelni, którzy nie omieszkali podzielić się swymi obawami z biskupem. A z czasem i biskup zaczął się niepokoić szybkim tempem, z jakim rozwijało się Dzieło Alojzego Orione. Miał wątpliwości, czy mądrze postąpił, popierając młodego, nieobliczalnego człowieka, otwierając mu w swojej diecezji tak szerokie pole działania. To wszystko może kiedyś runąć, a on jako biskup pożałuje swego pociągnięcia. Te troski były zrozumiałe i uzasadnione.

Krótko po wyświęceniu młodego kapłana zapanały napięte stosunki między biskupem a nim. Doradcy duchowni uważali za wskazane, aby zatrudnić Alojzego w zwykłej pracy duszpasterskiej. Byli przekonani, iż wśród zajęć wikariuszowskich zapomni o swoich porywach. Proponowali powierzyć Dzieło

Alojzego starszemu wiekiem księdzu Alberze. „Słuszną rzeczą jest popierać księdza Orione, ale ruch ten może zatoczyć coraz szersze kręgi i przysporzyć kłopotów” – tłumaczyli.

A przecież Orione starał się zachować łączność z życiem diecezji i pokornie współpracować z biskupem. Co niedziela opuszczał zakład, by wygłosić kazanie w jakimś kościele. Uważano to jednak za niewystarczające. Biskup w końcu uległ naleganiom i mianował księdza Alberę dyrektorem szkoły.

Ksiądz Orione z małą grupką oddanych sobie księży zamierzał właśnie założyć nowe zgromadzenie i planował już jego rozwój. Teraz decyzja biskupa kładła kres wszystkiemu.

Przeto ksiądz Sterpi z księdzem Goggim udał się do biskupa ze zdecydowaną rezolucją. „Połączyliśmy się z księdzem Orione i zobowiązaliśmy się do współpracy z nim, a nie z kimś innym. Skoro on opuszcza placówkę, wycofujemy się ze szkoły i jesteśmy gotowi przejść do pracy duszpasterskiej w diecezji”.

Biskup widział, że z ich odejściem nowe dzieło jest zagrożone, jednakże ani myślał ustąpić. „Nie sądzicie, że zamierzam szkodzić dziełu; nie miałem nigdy takiego zamiaru” – zapewniał, lecz zarządzenia wyraźnie nie cofnął. Delegaci wrócili przygnębieni i sprawa została w zawieszeniu.

Wtedy ksiądz Orione udał się osobiście do biskupa. Osiemdziesięcioletni dziś kapłan, jego ówczesny kie-

ownik duchowy, opowiadał mi, jak bardzo, znając ognisty temperament Alojzego, niepokojono się o wynik tej audiencji. Biskup był rozdrażniony i obstawał przy swoim zdaniu; Orione też nie był z natury skłonny do ustępstw. Łatwo mogło więc dojść do zaostrożenia konfliktu. Jeśli Orione straci panowanie nad sobą – trudno przewidzieć skutki.

Obawy okazały się płonne. Orione dowiódł wszystkim, że ma nie tylko energię, rozmach, zapał i śmiałość, ale także takt i cierpliwość, gdy tego potrzeba. Był dyplomatą. Z biegiem lat ta druga strona jego charakteru występuje coraz wyraźniej i równoważy śmiałość jego poczynań.

– Najcięższą walkę toczył Alojzy Orione przez całe życie z gwałtownością swego temperamentu – mówił dalej starzec. – Nie przyszło mu łatwo tę wrodzoną porywczosć opanować. Był wolny od zarozumiałości i pychy, chociaż na podstawie niektórych czynów z dała stojący czasem go o to posądzali. Otoczenie nie wiedziało nic o heroicznym walkach, jakie nieustannie ze sobą staczał.

Charakter księdza Orione objawiał się najwyraźniej w sposobie reagowania na listy, których treść stała w poprzek jego zamiarom lub zawierała propozycje, na które nie mógł się zgodzić. Sięgał zwykle po arkusz papieru i zapisywał szybko całe strony kilkoma zdaniem, z ogromnym rozmachem, wielkimi literami swojego nieregularnego pisma. Potem następowały

liczne skreślenia, ale już wtedy pióro było wolniejsze i spokojniejsze. Na koniec pierwsza redakcja listu wędrowała do kosza i Alojzy zaczynał od nowa lub pogodnie kapitulował. Innymi słowy, pierwsza reakcja na każdą przeciwność była gwałtowna, później przychodziło zastanowienie i ostatecznie panował zawsze nad swymi reakcjami. Jeżeli czasem był szorstki w obejściu z innymi, to surowość, z jaką odnosił się stale do samego siebie, była bez porównania większa.

Małe Dzieło wciąż rosło. Ksiądz Orione jako człowiek czynu, a równocześnie mąż modlitwy, zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw grożących temu szybkiemu rozwojowi. Jak łatwo było zupełnie pogrzyźć się w wirze aktywności i potraktować je jako cel sam w sobie. Trzeba było nieustannej modlitwy, która wspierałaby go w tym wszystkim, co robił. Stąd zrodził się pomysł erygowania „Eremitów Boskiej Opatrzności”, wspólnoty mężczyzn, którzy – jak mówi sama nazwa – w samotności oddawaliby się nieustannej modlitwie i prostej zbożnej pracy.

Swój plan przedstawił ksiądz Orione papieżowi Leonowi XIII, który go natychmiast podjął i zaaprobował. Pierwszym erygowanym kanonicznie zgromadzeniem księdza Orione byli eremici, których pierwsze obłóczyny odbyły się 8 września 1898 roku, trzy lata po święceniach kapłańskich ich założyciela.

Małe Dzieło Boskiej Opatrzności – zgromadzenie zakonne dzisiaj szeroko w świecie rozpowszechni-

nione właściwie rozpoczęło swój żywot już 3 lipca 1892 roku, gdy Orione był jeszcze seminarzystą, a miejscowy biskup poświęcił uroczyscie Oratorium świąteczne św. Alojzego jako grupę stowarzyszonych chłopców mających swą siedzibę w Tortonie na wieży katedralnej. *Decretum laudis* – dekret pochwalny Stolicy Apostolskiej podaje ten dzień jako datę powstania zgromadzenia.

Eremici osiedlili się w starym klasztorze św. Alberta z Butrio pod Pawią w Apeninach. Legenda głosi, że król Anglii Edward II, zamordowany według historii w Berkeley Castle, w rzeczywistości uszedł do Włoch i właśnie w tym klasztorze położonym wysoko w górach, trwając na modlitwie i pokucie, zakończył życie. Eremici przenieśli się później do innego klasztoru na górze Soratte, także w Apeninach, lecz bliżej Rzymu. Początek ich istnieniu dała garstka mężczyzn, przeważnie wiejskiego pochodzenia, których życie, pracę i modlitwę regulowały jak najbardziej uproszczone przepisy. Ksiądz Orione nie myślał o zakonie poświęcającym się wzniosłej kontemplacji. W tym zgromadzeniu widział naturalne, praktyczne i konieczne uzupełnienie innych swoich dzieł.



ROZDZIAŁ IV

LECAĆCE ISKRY



Lenin w 1901 roku założył swój organ prasowy „Iskra”. Przy tej okazji pisał: „Prasy można użyć nie tylko w charakterze społecznego propagandzisty i agitatora, ale też organizatora kolektywu”. W artykule wstępnym *Gdzie zacząć* oświadcza: „Gazeta będzie przewodnikiem, a gdy pójdziemy za jej wskazówkami, będziemy się rozwijać, pogłębiać i rozszerzać...”.

Sześć lat wcześniej, w 1895 roku, ukazało się w Tortonie inne piśmko pod tym samym tytułem – „Iskra”. Jej redaktorem był nowo wyświęcony kapłan Alojzy Orione. Szczupłe objętościowo piśmko informowało o dotychczasowych osiągnięciach i o wielkich zamierzeniach dotyczących ubogich chłopców z Tortony. Młody ksiądz Orione zdawał sobie już od samego początku sprawę z możliwości rozwojowych swojego dzieła. Nie wiadomo, czy przewidywał, jaką rolę odegra w tym procesie mała „Iskra”. W praktyce była ona dla jego dzieł tym samym, czym kilka lat później była „Iskra” Lenina dla partii bolszewickiej. W 1898 roku biuletyn księdza Orione został poddany reformie: zmienił format i zawartość oraz otrzymał nowy tytuł „Dzieła Boskiej Opatrzności”.

Pewnego dnia egzemplarz tego małego czasopiśma dostał się do rąk biskupa miasta Noto na Sycylii, które liczyło około pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców. Treść zaciekała biskupa. Podobała mu się opisana w nim działalność. Napisał też niezwłocznie do księdza Orione, donosząc, że w sąsiedztwie jego rezydencji jest wielki, opustoszały gmach, który byłby gotów oddać na urządzenie sierocińca i małego seminarium dla pielęgnowania powołań kapłańskich.

Orione znowu widział w tym rękę Boskiej Opatrzności i nie zwlekał z pozytywną odpowiedzią. W niedługim czasie wyruszyła na Sycylię mała grupa księży, mimo że byli bardzo potrzebni na miejscu.

Dzieło Boskiej Opatrzności wyszło poza granice diecezji Tortony. To pierwsze zetknięcie z Sycylią wywołało doniosłe następstwa, można je więc uważać za punkt zwrotny w historii zarówno zgromadzenia, jak i w życiu księdza Orione. Dalsze wydarzenia bowiem przeszły wszelkie jego oczekiwania.

Orione przebywał głównie w Tortonie i okolicy. Był dyrektorem i nauczycielem tamtejszego zakładu. Musiał też mieć na oku odległą o kilka kilometrów szkołę rolniczą. Troska o młodzież nigdy go nie opuszczała. Pod koniec tygodnia był zawsze w drodze z kazaniem do któregoś z kościołów diecezji. Jako kaznodzieja miał nadzwyczajne powodzenie. Talent oratorski, wymowa, dar przekonywania oraz głęboka treść wywierały wielkie wrażenie na wiernych i ściągały tłumy.

Łatwo można zrozumieć, że strona zewnętrzna i formalna organizacji odgrywały w tych pierwszych latach rolę znikomą. Zgromadzenie zrodziło się z palących potrzeb miejscowych i miało zaradzić ciężkiej powszechnej nędzy społecznej. Młody Orione był bez wątpienia pod przemożnym wpływem księdza Bosko i naśladował działalność salezjanów w Turynie. W początkach, aż do otwarcia placówki na Sycylii Zgromadzenie było zdane na łaskę i niełaskę biskupa Bandiego, dostojnika kościelnego o mocnym charakterze, który tylko z wielką ostrożnością i bardzo przezornie udzielał pomocy.

Doniosłe znaczenie dla zgromadzenia miało jego oficjalne zatwierdzenie przez biskupa, który 21 marca 1903 roku – w uroczystość św. Benedykta – zatwierdził je formalnie i oficjalnie, nadając mu nazwę „Dzieło Boskiej Opatrzności” oraz wyznaczając na patronów: św. Benedykta, św. Franciszka z Asyżu, św. Wincen- tego à Paulo, św. Jana Bosko i św. Józefa Benedykta Cottolengo. W tej mnogości patronów tkwiła jakby przepowiednia przyszłej ekspansji zgromadzenia.

Rok 1906 był decydujący w rozwoju Zgromadzenia. Ksiądz Orione uzyskał posłuchanie u Ojca Świętego Piusa X i przedłożył regułę Zgromadzenia z prośbą o jej zatwierdzenie. Pełen nadziei wyruszył z Tortony do Rzymu. Jeżeli uzyska papieską zgodę, jego Dzieło będzie ugruntowane i zabezpieczone. Jednak towarzyszył mu również pewien niepokój. Jakże ży-

czył papieżowi krótkiej i zawodnej pamięci! Miał po temu uzasadnione powody; przecież to on naraził się kiedyś osobiście obecnemu papieżowi.

Pewnego dnia jako młody seminarzysta spotkał w Tortonie Józefa Perosiego, ojca wybitnego muzyka Wawrzyńca Perosiego. Biskup poznał się na uzdolnieniach Wawrzyńca, który już jako seminarzysta komponował melodie, i dlatego polecił go ówczesnemu kardynałowi patriarsze weneckiemu, późniejszemu papieżowi Piusowi x, gdy ten zakładał przy bazylice św. Marka szkołę muzyczną dla chóru kościelnego. Wawrzyniec został wysłany do Wenecji, aby kontynuować studia muzyczne. Kardynał Sarto polubił go bardzo i rozmawiał z nim często na temat nowej szkoły muzycznej. Ojciec Wawrzyńca powinien być z tego zadowolony, a nawet dumny. Tymczasem wydawał się bardzo zatroskany, kiedy Alojzy tego ranka spotkał go w Tortonie.

– Jak powodzi się Wawrzyńcowi? – zawołał przez ulicę.

– Lepiej o nim nie mówić: źle, bardzo źle z nim – odpowiedział Józef.

– Czy stało się coś złego?

– Proszę sobie wyobrazić, kardynał patriarcha wenecki zaprzyjaźnił się z nim i psuje mi chłopca.

– Dlaczego? Pan powinien być z tego dumny.

– Kardynał co wieczór zaprasza go do siebie na rozmowę, gra z nim w karty, a nawet częstuje go papierosami. Z tego nic dobrego nie będzie.

Alojzy przyznał mu rację. Oburzył się na myśl, że kardynał psuje jego kolegę i krajana. Przejął się troską starego ojca. Pośpieszył do domu i w pierwszym porywie zredagował list do kardynała patriarchy, jeden z jego najostrożniejszych listów (a nie miał jeszcze wtedy zwyczaju przeredagowywania swoich listów po namyśle). Wyraził w nim z całą szczerością swoje ubolewanie i oburzenie z powodu takiego postępowania kardynała. Wybiegł z domu i wrzucił list do skrzynki. Gdy jednak ochłonął, zaczął sam siebie strofować: „Mój Boże, co ja zrobiłem? Czy mały seminarzysta ma prawo udzielać nagany wielkiemu dostojnikowi Kościoła?”.

Całe tygodnie przeżył w podnieceniu i oczekiwaniu burzy. Ale nic się nie stało. Pocieszał się, że ktoś taki jak kardynał ma przecież obszerną korespondencję i nie może wszystkich listów czytać sam. Długo nie było wieści z Wenecji. Aż tu nagle przed święczeniami nadchodzi zawierająca materiał na sutannę paczka z Wenecji – bez nadawcy. Nadawca widocznie odgadł, że Alojzego nie stać na kupno nowej. Alojzy, rozpakowując ją, cieszył się, że przynajmniej Wawrzyniec o nim pamiętał. Chyba nie kupił tego materiału za pieniądze wygrane w karty?

Obecnie kardynał Sarto jest papieżem Piusem x. Alojzy potrzebował jego łaski, której mu nikt inny udzielić nie mógł. Pomoc Opatrzności była tym razem bardziej potrzebna niż kiedykolwiek, jeśli miał dopiąć swego celu.

Papież przyjął go po ojcowsku i słuchał uprzejmie, gdy Alojzy przedstawiał swój plan i zamierzenia na przyszłość. Przedłożył regułę, którą papież zaaprobował z minimalnymi zmianami, na przykład dodając do nazwy zgromadzenia słowo „małe”, tak że całość brzmi: „Małe Dzieło Boskiej Opatrzności”. To było zupełnie po myśli księdza Orione. Czuł, że papież jest osobiście zainteresowany losami jego Zgromadzenia.

Ojciec Święty aprobował ducha i cel Zgromadzenia, udzielając mu swego pełnego błogosławieństwa. Papież ukazywał Alojzemu horyzonty, przewidywał rozwój Dzieła i zachęcał do pracy nad „jednością Kościoła na Wschodzie”. Po krótkim namyśle dodał: „To jest przedsięwzięcie wielkiej wagi”.

Ośmielony słowami papieża ksiądz Orione uważał, że wobec korzystnej koniunktury można uzyskać coś więcej. Wspominał przeto, że na przeszkodzie do przeprowadzenia dalekosiężnych planów stoi zupełny brak pieniędzy. Papież polecił wręczyć mu natychmiast pewną sumę i przyrzekł dalsze wsparcie.

Ponownie udzielił młodemu kapłanowi błogosławieństwa i gdy Orione podniósł się z klęczek, rzucił: „Chwileczkę – i sięgnął po brewiarz na stole – to przywozłem ze sobą do Rzymu”. Orione nie mógł się zorientować, o co chodzi. Papież otworzył książkę: „Tu mam coś, co ci chcę pokazać”. Ksiądz Orione w tej chwili poznał swój list napisany ongiś, jeszcze w seminarium.

„Widzisz – rzekł Pius x – i papieżowi potrzeba przypominać o konieczności pokory. Z tego powodu zachowałem ten list i noszę go zawsze przy sobie”.

Spojrzał żartobliwie na Alojzego i dodał: „A czy materiał na pierwszą sutannę kapłańską dotarł wtedy do ciebie?”.

Pierwsza audyencja u papieża zastanowiła głęboko księdza Orione i dała mu dużo do myślenia. Z wielu względów miała ona wielkie znaczenie.

Z nią też wiąże się pewne zdarzenie. Na audyencję przybył za wcześnie, dlatego wstąpił na modlitwę do pobliskiego kościoła ojców karmelitów. Ponieważ słuchano spowiedzi, postanowił skorzystać z okazji i podszedł do konfesjonału.

Z uszanowania dla następcy Chrystusa przyjął zwyczaj spowiadania się przed każdą audyencją. Tym razem trafił na spowiednika starego, nie dość dobrze słyszącego, wielomównego, traktującego jego wyznanie nader dokładnie i drobiazgowo. Po każdym grzechu następowało długie „kazanie”. Orione śledził z największym niepokojem wskazówki zegarka, gdyż zbliżała się wyznaczona godzina audyencji u Ojca Świętego. W końcu zrozpaczony przerwał spowiedź, pobiegł i stanął bez tchu przed sekretarzem papieskim, który przyjął go słowami: „Nie ma powodu się niepokoić, choć się ksiądz spóźnił. Tam jeszcze ktoś jest”.

Ksiądz Orione odzyskał już równowagę, gdy przyszła na niego kolej, ale zupełnie pewny się nie czuł.

Pius x uśmiechnął się do niego.

„Spóźniłeś się, ale daruję ci to i powiem coś więcej – kontynuował. – Kiedy idziesz do spowiedzi, wyznawaj do końca wszystkie swoje grzechy i spokojnie zakończ spowiedź, nie licząc się z czasem”.

Tak objawił Pius x, nie po raz pierwszy, tajemniczy dar, że zna sprawy, o których naturalną drogą dowiedzieć się nie mógł. Dar ten posiadał również ksiądz Oriane.

Od tej pierwszej audiencji, którą można uważać za rozmowę dwóch świętych, zostali Pius x i ksiądz Oriane bliskimi przyjaciółmi. Podziwiali się wzajemnie, jeden brał żywy udział w działalności drugiego.

Może to przypadek, że Pius x, gdy został papieżem, obrał sobie hasło, które Alojzy już w 1892 roku podał swemu Zgromadzeniu jako naczelną dewizę i która do dziś jest hasłem Synów Boskiej Opatrzności: *Instaurare omnia in Christo* – „Odnowić wszystko w Chrystusie”.



ROZDZIAŁ V

TRZĘSIENIE ZIEMI – GEOLOGICZNE I TEOLOGICZNE



28 grudnia 1908 roku wskutek trzęsienia ziemi zginęło blisko sto tysięcy ludzi na Sycylii i w Kalabрії. Wiadomość o katastrofie wstrząsnęła całymi Włochami. Na zachodnim wybrzeżu Kalabрії i we wschodniej Sycylii zapanował chaos zniszczenia i nędza nie do opisanía. Ruch kolejowy był przerwany, poczta nie funkcjonowała, połączenie ze światem było prawie niemożliwe. Z Palermo, aby przywrócić porządek, wysłano oddziały wojskowe.

Pierwszą troską księdza Orione na wieść o tym tragicznym wydarzeniu był los osieroconych dzieci. Alojzy pragnął się znaleźć jak najprędzej na miejscu zniszczenia, aby je ratować wszystkimi możliwymi sposobami. Liczył bardzo na małą placówkę w Noto, która mogła okazać się pomocna. Podróż z północnych Włoch na Sycylię była bardzo kosztowna, lecz wspólnota w Tortonie powzięła szybką decyzję. Sprzedano najlepszy zaprzęg wołów i ksiądz Orione w towarzystwie księdza Pasquale mógł wyruszyć w drogę. Orione udał się do Messyny, jego towarzysze do Palermo.

Gdy ksiądz Orione przybył na miejsce, żołnierze wydobywali z gruzów rannych i grzebali zabi-

tych. Dziesiątki tysięcy ludzi zginęło pod ruinami. Wszystko było zdeorganizowane do tego stopnia, że zarówno ratujący, jak i uratowani przebywali pod gołym niebem bez dachu nad głową. A była zima i lodowaty wiatr pogarszał sytuację. Orione zabrał się natychmiast do pracy, zapominając całkowicie o sobie. W czasie pierwszych czterdziestu ośmiu godzin nie jadł i nie spał wcale. Po zakończeniu akcji ratunkowej należało zająć się bezdomnymi, rannymi, chorymi, sierotami, a to było ważniejsze i trudniejsze zadanie od poprzedniego.

Ksiądz z Tortony zwrócił wkrótce na siebie uwagę. Orione bowiem często wpadał do katedry w Messynie i żarliwie się modlił. Przygotowano mu łóżko w zakrystii katedry, lecz nigdy z niego nie korzystał. Odstępował je bardziej potrzebującym, a sam sypiał na podłodze. W tym rozpaczliwym położeniu zajaśniał w całej pełni jego spontaniczny heroizm, współczucie dla cierpiących i miłość do biednych i opuszczonych. Dał także niezbite dowody swego talentu organizacyjnego i wkrótce pod jego kierownictwem cała akcja ratunkowa rozwinęła się w pełni. 10 stycznia przybył delegat Stolicy Apostolskiej ks. prałat Emil Cottafavi.

Orione oddał się od razu do jego dyspozycji, dwoił się i troił w pracy. Osieroconych chłopców umieszczał w domu swego Zgromadzenia w Noto albo wysyłał do domu w Cassano Ionio w Kalabrii. Rząd uruchomił komitet pomocy dla dotkniętych katastrofą, który

wkrótce podporządkował się kierownictwu niezmordowanego drobnego księdza z północnych Włoch. Rząd umiał docenić zasługi księdza Orione i odznaczył go złotym medalem. Był on jedynym kapłanem, który dostąpił tego zaszczytu.

Ojciec Świąty, pełen wdzięczności dla niego, ofiarował mu kolonię rolniczą Santa Maria z przeznaczeniem na sierociniec. Była to posiadłość pod Rzymem, którą papież niedawno sam otrzymał w darze.

Ponadto wyróżnił księdza Orione, powierzając mu urząd wymagający nieprzeciętnej siły charakteru, taktu i miłości bliźniego.

Następstwa bowiem katastrofy wśród miejscowego duchowieństwa we wschodniej części Sycylii można przyrównać do objawów pomoru i zaraźliwej dżumy średniowiecznej. Wielu z najlepszych księży poniosło śmierć od razu. Najgorliwsi i najpobożniejsi zginęli w czasie dalszych wstrząsów, niosąc pomoc i Najświętszy Sakrament zasypanym. Ocaleli przeważnie ci, którzy zwykli pamiętać przede wszystkim o własnym bezpieczeństwie. Dalszym następstwem tej katastrofy, jak to zresztą zawsze bywa w czasie klęsk żywiołowych, było ogólne rozprężenie i zdziczenie obyczajów. Ogrom pracy i beznadziejność sytuacji pozbawiła wielu równowagi duchowej.

Nastąpiła demoralizacja czasem także wśród kleru. Arcybiskup Messyny zwrócił się do papieża z prośbą o przysłanie specjalnego wikariusza generalnego spo-

za Sycylii, który ująłby w karby duchowieństwo, przywrócił ład i porządek. List jego przywiózł do Rzymu adwokat Bersani, czynny członek katolickiej organizacji dobroczynnej, i wręczył go jednemu z kardynałów, nie mogąc zobaczyć się z Ojcem Świętym. Kardynał przeczytał list i zapytał, co on sam o tym sądzi. Bersani widział księdza Orione przy pracy i zaproponował go jako najodpowiedniejszego kandydata, gdyż działając na miejscu, był najlepiej zorientowany w sytuacji. Następnego dnia mianował papież księdza Orione wikariuszem generalnym. Godność ta nie była w żadnej mierze do pozazdroszczenia.

I tak znalazł się pokorny trzydziestosześcioletni ksiądz na stanowisku, które dawało mu władzę nad starszymi od siebie, wyżej postawionymi w hierarchii kościelnej i godnościach. Miał sprostać zadaniu, które przerastało siły miejscowych biskupów. Taka pozycja musiała już z góry wywołać niechęć, brak popularności, a nawet zaciętą wrogość miejscowego duchowieństwa.

Przez całe swoje życie Orione dawał niezbite dowody całkowitego oddania Stolicy Apostolskiej. I teraz, chociaż nowe zajęcie narażało na zastój jego ukochane Dzieło w Tortonie, a jego samego na wielkie nieprzyjemności, przyjął jednak nowy obowiązek w pokorze i bez sprzeciwu. Ksiądz Sterpi objął pieczę nad młodym Zgromadzeniem, które ucierpiało nieco wskutek nieobecności założyciela.

Przez trzy lata ksiądz Orione pełnił swoje obowiązki na Sycylii. Dotąd organizował chłopców i swoich współbraci, przepełnionych tym samym duchem gorliwości. Obecnie miał reorganizować duchowieństwo wytrącone z normalnego toku pracy, częściowo nawet zdemoralizowane. Miał do czynienia z ludźmi, którzy nosili z nim tę samą sutannę, lecz nie byli tego samego ducha. Zgodnie z oczekiwaniem sprostał jednak zadaniu z niezwykłym powodzeniem. Wszystkie rozporządzenia Rzymu przechodziły przez jego ręce, miał wszelkie uprawnienia. Miejscowi biskupi byli bezradni i bezsilni. Orione ujął z całą energią cugle w swoje ręce. Sprowadził sobie na Sycylię do pomocy jednego ze swoich księży, znawcę prawa kościelnego i biegłego archiwistę z Tortony. Przemawiał do sumienia i radził, gdzie się dało. Tam, gdzie to nie pomagało, uciekał się do kar dyscyplinarnych, dokonywał przenosin, nadzorował i tak powoli udało się opanować chaos i wprowadzić normalny porządek. Musiał za to drogo płacić. Poznał, co znaczy nienawiść księży posunięta aż do spisków.

Niektórzy upadli tak nisko, że nie było oręża, którego by nie użyli przeciwko księdzu Orione, żeby się tylko go pozbyć. On jednak uszedł wszelkim zasadzkom, nawet wrogów zmieniał w przyjaciół i takim postępowaniem pozyskał trwałą miłość i wdzięczność Piusa x. Ojciec Święty zdawał sobie sprawę z trudności, z jakimi musiał się ksiądz Orione bory-

kać, i z niechęci, jaka go otaczała. Mianował jednego z księży Zgromadzenia, księdza Feliksa Cribellatiego, biskupem i wysłał go do niego z zapewnieniem, iż cokolwiek by się działo, papież jest zawsze po jego stronie.

„Proszę powiedzieć księdzu Orione – rzekł – aby miał cierpliwość, cierpliwość i jeszcze raz cierpliwość, bo cierpliwość czyni cuda”.

Gdy skutki trzęsienia ziemi zostały usunięte, Orione prosił o pozwolenie na powrót do swojego Dzieła w północnych Włoszech, gdzie był już bardzo potrzebny. Wracał otoczony jeszcze większym poważaniem i zaufaniem. Na Sycylii zapłonęły w nim nowe zainteresowania i otworzyły się przed nim nowe horyzonty.

Gdy w Messynie usiłował uporać się z opornym duchowieństwem, także część inteligencji katolickiej stanęła w opozycji. Szerzył się wśród niej duch modernizmu. Pius x właśnie w tym czasie walczył z modernizmem i jego zwolennikami. Ksiądz Orione przyjął uderzenie ze strony tych ludzi i pokonał własną ich bronią. Zrezygnował z przymusu i dyskusowania, a wszystkie swe nadzieje złożył we wszechwładnej miłości bliźniego.

Wróciwszy do Tortony, prowadził dalej dzieło miłości, bo i tutaj było ono konieczną potrzebą. Skoro tylko dowiedział się o jakimś kapłanie, że grozi mu niebezpieczeństwo odstępstwa, suspensa lub eksko-

munika, zaraz spieszył mu z pomocą duchową. Jego zdaniem byli to ludzie, którzy potrzebowali szczególnej miłości i zrozumienia. W dyskusję się nie wdawał, chociaż było go na to stać. Nie wierzył bowiem w skuteczność tych środków w takich okolicznościach. Wiedział, że ci ludzie dobrej woli i tak już sami rozpatrzyli wszystkie za i przeciw, nie potrzebowali więc pouczenia i wyjaśnienia. Im trzeba było miłości, aby ich uchronić przed rozgoryczeniem, i jeszcze większej miłości, jeżeli już byli rozgoryczeni.

Jeździł więc po północnych Włoszech i po Szwajcarii, wyszukiwał zagrożonych odstępstwem, przyjmował ich do swoich domów, a ci często pozostawali u niego na zawsze. Odstępował im nawet swoje łóżko, jadał z nimi, poświęcał im swój czas. Jego postawa pełna pokory i szczerzej miłości, płynącej wprost z serca, zniewalała ich. Niektórych nakłonił nawet do pracy w swych domach dla sierot.

Ojciec Święty udzielił mu prawa słuchania spowiedzi bez ograniczania miejsca i z tego pozwolenia robił jak najszerzy użytek przy każdej nadarzającej się okazji. Wśród tych, których przywrócił Kościołowi, byli głośni teologowie, kaznodzieje, ludzie o wybitnej umysłowości. Z dużym prawdopodobieństwem można było zawsze przypuszczać, że towarzyszący mu kapłan jest albo podejrzany, albo już pozbawiony urzędu. Tacy znajdowali się we wszystkich jego domach.

Działalność ta wymagała nie mniej taktu i ostrożności niż akcja ratunkowa na Sycylii. Była w dodatku połączona z niebezpieczeństwem. Ksiądz Orione ściągął na siebie i swoje Zgromadzenie nawet podejrzenie ze strony duchowieństwa i innych, jakoby księża odstępcy przebywający w jego domach należeli do jego Zgromadzenia oraz jakoby już i ono było zarażone modernizmem i zepsuciem albo składało się z chorobliwych wprost ignorantów. Opinia Zgromadzenia była narażona na szwank. Orione znosił wszelkie podejrzenia bez skargi. Synowie Boskiej Opatrzności po dziś dzień uważają ten rodzaj apostołstwa za swoje specjalne zadanie. Od tego bowiem czasu do dziś we wszystkich prawie domach włoskich – jako świeccy – pracują byli księża, którzy wrócili na łono Kościoła, oraz księża diecezjalni, którzy przystąpili do Zgromadzenia.

Było przeto nieuniknione, że i sam ksiądz Orione zostanie pomówiony o modernizm. Jego stosunek do modernistów był obarczony ogromnym ryzykiem, lecz Orione ryzykował przez całe życie. A czynił tak z bezgranicznej miłości. Wiedział, że naraża się, że grozi mu niezrozumienie i oszczerstwa, lecz to wszystko nie zniechęcało go nigdy.

Nadszedł dzień, kiedy ksiądz Orione został wezwany przez Piusa X wskutek insynuacji i posądzania go o sprzyjanie modernizmowi ze względu na utrzymywanie kontaktów z niektórymi z jego wyznawców.

Papież zwalczał modernizm bezwzględnie i był zdecydowany wytepić go doszczętnie, uważając to za swoje przykre, lecz konieczne zadanie, w którego wypełnieniu nie dało się uniknąć zranienia nawet niewinnych.

Gdy ksiądz Orione zjawił się w sali audiencyjnej, papież odezwał się ze smutkiem: „Słyszałem, że nawet ksiądz jest modernistą”.

Orione wytłumaczył swe postępowanie. Wtedy papież rzekł: „Uklęknij i odmów *Credo*”.

Orione modlił się z tak gorącym przejęciem, że papież mu przerwał: „Widzę, że jesteś zupełnie w porządku. Idź, synu, w pokoju i czynń nadal, co uważasz za słuszne i pożyteczne”.

Odtąd mając papieskie uznanie, mógł oddać swe usługi kapłanom czy to zawieszonym w urzędzie, czy też ekskomunikowanym.

Pius X nigdy nie pytał o szczegóły tych zmagających się czasem latami. Gdy ekskomunika była nieunikniona, Orione odszukiwał zagrożonego, starał się nakłonić go do skruchy, do powrotu i uznania autorytetu Kościoła. Papież wiedział, że ksiądz Orione dorównywał niejednemu z nich inteligencją i wiedzą teologiczną; wiedział także, że szukał dusz zgubionych i zdobywał je swoją żarliwą miłością, nie chcąc upokarzać błędzących. Jakże więc mógłby mu w tym przeszkadzać?

13 stycznia 1915 roku – w przeddzień przystąpienia Włoch do I wojny światowej – nastąpiło ponowne

straszne trzęsienie ziemi. Tym razem w okręgu Marsyki w pobliżu Rzymu; jego ofiarą padło trzydzieści tysięcy ludzi. Władze cywilne, pamiętając działalność księdza Orione w Messynie, wezwały go na pomoc. Natychmiast zjawił się na miejscu katastrofy, gdyż niesienie ulgi w wielkich cierpieniach uważał za swój pierwszy obowiązek. Trzy zakłady w Rzymie, łącznie z podarowanym ostatnio przez Piusa X, zamienił na tymczasowe kwatery dla dotkniętych klęską. Gdy ksiądz Orione przybył, obszar katastrofy pokrywała gruba warstwa śniegu i przyszło mu pracować w warunkach gorszych, niż przypuszczał.

Mimo to rzucił się w wir pracy. Jego osobisty przykład i talent organizacyjny budziły powszechny podziw. Wioska znajdująca się na wysokości tysiąca dwustu metrów na szczycie góry Bove uległa zniszczeniu. Skoro Orione dowiedział się o tym, udał się tam natychmiast przez zasypane śnieżne. Czynił, co mógł. Uratował sześćcioro rannych, prawie nagich, zziębniętych i zgłodniałych dzieci.

Zaśnieżoną okolicę niepokoiły wilki, ujadając i warcząc, doskakiwały do samochodu, w którym Orione wiozł dzieci. Przerażone biedactwa uspokajał słowami: „Jakże nas lubią te wielkie psy”.

Baron von Hugel pisze w swoich *Esejach i rozprawach o filozofii i religii*: „Gdy moja najstarsza córka osiem miesięcy przed śmiercią dotarła do okolic nawiedzonych wtedy trzęsieniem ziemi w Kampanii

rzymskiej, wstrząsnął nią dziwny obraz. Oglądała ruiny i gruzy, ślepią i bezmyślną zagładę prostych, bezbronych i żywych ludzi, dokonaną przez siły natury. Ogień i gaz. Rozpacz nieszczęśliwych wieśniaków powiększała jeszcze bezmiar klęski, a wśród tego zniszczenia i śmierci krążył całkowicie zaabsorbowany losem tych ludzi kapłan – ksiądz Orione, którego prosty i biedny lud uważał za świętego. On to na swoich ramionach dźwigał po dwoje dzieci, a gdzie się tylko pokazał, wnosił w atmosferę rozpacz i zniszczenia ład i porządek. Moja córka powiedziała mi, że widok ten budził w ludziach przekonanie, iż fundamentem wszystkiego jest miłość, miłość taka, jaką objawiał ten skromny kapłan zapominający bez reszty o sobie”.

Jednym z uratowanych przez księdza Orione był Kajetan Picinini. Sam mi opowiadał tę przedziwną historię pewnego późnego wieczoru, gdy bramy były już zamknięte i plac opustoszał, a tylko my dwaj siedzieliśmy razem w ruinach Forum Romanum.

Opowiadając, odtwarzał mi ów straszny dzień sprzed czterdziestu lat, kiedy sroga śmierć nawiedziła Marsykę.

Pierwsze silne wstrząsy nastąpiły rankiem o godzinie wpół do ósmej, gdy zaczynał się właśnie dzień roboczy dla piętnastu tysięcy mieszkańców. Matka jedenastoletniego Kajetana wysłała go po jakiś drobiazg do zamężnej siostry. Na schodach wiodących do jej mieszkania podniósł wielkiego białego kota i położył

go sobie na ramionach. Kot był dziwnie niespokojny, złośliwy i drapał bez powodu. Dziwiło go to niezwykle zachowanie zwierzęcia.

Wtem nastąpił trzask i huk jak wśród najgwałtowniejszej burzy morskiej. Ziemia zadrżała. Domy wokoło rozpadały się w gruzy. Dom jego siostry o płaskim dachu był jednym z nielicznych, które ocalały, lecz ściany wewnętrzne, okna i drzwi rozsypały się. Wyrwane drzwi runęły na niego, rzucając go o ścianę, jednak kot na ramieniu złagodził siłę uderzenia. Gruz zasypał drzwi. Kajetan przez chwilę leżał przerażony, myśląc usilnie, jakby się wydostać. Kot odkrył szczelinę w gruzach, wdrapał się na nie i wydostał na zewnątrz. „Skoro mógł kot, mogę i ja” – powiedział sobie, czolgając się cal za caliem i torując sobie drogę.

Tak wydostał się na ulicę, skąd zobaczył rodzinny dom w gruzach. Biegł z płaczem w jego stronę, a wszędzie widział trupy. Szczególnie jednego z nich zapamiętał. Był to trup bogatego i ekstrawaganckiego obywatela tego miasteczka, zwanego „milionerem”. Straszny widok – zdruzgotana głowa, ramiona rozrzucone, a na tłustych palcach błyszczały duże, brylantowe pierścienie, z których był znany. Tego widoku Kajetan nigdy nie zapomniał. „W śmierci są wszyscy równi: bogaci i ubodzy” – powiedział sobie.

Zobaczył też ciało swojego dziewiętnastoletniego brata Dominika. Zamiast domu zastał stos kamieni

i gruzu. Ojciec, matka, cała liczna rodzina, krewni zginęli, z wyjątkiem jednego brata, siostry i wuja. Z głośnym krzykiem „mamo, mamo” pobiegł z powrotem do domu siostry. Przechodząc przez ulicę, rzucił wzrokiem na rozciągnięte na ulicy zwłoki milionera. Pierścieni z diamentami już nie było. Jakaś hiena ludzka obcięła mu palce, by zdobyć brylanty. „Ze wszystkich rzeczy to było dla mnie najohydniejsze” – powiedział.

W takiej atmosferze pracował ksiądz Orione. W sumie było około trzydziestu tysięcy zabitych, a z każdym dniem przybywało podobnych do Kajetana sierot. Ten znalazł na kilka dni schronienie u siostry i szwagra. Wkrótce rozeszła się wieść, że pewien mały ksiądz przyjmuje sieroty do zakładów, a ponieważ sytuacja w mieście była beznadziejna, postanowiono Kajetana oddać pod jego opiekę do Rzymu.

Wieczorem tego samego dnia wyruszyli pociągiem – ksiądz Orione z Kajetanem i innym jeszcze chłopcem. Bardzo wielu chłopców umieścił Orione w swoich zakładach w stolicy, między innymi Ignacego Silone, późniejszego sławnego pisarza włoskiego.

Ksiądz Orione okazywał miłość i zrozumienie, chociaż bez czułości.

„Nie obdarzał tkliwymi uściskami, ale promieniował dobrocią – opowiadał mi Kajetan. – Odczułem ciężko, że straciłem rodziców, ale w nim znalazłem nowego ojca”.

W drodze Orione starał się rozproszyć przygnębienie chłopców, zwracając ich uwagę na mijaną okolicę. Gdy Kajetana opanowała senność, czuł na swym ramieniu dużą rękę, która przytulała go troskliwie. Kiedy spojrział, zobaczył różaniec dyskretnie trzymany w palcach i w półśnie słyszał szeptane przez księdza Orione: *Ave Maria – Zdrowaś Maryjo...*

Stuczterdziestopięciokilometrowa droga dłużyła się bardzo z powodu licznych zerwanych mostów. O północy dopiero przybyli do Rzymu i udali się do watykańskiego kościoła św. Anny, który wcześniej Pius x przeznaczył Zgromadzeniu księdza Orione. Chłopców ułożono na łózkach polowych na chórze. Następnego dnia małego Kajetana przeprowadzono do zakładu na Monte Mario. Zakład ten był również darem papieża po trzęsieniu ziemi w Messynie. Było tam już sto pięćdziesiąt sierot, a podobną liczbę umieścił Orione w innych zakładach.

„Na zawsze zachowałem obraz księdza Orione w czasie nocnej podróży” – oświadczył mi później ksiądz Kajetan Piccinini, członek Rady Generalnej Zgromadzenia Synów Boskiej Opatrzności. Modlitwę zawsze łączył z pracą inspirowaną przez miłość, bez efekciarstwa, złudzeń i szukania poklasku.

Inną relację o działalności księdza Orione w czasie trzęsienia ziemi zawdzięczam członkowi Niezależnej Partii Socjalistycznej Włoch, światowej sławy pisarzowi Ignacemu Silone. Silone był wtedy dzieckiem.

Cała jego rodzina zginęła w katastrofie. Oto, co sam pisze:

„Było to w pierwszych dniach po trzęsieniu ziemi. Około pięćdziesięciu tysięcy ludzi leżało jeszcze pod gruzami. Szybko organizowano ekipy ratownicze, które rozciągały opiekę nad ludźmi oszalałymi z trwogi, krążącymi nieustannie wokół rumowisk pozostałych po ich domach. Panowała sroga zima. Groziły nowe wstrząsy i śnieżne zawieje. Do tego jeszcze w okolicy wałęsały się stada wilków zwabione trupim odorem. Aby je odpędzić, musiano rozpalać ogromne ogniska.

W takich to okolicznościach stałem się mimowolnym świadkiem dziwnej sceny. Mały ksiądz – brudny, wyniszczony, nieogolony chyba już od dziesięciu dni – stał w grupie dzieci, sierot, które uratował z gruzów mej rodzinnej wioski. Rozglądał się za jakimś środkiem lokomocji, by dostać się do Rzymu, lecz bezskutecznie. Kolej była zniszczona. Na przebycie ponad stu kilometrów nie było żadnego pojazdu. Wtem pojawiło się pięć lub sześć samochodów. Król ze swoją świtą przybył obejrzeć miejsce katastrofy. Ledwie dostojni przybysze oddalili się o kilka kroków, nieznanymi małymi księżdz począł wsadzać zziębnięte dzieci do jednego z samochodów. Pilnujący pojazdów gwardzista zaoponował i wywiązała się głośna sprzeczka, która zwróciła uwagę króla. Mały ksiądz przedstawił królowi spokojnie i z uszanowaniem prośbę o udzielenie jednego z samochodów

do przewiezienia sierot do Rzymu. Król wyraził zgodę. Stałem z dala, obserwując tę scenę ze wzrastającym zdumieniem i podziwem. Kiedy ksiądz ze swymi dziećmi odjechał, zapytałem: «Co to za dziwny człowiek?». Padła odpowiedź: «To jakiś ksiądz Orione».

Orione zajął się później także Ignacym Silone, gdy go wydalono ze szkoły, w której był umieszczony po stracie rodziców i swoich bliskich. Silone zachował przez długie lata szacunek oraz przywiązanie do swojego wychowawcy.

Znamienne jest to, że Orione nie przestał kochać Ignacego, mimo że ten oddalił się od Kościoła. Owszem, dla niego ten fakt stanowił powód do jeszcze większej miłości. O czystej intencji tych uczuć świadczą dwa inne przypadki z księdzem Orione, o których sam Ignacy Silone mi opowiedział.

Silone opuścił także Instytut w San Remo, gdzie go umieścił ksiądz Orione po wydaleniu z innej szkoły zakonnej. Nie miał nigdy zamiaru zostać księdzem, co przewidywał i Orione. Przeszedł nawet do przeciwnego obozu, redagując socjalistyczne pismo dla młodzieży. Żył w niedostatku. Noce spędzał często w Koloseum, nie mając z czego opłacić noclegu. Często także głodował. I tak przez okres trzech lat od czasu, gdy jako siedemnastoletni młodzieniec opuścił Instytut, musiał borykać się z wieloma trudnościami. Duma jednak nie pozwoliła mu zwrócić się do któregoś z dawnych przyjaciół.

Nadeszło Boże Narodzenie 1920 roku. Wtedy jak zwykle miał kilka lirów w kieszeni. Chociaż był niewierzący, zapragnął uroczystej obchodzić wieczór wigilijny i wstąpił do gospody, najskromniejszej i najtańszej w Rzymie, zamawiając kolację.

Po skończonym posiłku podano mu rachunek, który przekraczał zasobność jego portfela, i kelner domagał się, aby zostawił kapelusz oraz płaszcz przeciwdeszczowy do czasu, aż wyrówna płatność. To prawdopodobnie groziło mu przezimowaniem bez płaszcza. Silone był gotów przystać na to, bo nie miał ochoty żebrnąć lub pożyczać.

Przechodząc koło kościoła św. Anny, przypomniał sobie, że to świątynia księdza Orione. Sylwetka budynku wywołała w pamięci obraz dawnego przyjaciela i dobrodzieja, któremu sprawił zawód. Poprzedniego dnia widział go z daleka, gdy wracał z dworca. Był więc w Rzymie. Błysnęła mu myśl: „To jedyny człowiek, do którego mogę zwrócić się bez zażenowania”.

„Byłem przekonany – powiedział mi – że Alojzy zrozumie mnie jak nikt inny, mimo dzielących nas lat i przekonań”.

Wszedł więc na plebanie i prosił o przywołanie księdza Orione. Orione poznał jego głos, wyłonił się z korytarza, witając go słowami: „Niezmiernie się cieszę, że cię widzę w święta Bożego Narodzenia”. Zanim Silone zdążył coś powiedzieć, Orione sięgnął do kieszeni i jednym ruchem przelał jej zawartość do

kieszeni Ignacego. Odgadł bowiem, że tylko wyjątkowa konieczność przełamała wrodzoną dumę tego człowieka. Chcąc mu nadto oszczędzić zakłopotania, przerwał rozmowę krótkim pożegnaniem i Silone odszedł. „Wróciłem do restauracji – opowiadał mi dalej – i ku zdziwieniu gospodarza wręczyłem mu pieniądze, otrzymując z powrotem płaszcz i kapelusz”.

Drugi epizod zdarzył się w latach trzydziestych tego stulecia. Wrzała wojna domowa w Hiszpanii. Silone jechał na północ. W czasie jazdy opuścił przedział drugiej klasy, aby przejść się po korytarzu. W zatłoczonej trzeciej klasie zobaczył księdza Orione. Zamienili kilka słów i Silone oddalił się. Był bowiem członkiem partii socjalistycznej i za jego głowę była wyznaczona wysoka nagroda. Dlatego podróżował incognito. Przed kilkoma dniami dokonano zamachu na Mussoliniego i w całym kraju prowadzono obławę na komunistów. Silone zdradził cel swojej podróży księdzu Orione, który zdążył do jednego ze swoich domów w Szwajcarii.

Silone wysiadł na granicy i szedł peronem za bagażowym dźwigającym jego dwie walizki. Orione w obawie, by jego przyjaciela nie poznała policja, wysiadł także i szedł za nim krok w krok, dopóki tamten nie przekroczył bezpiecznie granicy włoskiej.

Później wyznał: „Zostałem przy nim, bojąc się o jego życie. Gdyby strzelali, prawdopodobnie trafiliby mnie, a on by ocalał”.



ROZDZIAŁ VI
WIELKIE
„MAŁE DZIEŁO”



Z biegiem lat rozrastało się Małe Dzieło Boskiej Opatrzności, przybierając ustalone i określone formy, w miarę jak ksiądz Orión rozwijał swą działalność wśród rzeszy biednych i pokrzywdzonych. Ilekroć dowiadywał się o jakiejś naglącej potrzebie, spieszył natychmiast z niezwykłą bronią swojej miłości. Sam określa swe dzieło w następujący sposób:

„Powstało ono dla ubogich, i dlatego, by osiągnęło cel swojej działalności, musi przede wszystkim być poświęcone klasie robotniczej, szczególnie z najuboższych dzielnic wielkich miast przemysłowych. Dzieło istnieje dla ubogich, musi więc rozwijać się, kwitnąć między ubogimi i potrzebującymi pomocy. Jego członkowie działają wśród ubogich, mając na uwadze pracę, przykład i doskonałą ofiarę życia dla Chrystusa, by przez miłość ratować dusze swych braci. Miłość jest polem działania, nie wyklucza jednak prawdy i sprawiedliwości – przeciwnie – droga do sprawiedliwości i prawdy prowadzi przez miłość. Celem Małego Dzieła jest służba. Służba przez miłość i dla miłości. Z pomocą Boską będzie trwało i pełniło uczynki miłosierdzia dla pożytku materialnego i duchowego najbardziej

potrzebujących. Jego hasłem jest dewiza św. Pawła: «Miłość Chrystusa przynagła nas», a jego wytyczną słowa Dantego: «Nasza miłość drzwi nie zamyka». Dlatego chętnie przyjmuje smutnych, obejmuje opuszczonych, którym nikt nie poda chleba ani nie ofiaruje łóżka, których nikt nie pocieszy. Będzie wszystkim dla wszystkich, aby wszystkich zdobyć dla Chrystusa”.

Już w młodości u boku księdza Bosko zdawał sobie Orione sprawę, że takie dzieło wymaga sprężystej organizacji, a organizacja ta potrzebuje ludzi bezgranicznie ofiarnych, gotowych iść wszędzie i podjąć się każdego trudu.

Taka organizacja połączona z pracą rozwijała się tak wokół osoby księdza Orione, jak również wokół jego działalności. Kto się zbliżył do księdza Orione, czuł silny pociąg do jego osoby i dawał się wciągnąć w wir pracy dla ubogich. Kto słyszał o jego dziele, musiał je poznać, a poznawszy założyciela, ulegał jego czarowi.

Zaczął skromnie od grupy chłopców, których zbierał prywatnie najpierw w swoim mieszkaniu na wieży, potem oficjalnie w ogrodzie biskupim. Następnie powstała szkoła z internatem i szkoła rolnicza. Kapłanów i licznych seminarzystów przyciągało Dzieło oraz duch miłości bliźniego, jakim było natchnione, do tego stopnia, że obrali księdza Orione swoim przywódcą, wstępując w szeregi Synów Boskiej Opatrzności.

Leon XIII w 1898 roku aprobował i zachęcał do zrealizowania planu powołania do życia eremu dla braci

pustelników, którzy działalność zewnętrzną Dzieła wspieraliby siłą ukrytej modlitwy.

Pius x zaś odsłonił przed Dziełem horyzonty, o jakich ksiądz Orione nawet nie marzył. Nigdy Orione nie siadał do biurka, by układać plany organizacji czy pracy. Dzieło, popierane i życzliwie oceniane przez współczesnych mu namiestników Chrystusowych, powstawało spontanicznie i – rzekłbym – organicznie.

Pius x aprobował i uzupełnił regułę oraz nadał Zgromadzeniu oficjalną nazwę. Wrogowie Kościoła w Tortonie przewali drwiąco chłopców jego pierwszego zakładu «małą armią papieską». Założyciel był dumny z tego określenia.

W 1906 roku udał się do papieża i oznajmił, że jego zakonników wezwano do Patagonii w Argentynie. Arcybiskup tamtejszy przyrzekł im rozległe i owocne pole działania. Papież ustosunkował się do tego planu przychylnie, jednak na razie miał inne zamiary w stosunku do księdza Orione. Obawiał się ponadto, iż Zgromadzenie, jeszcze nieliczne, zanedta może rozproszyć swoje siły. Orione wyobrażał już sobie, jak jego Zgromadzenie zapuszcza korzenie i rozszerza się na nowym kontynencie. Papież wskazał mu potrzeby bliższych terenów, które najchętniej by mu powierzył.

– Inna Patagonia czeka na Ewangelię – rzekł – to dzielnica znajdująca się za Bramą św. Jana. Większość jej mieszkańców to chrześcijanie jedynie z metryki,

bo zostali ochrzczeni na Lateranie. Poza tym nie mają z Kościołem nic wspólnego.

Papież miał na myśli dziesięć tysięcy mieszkańców nowego osiedla znajdującego się za Bramą św. Jana na Via Appia. Były tam bloki mieszkalne, lokale rozrywkowe, ale brak było kościoła.

Ksiądz Orione przyszedł do papieża pełen nadziei, że zdobędzie odległe obszary z możliwością dalszego rozwoju. Tymczasem wspaniały plan rozwiął się w jednej chwili. Papież skierował jego działalność na inne tory, lecz to wcale go nie przygnębiło. Złożył bowiem wieczyste śluby na ręce samego papieża, który zapewnił go, że brak innych świadków uzupełnią „ich dwaj aniołowie stróżowie”.

Orione wyznał później: „Audiencja u papieża nie tyle była dla mnie radością i dowodem łaskawości, ile odnowieniem w Chrystusie i umocnieniem w służbie Kościoła. Odchodziłem z gorącym pragnieniem poświęcenia się całkowicie miłości Bożej i krzewienia miłości Chrystusowej oraz Jego namiestnika na ziemi, szczególnie w sercach maluczkich i ubogich. O, jakże niewymownej pociechy doznają wszyscy stojący pokornie i niewzruszenie u stop Kościoła i Stolicy Apostolskiej”.

W tych słowach ani śladu rozczarowania!

Ksiądz Orione przystąpił do ewangelizacji pogan na przedmieściu Rzymu. Posłał do tej pracy kilku swoich najlepszych księży. Papież postarał się o kościół dla

nowej parafii. Niezależnie od tego w listopadzie 1914 roku pierwsi misjonarze księdza Orione popłynęli do Brazylii. Ich główna siedziba mieściła się w Mar de Espanha. W ten sposób Zgromadzenie wkroczyło na nowy kontynent. Powołano je tam, ponieważ jego działalność odpowiadała potrzebom chwili. Ponadto Orione otrzymał od Ojca Świętego nową rozległą parafię wraz z nowym kościołem w Rzymie.

Tak działo się zawsze w życiu księdza Orione. Gdziekolwiek wyłaniała się jakaś nagląca potrzeba, tam on się zjawiał. Napotykał trudności, przeszkody, inne prace stawały mu w poprzek drogi. Szybko jednak powracał do odłożonych projektów i planów, doprowadzając je do rozmiarów, o których nie śmiałyby nawet marzyć.

Oto na przykład trzęsienie ziemi w Messynie i związane z tym nowe prace, których nawet nie zamierzał się podejmować, ujawniły jego niebywałe uzdolnienia do energicznego opanowywania trudnych sytuacji z wielkim taktem i przemyślnością. Tkwiła w nim jakaś wrodzona chytryść, mogąca jak i inne cechy charakteru być użyta zarówno do złego, jak i dobrego – jako spryt. Kiedy ksiądz Orione listem jakiegoś donosiciela został oskarżony o modernizm, papież wręczył mu zwyczajnie ten list ze słowami: „Chciałem to księdzu pokazać, by się ksiądz zorientował, z kim ma do czynienia”, i przestrzegwał go, aby uważał, kogo darzy zaufaniem. Orione odpowiedział: „Ojcze Święty, proszę

się nie kłopotać o mnie, już w tym moja głowa. Nadałbym się nawet na dzielnego żandarma. Proszę mi pobłogosławić, abym mojego rozumu używał wyłącznie do dobrych celów”. Odpowiedź Ojca Świętego wziął zupełnie dosłownie: „Śmiało, czyn jak dotąd. Możesz iść na sam brzeg przepaści, uważaj tylko, aby cię przepaść nie pochłonęła, bo tu tkwi jedyne niebezpieczeństwo”.

I odtąd Synowie Boskiej Opatrzności szli „aż na brzeg przepaści” i tam żyli i poruszali się swobodnie, gdzie przeczorni, mniej rozpaleni miłością Bożą, nigdy nie odważyliby się przebywać.

W 1904 roku papież Pius x powierzył Zgromadzeniu rektorat kościoła św. Anny dei Palafrenieri w Rzymie. Przyrzekł ponadto księdzu Orione, iż zbuduje mu wielką świątynię, która miała być kościołem parafialnym za Bramą św. Jana. I rzeczywiście kościół Wszystkich Świętych poświęcony przez Benedykta xv wznosi się na gruntach podarowanych przez Piusa x.

W 1911 roku ks. prałat Misciatelli pragnął ofiarować Stolicy Apostolskiej majątek ziemski Santa Maria na Monte Mario. Ojciec Święty doradził mu, by tę posiadłość przekazał księdzu Orione, który już od kilku lat miał tam swoich pustelników i księży, a ostatnio także wiele sierot. W ten sposób papież odwdzieczył mu się za trudy i ofiary poniesione w Messynie, gdzie sprawował urząd wikariusza generalnego z polecenia papieża.

Papież Pius x i ksiądz Orione mieli wiele cech wspólnych. Obaj pochodzili z klasy robotniczej. Obaj ukochali ubogich. Obaj przyznawali pierwszeństwo tym, których świat odepchnął. Zawiązała się też między nimi szcera i osobista przyjaźń. Słusznie od początku nazywano księdza Orione „człowiekiem papieża”. Dla niego bowiem papież był rzeczywistym namiestnikiem Chrystusa na ziemi. Ich wzajemny stosunek był szczerzy i zupełnie swobodny. W takiej atmosferze Dzieło mogło się rozwijać i kwitnąć.

Ksiądz Orione doszedł do przekonania, że Synom Boskiej Opatrzności byłoby bardzo pomocne żeńskie zgromadzenie. Dlatego w dzień św. Piotra 1915 roku założył Zgromadzenie Małych Sióstr Misjonarek Miłosierdzia. Z początku stanowiło ono tylko odgałęzienie Dzieła Opatrzności, lecz po kilku latach otrzymało własną regułę i zostało zatwierdzone jako samodzielne zgromadzenie. Działalność sióstr rozwijała się spontanicznie, bo wyrosła z potrzeb społecznych, jak wszystkie inne poczynania tego wielkiego człowieka.

Ksiądz Orione poznał w Genui piękną, młodą, dwudziestotrzyletnią Józefinę Valdetaro, pannę ze sławnej rodziny, która ujęła go swoją wrodzoną dobrocią. Już od dłuższego czasu nosił się z myślą zorganizowania grupy sióstr, które by mu pomagały. Zaproponował jej więc, by przy jego pomocy założyła żeńskie zgromadzenie. Józefina wysuwała jako przeszkodę swój młody wiek i brak doświadczenia, lecz

w końcu uległa namowom. Wyznaczył termin, na który stawiała się w Tortonie ubrana elegancko według ostatnich wskazówek mody. Była kulturalna, pełna życia i pod każdym względem godnie reprezentowała arystokrację. Dołączyła się do niej pewna czterdziestoletnia kucharka ze swoim bratem, garbatym szewcem. Te trzy osoby zamieszkały w dawnej szkole księdza Orione. Dom był opustoszały, brudny i zaśmiecony przez poprzednich lokatorów. Józefina zwróciła się do księdza Sterpi, ich duchowego doradcy, z zapytaniem: „Cóż ja tutaj właściwie mam robić?”. „Najpierw pozamiatać i posprzątać” – brzmiała krótka odpowiedź.

Po kilku latach Józefina wróciła do swojego domu. Był to 1917 rok. Wtedy zgromadzenie sióstr miało już ugruntowany status, miało własny nowicjat i liczyło dwadzieścia członkiń.

Orione uważał, że Małe Misjonarki nie powinny nosić specjalnego stroju. Tłumaczył, że nie strój jest ważny, ale modlitwa i praca. Siostry nie miały się wyróżniać zewnątrz wśród ludu, który szczególnie w dzielnicy San Bernardino był wrogo nastawiony do Kościoła. Jednakże w praktyce brak habitu nie sprzyjał realizacji ich celów. Zakonnice odziane po świecku wydały się ludziom podejrzane. Chciano wiedzieć, co właściwie zamierzają, i zarzucano im, że wtrącają się w nie swoje sprawy. Wybijano im szyby, niszczone ogród. Sytuacja stawała się nieznośna. Wbrew

oczekiwaniom księdza Orione siostry same domagały się habitów zakonnych. Otrzymały je w 1918 roku, a ich krój ustalił sam założyciel.

Siostry rozpoczęły swoją działalność w 1915 roku od założenia ochronki i stowarzyszenia dziewcząt. Potem podejmowały się także pielęgnowania starców. Gdy Orione założył pierwszy sierociniec, wezwał siostry do pomocy. Wkrótce też zrozumiały, że ich misja była taka sama jak księży – pracować dla najuboższych z ubogich. „O bogatych już się Pan Bóg zatroszczył, wy dbajcie o ubogich” – zwykł był mawiać ksiądz Orione.

Gdziekolwiek we Włoszech rozpoczyna się jakieś dzieło miłosierdzia, które ma w nazwie słowo „małe”, można mu z góry przepowiedzieć nadzwyczajny rozwój.

Na przykład św. Józef Benedykt Cottolengo nazwał sto pięćdziesiąt lat wcześniej swoje dzieło w Turynie „Małym Domem Boskiej Opatrzności”. Dzisiaj jest ono największym kompleksem dzieł miłosierdzia na całej kuli ziemskiej, a jego nazwa brzmi jak pobożny żart. Jest to niesamowite miasto w mieście – miasto cierpiących. Katolikowi, rozumiejącemu od lat najmłodszych nadprzyrodzony sens cierpienia, dzieło to wprost zapiera dech w piersiach jako potężny dowód czynnej miłości bliźniego. Na niekatolików działa przygnębiająco. Ogrom cierpienia jest tu niezmierny. Kto Boga nie uznaje, uważa to miasto za

miejsce nocy i ciemności. A jednak mroki te rozjaśnia duch miłości, ofiary i uświęconego cierpienia.

To rozległe miasto nie było z góry planowane, ale rosło samorzutnie. Ciągną się tam ulice ze szpitalami i sanatoriami, zakłady dla umysłowo chorych, ułomnych, niesamowicie zniekształconych, sierot, odrzuconych i wydziedziczonych. Naturalnie, znajdują się tam też klasztory i kościoły. W pewnym sensie całe osiedle jest wielkim klasztorem. Jest tam około dziesięciu tysięcy pacjentów, którymi opiekują się członkowie zgromadzeń męskich i żeńskich, poświęcając swoje życie rozbitkom i wyrzutkom społeczeństwa. Pracuje tam około tysiąca zakonnice dwunastu różnych zgromadzeń. Jedne zakonnice wyłącznie piorą bieliznę z łóżek chorych, bezwładnych, starych i umysłowo chorych. Codziennie mają do prania siedem ton brudnej bielizny.

Inny zakon zajmuje się tylko chorymi psychicznie. Zwiedzając Cottolengo, znalazłem się na oddziale, gdzie karmiono nieuleczalnie chorych – bezwładnych mężczyzn. Drobną siostra wsuwała łyżeczką kleik do ust wrzeszczącego mężczyzny o twarzy sinej ze złości.

Zgromadzenie św. Wincentego oddaje się pielęgnowaniu chorych w szpitalach, klinikach i oddziałach dla starców. Jeszcze inny zakon zajmuje się głuchoniemymi.

Są tam również i karmelitanki. Mają surową klauzurę i zachowują milczenie. Chodzą boso i pokutują za tych, którzy przez swoje grzechy ponoszą

odpowiedzialność za nagromadzone tu cierpienia. Modlą się za cierpiących i pracujących; ich modlitwy są jakby filarami podpierającymi i dźwigającymi tę gigantyczną budowlę chrześcijańskiego miłosierdzia.

Są tam również męskie zakony księży i braci obsługujących chorych i obłąkanych.

Cottolengo gromadzi ludzi skrzywdzonych przez los z całych Włoch. Do przyjęcia są potrzebne dwa warunki: choroba lub brak opieki i ubóstwo.

Ksiądz Orione w swojej miłości do bliźnich był pod wpływem działalności księdza Bosko wśród dzieci ulicy Turynu. W tym samym mieście obserwował również wielkie dzieło św. Józefa Benedykta Cottolengo, które wywarło nań wielkie wrażenie. Te doświadczenia skłoniły go do stopniowego rozszerzania swojej działalności. Nie mógł poprzestać na szkołach i stowarzyszeniach młodzieżowych; dążył coraz dalej, aż objął, jak Józef Cottolengo, wszystkie rodzaje cierpienia i nędzy.

W praktyce jednak zakres działalności księdza Orione sięgał dalej niż jego świętego poprzednika, obejmował bowiem także nędzę duchową, jak na przykład suspendowanych księży, wśród których apostołował, a nawet upadłe dziewczęta. Dochodził do słownie „do brzegu przepaści”. Pewnego razu powiedział do znajomego księdza w Wenecji: „Gotów jestem wsunąć palec do piekła, gdybym tym sposobem mógł wyratować duszę”.

Rozwijające się zakłady dla chorych, kalek, niedołączonych, upośledzonych fizycznie lub psychicznie lud północnych Włoch zaczęły nazywać „Małymi Cottolengami”. Sprawiało to księdzu Orione, gorącemu czciocielowi św. Józefa Cottolengo, wielką radość, a nazwa ta otrzymała nawet sankcję papieską.

Liczba domów wciąż wzrastała, często nawet bez jego zabiegów. Chętnie byłby również pracował w archidiecezji weneckiej. Ale na razie nie było widoków, by tam się mógł dostać.

Świecka organizacja dobroczynna, finansowana z funduszy społecznych, a współpracująca z Kościołem, miała w Wenecji dwa domy, jeden dla sierot, drugi dla chłopców z najuboższych rodzin. Instytucja ta jednak padła ofiarą kryzysu gospodarczego zaraz po I wojnie światowej.

Gdy urzędnicy miejscy zastrajkowali, porzucili swe placówki również pracownicy zakładów dobroczynnych. Kardynał patriarcha zwrócił się do księdza Orione z prośbą o objęcie sierocińca, gdyż chłopcy znaleźli się całkowicie bez opieki. Orione wysłał tam kilku księży, którzy natychmiast podjęli pracę. Zaczęli od zlikwidowania karnych cel na poddaszu, zamieniając je na sale zabaw i pracy ku najwyższemu oburzeniu strajkujących, którzy widzieli w tym upadek karności i porządku, a ku największej radości chłopców.

Synowie Boskiej Opatrzności prowadzili w czasie strajku dom tak wzorowo, że władze miejskie wraz

z kardynałem prosiły, aby nadal zakłady te otaczali swoją opieką. Orioniści mają ten dom do dnia dzisiejszego i korzystają ze wsparcia finansowego miasta – zjawisko zupełnie wyjątkowe we Włoszech. Oba domy utrzymują się z fundacji dobroczynnej.

W 1921 roku Synowie Boskiej Opatrzności objęli także i drugi zakład.

W 1921 roku przyszło wezwanie poruszające najgłębsze i najdelikatniejsze struny duszy księdza Orione. Patriarcha Jerozolimy prosił go, aby tam założył sierociniec i szkołę rolniczą. Widoki pracy w Ziemi Świętej były kuszące. Patriarcha był uprzednio proboszczem kościoła laterańskiego w Rzymie i znał małego, kipiącego energią kapłana z Tortony.

Ksiądz Orione, nie zwlekając, wysłał kilku księży i jednego z eremitów w celu objęcia rozległego osiedla w Rafat – miejscowości położonej dwadzieścia kilometrów od Jerozolimy. Obszar własności kościelnej był podzielony na pięćdziesiąt osad. Osadnicy arabscy żyli w swoich zagrodach, byli jednak zależni od władz duchownych. Uprawa pszenicy, kukurydzy, fasoli i brzoskwiń była zmechanizowana. Nie doszło jednak do porozumienia w sprawie zarządzania sierocińcem należącym do osiedla. W końcu przedsięwzięcie spełzło na niczym.

Drugie osiedle leżało w Kafarnaum, blisko Góry Błogosławieństw. W planie było podniesienie kultury rolnej, aby wieśniakom umożliwić egzystencję,

a pielgrzymom zapewnić schronienie. Tutaj przedsięwzięcie także nie udało się i w 1927 roku ostatni kapłan wrócił z Ziemi Świętej.

Ksiądz Orione nie mógł do śmierci przeboleć utraty placówki w Palestynie, a Synowie Boskiej Opatrzności do dnia dzisiejszego żywią nadzieję powrotu.

Inne natomiast wezwanie, na które odpowiedział, przyszło w 1925 roku z De Lago na wyspie Rodos. Synowie Boskiej Opatrzności prowadzili tam internat i sierociniec dla dzieci uchodźców z Armenii oraz gospodarstwo rolne. W 1929 roku trzeba było opuścić wyspę, gdyż zajęli ją Grecy. Włosi zaś stali się znienawidzeni przez zwycięskich Greków.

W lecie 1921 roku udał się ksiądz Orione, zaopatrzone przez papieża Benedykta XV w paszport dyplomatyczny, do Brazylii. Od początku pociągała go Ameryka Południowa, jakby przeczuwał, że tam czeka go wielkie zadanie – zaradzenie nędzy materialnej i duchowej.

Od siedmiu lat pracowali już tam jego misjonarze. Chciał zwizytować ich działalność i poszukać nowych możliwości rozwoju pracy misyjnej.

Nim wrócił do Włoch, zwiedził także Urugwaj i Argentynę. Wszędzie witano go owacyjnie i wszędzie otwierały się rozległe możliwości dla jego Dzieła. W czasie swojego pobytu założył nowe placówki w Rio de Janeiro, Sao Paulo w Brazylii, w Wiktorii w Argentynie i przygotował grunt do pracy w Urugwaju.

Błyskawicznie rozwijała się misja w Argentynie. Sekretarz nuncjatury papieskiej, późniejszy kardynał, był już od dawna jego osobistym przyjacielem. On też zaprosił księdza Orione do tego kraju i ofiarował mu kilka domów na pomieszczenia dla bezdomnych chłopców. Orione polecił przebywającemu w Tortonie księdzu Sterpi wysłanie kilku księży i wkrótce pięciu ich było na miejscu. Został z nimi przez pół roku, aż się ich praca ugruntowała i uporządkowała. Mówiono, że Argentyna była dla księdza Orione tym, czym Paryż dla księdza Bosko, to jest terenem największych sukcesów.

W Ameryce Południowej także spotykał księży potrzebujących duchowego wsparcia. W Brazylii odprawił rekolekcje dla całej setki tych właśnie, którzy tak bliscy i drodzy byli jego sercu. Wielu wróciło do pracy kapłańskiej albo przynajmniej odzyskało wiarę. Po powrocie z Ameryki powiedział do jednego ze swych synów: „Nawrócenie chociażby jednego z nich wystarczyłoby, by moją podróż do Ameryki uznać za celową”.

Następnych piętnaście lat poświęcił ksiądz Orione ugruntowaniu Dzieła i pogłębieniu własnego życia wewnętrznego. Członkowie zakonu pracowali we Włoszech, na wyspach Dodekanu, w Palestynie i Ameryce Południowej. Niebawem mieli zawitać do Polski, Albanii i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Osiedlenie się Zgromadzenia w Polsce ma wielką doniosłość. Jak Belloc i Chesterton, ksiądz Orione był także przekonany, że Polska ma ogromne znaczenie dla całego chrześcijaństwa.

Pierwszy Polak przyjęty do Zgromadzenia przybył do Rzymu jako pielgrzym. Wówczas przez Europę docierali do Wiecznego Miasta liczni Polacy pielgrzymujący piechotą lub też na rowerach. Zaopiekował się nimi pewien polski jezuita¹ zaprzyjaźniony z księdzem Orione. Gdy między pielgrzymami odkrywał jakiegoś młodzieńca pragnącego zostać kapłanem, kierował go do księdza Orione, który każdego przyjmował z wielką serdecznością. Za pierwszym powołaniem² przyszły dalsze i Zgromadzenie mogło utworzyć placówkę w Polsce. Ich praca polegała na znanych dziełach miłosierdzia Synów Boskiej Opatrzności: wielka kolonia rolnicza, kościoły, duszpasterstwo w osiedlu barakowym na przedmieściu Włocławka. Ksiądz Sterpi odwiedził raz Polskę, lecz sam ksiądz Orione, mimo że bardzo tego pragnął, nigdy Polski nie zobaczył.

Historia tej gałęzi Synów Boskiej Opatrzności jest naznaczona ofiarami i krwią męczeńską. Kilku kapłanów orionistów zginęło w Dachau jako ofiary nazizmu. Kilku innych poświęciło zdrowie, a jeden –

1 Józef Haźbiewicz (przyp. red.).

2 Ks. Robert Szulczewski, ks. Aleksander Chwiłowicz, który właśnie sprowadził Zgromadzenie do Polski (przyp. red.).

pierwszy Włoch³, wysłany do Polski przez księdza Orione w 1925 roku – oddał życie, pielęgnując chorych w czasie epidemii tyfusu pod Warszawą.

Kiedy wybuchła II wojna światowa, wielu księży i seminarzystów Polaków było we Włoszech. Bardzo pragnęli wrócić, by służyć ojczyźnie w jej krytycznym położeniu, ale powrót był niemożliwy. Większość z nich do Polski nie wróciła, a niektórzy pracują teraz w Ameryce Południowej⁴.

Jako dowód swojej wyjątkowej miłości do Polski zawiesił ksiądz Orione flagę o polskich barwach narodowych w swoim pokoju w Tortonie. Wisiała tam do jego śmierci i znajduje się jeszcze do dnia dzisiejszego.

Ksiądz Pensa, obecny generał Zgromadzenia, opowiadał mi w Rzymie, że nie ma dokładnych danych o Zgromadzeniu w Polsce.

Zgromadzenie, ograniczone początkowo do diecezji tortońskiej, rozszerzyło się w połowie lat dwudziestych naszego stulecia prawie po całym globie ziemskim. Synowie Boskiej Opatrzności i siostry Małe Misjonarki Miłosierdzia zdobywali liczne powołania, gdzie tylko się dało. Budziły się one też i na terenie własnych placówek. W miarę jak Dzieło zyskiwało rozgłos, wielu młodych ludzi prosiło o przyjęcie doń w celu zrealizowania swych ideałów. Oba bliźniacze

3 Ks. Błażej Marabotto (przyp. red.).

4 Nie jest to ściśle. Większość powróciła do kraju (przyp. tłum.).

Zgromadzenia miały kwitnące zakłady i nowicjaty formujące zastępy mężczyzn i niewiast gotowych do wszelkich ofiar.

By umocnić swe dzieła, Orione powołał do życia w 1927 roku inne jeszcze zgromadzenie, jako takie jedyne wówczas na całym świecie – zgromadzenie zakonnic niewidomych. Początkowo przebywały one w domu macierzystym sióstr Małych Misjonarek w Tortonie. Kiedy znaleziono dla nich odpowiednie pomieszczenie, a jedna z Małych Misjonarek oświadczyła gotowość zajęcia się nimi, utworzono dla nich oddzielny klasztor na San Bernardino.

Nigdzie na świecie nie spotkałem pogodniejszej, bardziej szczęśliwej grupy kobiet, jak te siostry Sakramentki Niewidome, które odwiedziłem w Tortonie. Noszą czerwone szkaplerze, białe habity. Oddają się modlitwie i pracy odpowiadającej ich możliwościom. Dzisiaj mają już dwa domy we Włoszech – w Tortonie i w środkowych Włoszech. Trzeci jest w Argentynie. Modlą się bez przerwy za Małe Dzieło Boskiej Opatrzności i za jego członków. Modlą się też za tych, którzy się nie modlą.

A co można powiedzieć o bogactwie duchowym księdza Orione w tym okresie? Pewien kapłan w Wenecji, który wstąpił do jego seminarium w 1922 roku, zapewniał mnie, iż wszyscy młodzi, a także ich rodzice uważali go za świętego. Alumni niepokoili się tylko, czy zdołają sprostać jego wielkim wymaganiom świętości.

Powyższą opinię potwierdzali również wieśniacy z Piemontu, a lud tamtejszy już wtedy otaczał jego imię legendą, dlatego krąży między nimi dużo opowiadań o rzekomych cudach przez niego dokonanych. Żywe w pamięci zostały proste porównania z jego kazań, które wygłaszał w każdą niedzielę i święto w różnych kościołach diecezji tortońskiej. Jedno z nich jeszcze dziś wspominają tamtejsi wieśniacy: „Ja i moje dzieło jesteśmy podobni do lokomotywy. Gdy rusza, słychać tylko: puf, puf, puf. – W dialekcie piemonckim «puf» znaczy «dług». – Gdy zaś rozrusza się, pociąg pędzi naprzód rażno i lekko i puf zanika. Tak jest i z moim dziełem”.

Inny kapłan, który zetknął się z księdzem Orione po raz pierwszy w 1927 roku, zauważył, że miał wygląd wiejskiego proboszcza: prosty, zdradzający skromne pochodzenie. Taki został do końca. Przy tym obracał się z największą swobodą wśród ludzi wszystkich sfer, pociągał inteligencję, chłopów, arystokrację i robotników.

Cechowała go dziecięca pobożność. Kto go zastał na modlitwie, słyszał, jak „zdrowaśki” wymawiał powoli, słowo po słowie, niczym dziecko, które dopiero tych słów się nauczyło i nie przywykło jeszcze do klepania pacierzy. Jego ulubioną modlitwą było *Ojczy nasz*. Całe jego życie było jedną nieprzerwaną modlitwą, a wargi szeptały najczęściej westchnienie: „Jezu, mój Jezu”.

Przed podróżą, przed każdym przedsięwzięciem odmawiał *Ave Maria – Zdrowaś Maryjo*. Wysyłając ważniejszy list, prosił posłańca, by wstąpił z nim do kaplicy i pomodlił się o pomyślne załatwienie sprawy. Miał niezachwianą ufność w skuteczność modlitwy. Do modlitwy uciekał się we wszystkich okolicznościach i oczekiwał wyników jak przy przekręcaniu kontaktu, by się zaświeciło światło. Dzięki modlitwie wszystko dla niego była możliwe.

Jego nabożeństwo do Matki Bożej było dziecięce, prostoduszne, głębokie jak cała jego modlitwa. Najszczęśliwszy był wtedy, gdy organizował pełną doznań procesję do cudownego miejsca Najświętszej Dziewicy. W 1928 roku prowadził taką pielgrzymkę z Tortony do Caravaggio pod Mediolanem. Prawie osiemset osób wzięło w niej udział, przebywając kolejną przestrzeń stu dwudziestu kilometrów. Towarzyszyło mu kilku jego księży. Mieli za sobą duży wysiłek, zjedli więc wcześniej kolację i o godzinie dziewiątej wyciągnęli materace, by ułożyć się do snu. Orione nie znalazł dla siebie miejsca na podłodze i położył swój materac na stole.

Gdy uciszyło się, szepnął do jednego z księży: „Zobacz, czy tamci już zasnęli”. Rzeczywiście już spali. „Chodź ze mną” – rzekł. I powoli przeszli do kościoła, ogłaszając pątniczkom, które się jeszcze nie położyły, że jest okazja do spowiedzi. Penitentki godzinaми podchodziły do konfesjonału. Gdy ostatnia z nie-

wiast odeszła, wyszedł i ksiądz Orione z towarzyszem z kościoła, mówiąc do niego: „Tam, w tym domu śpią mężczyźni. Wznieć hałas, aby się zbudzili, i powiedz im, żeby przyszli na schody kościelne, będę słuchał spowiedzi. Są pewnie śpiący, dlatego musisz śpiewać i odmawiać z nimi głośno różaniec”. Utworzył się długi rząd przed kratkami, a on słuchał wyznań aż do świtu. O wpół do piątej rano przed dzwonkiem na Anioł Pański ułożył się do snu. Wstał razem z innymi. Jeden z księży, nie domyślając się niczego, zapytał go, czy miał dobrą noc. Z entuzjazmem potwierdził, zmuszając wzrokiem do milczenia wtajemniczonego towarzysza przebytej nocy.

Większą część swego czasu spędzał w małym seminarium. Ciągnęło go tam przywiązanie do młodzieży. Młodzi zawsze ulegali czarowi jego osobowości, a była ona tak silna, że każde nawet mało znaczące słowo wypowiedane przez księdza Orione przechowywano długo w pamięci. Opowiadał mi na przykład pewien kapłan, że nigdy nie zapomni wrażenia, jakie odniósł pewnego wieczoru, kiedy Orione przechodził przez podwórze pełne bawiących się chłopców. Chłopcy bawili się wyjątkowo hałaśliwie, co normalnie powinno go zirytować. On jednak uśmiechnął się, mówiąc: *Buoni, buoni* (to znaczy: bądźcie dobrzy, bądźcie dobrzy). Zdarzenie na pozór drobne, ale słowa te powiedział Orione tak słodko i po ojcowsku, że dwaj chłopcy, usłyszawszy je, przysięgli sobie towarzyszyć

mu choćby na koniec świata; mój rozmówca zaliczył tę chwilę do najważniejszych w swoim życiu.

Ksiądz Orione wierzył w skuteczność pewnych spontanicznych widowiskowych posunięć, z których wynikała siła wychowawcza. Często takie gesty, choć proste, pozostawiały trwałe wrażenie. Tylko on mógł sobie na to pozwolić, innym nie udałyby się i byłyby nawet źle przyjęte.

Tak na przykład, w czasie dorocznych rekolekcji dla księży w Villa Moffa pod Turynem dwaj jego księża wygrzewali się w słońcu po obiedzie na starej kanapie, jakby zupełnie o rekolekcjach zapomnieli. Rozgniewany ksiądz Orione wezwał ich, udzielił publicznie ostrej nagany i kazał ten grat na podwórzu spalić, podczas gdy dwaj winowajcy musieli głośno odmawiać Psalm 50 – *Miserere*. „Zrobiłem tak – powiedział im, gdy kanapa płonęła – abyście raz na zawsze zapamiętali, że nie jesteśmy powołani do wygodnego życia”.

To samo miał na myśli, gdy mówił do seminarzystów: „My, Synowie Małego Dzieła, jesteśmy taczkami Boskiej Opatrzności”. Był przekonany, że właśnie praca wśród najuboższych warstw wymaga niemałego samozaparcia, pokory i gotowości do podjęcia najprzykrzejszych zadań w służbie Boskiej Opatrzności.

Jeszcze inny przykład jego zamiłowania do sytuacji dramatycznych podają z podziwem mieszkańcy Tortony.

Na wzgórzu, blisko zbudowanego przez Rzymian starożytnego miasta, leżą ruiny średniowiecznego zamczyska. Jedynie wieża zachowała się w całości. Część zamku zbudowanego w XII wieku zburzył Fryderyk Barbarossa, a reszty dokonał Napoleon. Wieża ma dwadzieścia metrów wysokości i jest zawsze starannie zamykana, aby ochronić ją przed dalszą dewastacją.

W Tortonie istniał od dawna zwyczaj urządzania w jeden dzień w roku procesji ze statua Madonny. Potem zwyczaj ten poszedł w zapomnienie, ale ksiądz Orione pragnął go wznowić. Odezwały się jednak głosy sprzeciwu. Tortona była zresztą nawet za czasów Mussoliniego ośrodkiem socjalizmu i działalności antyklerykalnej. Biorący udział w procesji kościelnej musieli liczyć się z przykrymi zaczepkami.

Mimo to w 1931 roku ksiądz Orione zorganizował procesję na ten zamkowy pagórek. Wszelkie manifestacje były wykluczone. Wierni mieli udać się ze statua Madonny pod wieżę, zapalić świece, krótko się pomodlić i rozejść się. Procesja odbyła się w porządku bez sprzeciwu kogokolwiek. Świece zapłonęły, odmawiano modlitwy. Ksiądz Orione objął wzrokiem tysiące zebranych i poczuł, że powinien wykorzystać wielką okazję. Tłum skończył ostatnie modlitwy, gdy nagle nad głowami zebranych zabrzmiał potężny głos, a postać księdza Orione z krzyżem w ręku ukazała się na wierzchołku wieży. Jakoś potrafił prześlizgnąć się przez zamykaną bramę i dostać się aż na sam szczyt.

Na drugim brzegu rzeki Scrivii, naprzeciw wzniesienia, gdzie zebrał się tłum, znajdują się wzgórza pokryte winnicami. Wiatr wiał w tamtą stronę i Oriane miał w nim swojego sprzymierzeńca. Jego zawsze silny głos, po mistrzowsku opanowany, niósł wiatr i rozprzestrzeniał po ciągnących się aż do doliny Padu pagórkach, które służyły mu za naturalny rezonator.

Dzięki tej improwizacji mocne i wstrząsające kazanie słyszeli nie tylko tysięczni uczestnicy procesji, ale także pozostali mieszkańcy w mieście. Wychodzili z domów, nad słuchując uważnie. Wkrótce ulice zaludniły się zdumionymi słuchaczami. Ksiądz Oriane zszedł z wieży i poprowadził triumfalną procesję do miasta.

Zdarzenie to było tematem rozmów nie tylko wówczas – jeszcze dzisiaj mówi się o nim w Tortonie.

Ksiądz Oriane w pełni zdawał sobie sprawę z mocy swojej osobowości i używał jej do pozyskania ludzi i przeprowadzania spraw, na których mu zależało.

Pewien ksiądz opowiadał mi, że do trzydziestego roku życia był tragarzem i przekupniem na rynku. Oriane, przechodząc pewnego dnia przez rynek, przystanął obok jego straganu, jednym spojrzeniem objął go wraz z dobytkiem i zapytał wprost:

– Dlaczego nie zostałeś kapłanem?

– Ponieważ w czasie wojny nabawiłem się gruźlicy i skończyłem edukację na szkole podstawowej.

– To nie ma znaczenia – odparł ksiądz Oriane. – Chodź ze mną, zostaniesz księdzem, będziesz tragarzem Boskiej Opatrzności.

Tak rzekł, tak się też stało. Handlarz opuścił swoje stoisko na rynku, został kapłanem i był obecny jako jeden z najbardziej zaufanych powierników przy śmierci księdza Oriane.

Również w późniejszym wieku zdradzał ksiądz Oriane swój ognisty temperament, który w dzieciństwie doprowadzał go do bójk, a później do zbyt ostrego karania innych, jak to było opisane wcześniej z uczniem w jego pierwszej szkole.

Pewnego razu przeszkadzała mu w pracy grupa seminarzystów, od których można by wymagać rozsądku. Wpadł do nich z płonącym wzrokiem i wymyślał ostrymi słowami. Kipiąc z gniewu, wrócił do swego pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Nie trwało długo, a zjawił się powtórnie w zmienionej postawie i z pokornym przeproszeniem: „Wybaczcie mi”. Potrząsając zaś głową, wskazał na usta i westchnął: „Mój język, ten mój wstrętny język”.

Ksiądz Oriane znał siebie i swoją naturę jak nikt inny. Wzrastał w atmosferze podziwu dla Garibaldiiego i miał z natury usposobienie wywrotowca. Pewnego razu zwierzył się chłopcom w seminarium: „Gdyby Chrystus nie położył swojej Boskiej ręki na mojej głowie, zostałbym rewolucjonistą”. Aby to zrozumieć, trzeba znać jego wrażliwość na ludzkie cierpie-

nie i niesprawiedliwość oraz jego szczerą naturę, która burzyła się na widok wszelkiej hipokryzji. Dzieciństwo jego przypadło bowiem na okres budzenia się mas robotniczych, które pod wpływem marksizmu przybierały wrogą postawę wobec Kościoła.

Gdy zapytałem Ignacego Silone, czy spotkał w życiu człowieka o podobnym charakterze jak ksiądz Orione, odpowiedział bez wahania: „Tylko jednego – Lenina. Poza tymi dwoma nie spotkałem ludzi o podobnym geniuszu intelektualnym, o tak magnetycznej i rewolucyjnej sugestywności i przeogromnej energii”.

Ignacy Silone był w młodości włoskim delegatem do Komunistycznej Międzynarodówki, stąd znał dobrze Lenina. Jako rewolucjonista, wybitny i znany pisarz, dzisiaj członek Niezależnej Partii Socjalistycznej Włoch, stykał się z wieloma głośnymi osobistościami, poznał też głębiej samego księdza Orione. Wynikiem tak bogatego doświadczenia było przytoczone o nim zdanie.

Orione bezpośrednio nie miał żadnej styczności z polityką. Stykanie się z reżimem Mussoliniego było jednak nieuniknione. Licznych zwolenników Mussoliniego zaliczał nawet do swoich przyjaciół i dobrodziejów, potępiał jednak nadużycia reżimu. Pewnego dnia wyprowadzony z równowagi niesprawiedliwością Mussoliniego wybuchnął: „Gdybym nie nosił tej sutanny, człowiek ten nie byłby już w Palazzo Venezia, choćbym nawet miał poprowadzić wojsko przeciwko

niemu”. Dla tych, którzy go znali, było rzeczą jasną, że mógł tego dokonać. Miał bowiem cechy przywódcze, o czym zresztą sam dobrze wiedział, a zdolność ta mogłaby wciągnąć go daleko w świat polityki. Swoją inteligencją i mocą charakteru byłby w stanie usunąć dyktatora z Palazzo Venezia.

Będąc szeroko znanym kapłanem o wielkich możliwościach, łatwo mógł dostać się w orbitę popularnych „księży z radia”. Lecz tak samo jak temperament i gwałtowność opanowywał swoje przyrodzone przywódcze skłonności i używał ich jedynie ku chwale Bożej i w służbie bliźniego – dla zbawienia dusz.



ROZDZIAŁ VII
TRUDNOŚCI
I ZWYCIĘSTWA



Ksiądz Orione, gdy prznosił swe Dzieło na drugą półkulę, mniej musiał pokonać trudności i przeszkód niż we własnym kraju. W ojczyźnie było wiele dokładnie sprecyzowanych i niezmiennych przepisów pierwszeństwa, które Kościół, będący doskonałą organizacją istniejącą w tym kraju od wieków, musiał jednak respektować. Nic też dziwnego, że nawet osoby dobrej woli, rozmiłowane w dziełach dobroczynnych, potrafią być zazdrosne, gdy ktoś inny na tym samym polu z nimi rywalizuje. Zazdrość i ambicja to, niestety, nieprzebierające w środkach moce.

Przenikanie bezkresnych przestrzeni Ameryki Południowej, gdzie nie istniała prawie żadna organizacja katolicka – było zabawką. Inaczej wyglądały sprawy w Turynie lub Mediolanie przy rozwiniętej filantropii, ze szkołami, sierocińcami, schroniskami. Tutaj ośrodki dobroczynności były liczne, a jednak nie zaspokajały potrzeb chwili.

Pozostały jeszcze całe rzesze oczekujące pomocy z rąk Synów Boskiej Opatrzności, a z drugiej strony byli też tacy, którym zdawało się, że w ich rękach jest monopol na dobroczynność. Taka jest natura ludz-

ka. Ten stan rzeczy stał na przeszkodzie rozwojowi potrzebnemu i zbawiennemu Dzieła księdza Orione i zgotował mu w latach trzydziestych niejedną gorzką chwilę.

Genua jest jednym z najbogatszych i równocześnie najuboższych miast włoskich. Ruchliwy port i okazałe gmachy pnące się na pagórkach otaczających zatokę są wynikiem zaradności i dobrobytu. Lecz za tą wspaniałością kryje się brud i brzydota, a tętniące gorączkową pracą doki portowe kryją rozpacz, beznadziejność bezrobotnych i ludzi nikomu niepotrzebnych.

Ta mieszanina bogactwa i biedy przyczyniła się do sławy instytucji charytatywnych diecezji. W tych murach zawsze były serca szlachetne, mające możliwości i dobrą wolę niesienia pomocy. Nie brakowało też biedaków, którzy żyjąc pod bokiem, byli wyrzutem sumienia dla ludzi sytych i zadowolonych z życia. W latach trzydziestych była tam prawie setka organizacji charytatywnych różnych zgromadzeń. Przyciągało je zarówno szerokie pole działania wśród biednych, jak też możliwość bogatego wsparcia, na które mogli liczyć.

Kardynał Minoretti żywo interesował się wszystkimi poczynaniami dobroczynnymi, a nawet kilku organizacjom przewodniczył. Był człowiekiem mocnego charakteru, czasem impulsywnym, ale zawsze sprawiedliwym. Gdy Orione prosił o przyjęcie jego Zgromadzenia do archidiecezji, kardynał początkowo odmówił. Nie uczynił tego z braku sympatii

do księdza Orione, gdyż mieli dla siebie wiele uznania. Dzielili ich tylko odmienne zdanie, jeżeli chodzi o dobro mieszkańców Genui.

Kardynał nie chciał mnożyć liczby istniejących organizacji, aby wzajemnie sobie nie przeszkadzały. Bał się, by sprawnie funkcjonująca praca instytucji nie ucierpiała przez zazdrość i konflikty. Do tego pojawiły się pierwsze oznaki kryzysu gospodarczego i wpływy na cele dobroczynne były coraz mniejsze. Kardynał wnioskował słusznie: „Nowe dzieło mogłoby nabrać olbrzymich rozmiarów, ale jak odbiłoby się to na innych?”. „Podziwiam księdza Orione – zwykł mawiać – to mąż świętobliwy, ale nie wiem, czy jest wskazane, aby wpuścić go teraz na teren Genui”.

Dlatego to, kiedy tortończyk, o którym się tyle mówiło, prosił o pozwolenie przybycia do Genui, kardynał, kierując się najlepszą intencją, był niezdecydowany. Orione podkreślał, że wobec sytuacji, kiedy „jeden żebrak podaje klamkę następnym”, jego Dzieło byłoby bardzo pożyteczne, a lokalne współzawodnictwo nie powinno temu przeszkadzać. W końcu kardynał, chociaż niechętnie, udzielił pozwolenia, ale zachował postawę wstrzemięźliwą i często odmawiał poparcia w potrzebie.

Skoro Dzieło weszło na teren diecezji, zaczęło się szybko rozszerzać, czego się zresztą kardynał słusznie obawiał, a ksiądz Orione pragnął z całej duszy. Miejscowe duchowieństwo nic nie wiedziało o kulisach

sprawy i wspierało je z zapalem. Ksiądz Orione oddał się zaraz biednym i opuszczonym. Rozpalał ich entuzjazm i wyzwalał w nich dobre moce.

„Przychodzę zbierać wyrzutki waszego społeczeństwa” – mówił im i szlachetne serca Genui mimo początkowych sprzeciwów otworzyły się dla niego. Z nikłego ziarnka wyrosło drzewo Boskiej Opatrzności. Dzisiaj Małe Dzieło w Genui ma więcej domów niż gdziekolwiek indziej, a przede wszystkim najbardziej godzien podziwu jest tam bez wątpienia szpital dla osób z zaburzeniami umysłowymi.

W Mediolanie sytuacja była trudniejsza niż w Genui. Okazała marmurowa świątynia ze smukłymi wieżami, z posągami w liczbie trzech tysięcy trzystu, z ogromnymi podwojami z brązu jest sercem miasta i wywiera na każdym nieprzeparze wrażenie. Lecz największym skarbem mediolańczyków, ich oczkiem w głowie, jest Madonnina – wielki posąg Matki Boskiej, który króluje wysoko na szczycie świątyni, patrząc na ścielące się u jego stóp miasto.

Madonnina urzekła także księdza Orione i zdawała się go wzywać. Dla niego Mediolan ze wspaniałą chrześcijańską przeszłością, a na wpół pogańską teraźniejszością rzesz robotniczych był wyzwaniem do boju na polu dobra. Czekał tylko na odpowiedni moment, aby otworzyć tam choćby najmniejszy swój dom mający być początkiem dalszego działania. Spობność nadarzyła się jak zwykle.

W Mediolanie już od dawna miały swój klasztor karmelitanki, które żyły w dotkliwym ubóstwie. Nagle w 1933 roku zmieniła się ich sytuacja materialna, gdy do zakonu wstąpiła bogata księżna z Sycylii. Tak ona, jak i jej mąż zgodnie postanowili spędzić ostatnie lata swego życia w klasztorze. Stary ksiądz został mnichem, a księżna wstąpiła do karmelitanek, wnosząc do zakonu swój majątek.

Po niedługim czasie księżna Paterno została przeoryszą starodawnego karmelu i poczyniła natychmiast kroki, na które żadna z zakonnicek by się nie odważyła. Postanowiła sprzedać podupadły budynek klasztorny wraz z wartościowym terenem i nabyć odpowiedni dom. Za budynek klasztorny żądała pół miliona lirów (na owe czasy sumę wcale pokąźną) oraz sześciuset tysięcy lirów za przyległe tereny nadające się na rozbudowę, które była gotowa sprzedać oddzielnie.

Wiadomość dotarła do księdza Orione. Zależało mu na tym i pragnął z księżną załatwić sprawę. Brakowało mu tylko gotówki. Nie miał pieniędzy, a jednak była to najlepsza sposobność osiedlenia się w Mediolanie. Przedstawił księżnej projekt spłat ratalnych i pożyczek, lecz ona domagała się gotówki. Nie wierzyła, by ksiądz Orione był w stanie zapłacić, i postanowiła nie odstąpić ani cegły, zanim nie otrzyma pieniędzy. Gdy się żegnali, była przekonana, że go już więcej nie zobaczy. Ksiądz Orione zaś wrócił do Tortony i snuł dalej plany zdobycia klasztoru.

Tego samego wieczoru spotkał na ulicy reemigrantkę z Ameryki. Pochodziła z Piemontu i dumna była ze swego współziomka.

– Nad czym ksiądz tak głęboko się zamyślił, pewnie ma jakieś zmartwienie? – zagadnęła go.

Odpowiedział jej, jak bardzo pragnąłby kupić klasztor w Mediolanie, lecz niestety jest bez grosza.

– Pożyczę księdzu pół miliona – zaproponowała.

Ksiądz Orione przyrzekł oddać dług, kiedy tylko będzie możliwe, zaznaczając, że nie może podać terminu, ponieważ jest zupełnie zależny od hojności dobrodziejów.

Kilka lat później, 7 grudnia 1938 roku położono kamień węgielny pod największy gmach Synów Boskiej Opatrzności. Obecny był ksiądz Orione, była też wspaniałomyślna wierzycielka, której oczywiście pożyczki jeszcze nie zwrócono.

„Ciesz się, że Dzieło wasze się rozwija – rzekła – tak bardzo pragnę oglądać jego rozkwit. Oto mój wkład”. To mówiąc, wręczyła mu rewers na sumę pół miliona lirów. Nie bez powodu lud nazywał księdza Orione „rozbójnikiem Bożym”.

Między udzieleniem pożyczki a jej zamianą na darowiznę zaszło jeszcze wiele innych okoliczności. Ksiądz Orione potrzebował nie tylko domu, lecz i przyległych do niego terenów. Klasztor bardzo się przydał. Jeszcze dzisiaj służy za mieszkanie księży posługujących w pobliskim Małym Cottolengu, ale przy-

legły teren przedstawiał większą wartość w perspektywie rozwoju Dzieła w najbliższej przyszłości. Dlatego Orione usilnie prosił księżną, by nie sprzedawała placów oddzielnie. Jakiś czas czekała cierpliwie i przyrzekła mu teren, oczywiście pod warunkiem, że uiści kwotę w wysokości sześciuset tysięcy lirów. Wreszcie straciła cierpliwość i pewnego dnia powiedziała, że dla przeprowadzenia własnych planów potrzebuje mieć umówioną sumę najpóźniej do godziny trzeciej po południu tegoż dnia. Inaczej będzie zmuszona sprzedać teren komu innemu.

Wracając po tej rozmowie do domu, spotkał ksiądz Orione znajomego kapłana i powiedział mu o swoich kłopotach.

„Poleciłem wszystkim domom, aby natychmiast zorganizowano nieustanną adorację, by kolejno w modlitwie trwano przed ołtarzem. Teraz chodźmy na obiad” – zakończył.

W trakcie rozmowy weszli do byłego karmelu, gdzie obecnie mieszkali księża. Przeszli przez pracownię i skierowali się do jadalni. Zaszedł im drogę jeden z seminarzystów i oznajmił: „W rozmównicy czeka ktoś na księdza dyrektora”. Ksiądz Orione przeprosił towarzysza, zapewniając, że za pięć minut będzie z powrotem.

I rzeczywiście za pięć minut wrócił, ale jak nieprzytomny. Myśli jego były gdzie indziej. Na pytanie, co zaszło, wyciągnął z kieszeni kopertę, oświadczając:

„Mówiłem ci, że do godziny trzeciej muszę mieć sześćset tysięcy lirów. Opatrzność Boska już mi je przysłała. Przybysz wręczył mi czek opiewający dokładnie na tę sumę. Spieszmy do kaplicy podziękować za to Opatrzności, potem obiad lepiej będzie nam smakował”.

Po południu tego dnia teren był jego własnością. Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i polecił objechać w powolnym tempie kupiony teren. „To obecnie należy do nas, chcę obejrzeć dokładnie każdy centymetr” – rzekł.

Pierwszy etap wejścia do archidiecezji mediolańskiej był zupełnie łatwy. Dalsze zadania sprawiły więcej kłopotów. I tutaj spotkał się z zazdrością i podejrzliwością kleru, podobnie jak w Genui. Były to kłopoty moralne trudne do przebycia.

Gdy ze swojej pracowni w starym konwencie raz jeszcze obejmował wzrokiem nowe tereny, powiedział do pewnego przyjaciela te prorocze słowa: „Tu stanie kiedyś olbrzymi kompleks budynków, a turyści zagraniczni będą oglądać katedrę, pałac Sforzów i tę budowlę”.

Ale w 1933 roku i w następnych latach zarysowały się poważne wątpliwości, czy ksiądz Orione w ogóle zdoła utrzymać się w Mediolanie. Istniejące już instytucje dobroczynne stanęły w opozycji, broniąc swych wyłącznych praw do takiej działalności. W tej akcji posunęły się prawie do nienawiści. Obrzucano bło-

tem księdza Orione i spotwarzano go. Protestowano u kardynała Schustera. Szły pisma do Watykanu. Przedstawiano kardynałowi, że Małe Dzieło Boskiej Opatrzności spowoduje w archidiecezji spadek powołań w jego seminarium diecezjalnym oraz w istniejących zgromadzeniach, co więcej, ksiądz Orione zbierze pieniądze, które powinny im przypaść. Utrzymywano też, że kapłani księdza Orione są ciemni i niedokszałceni. Ten ostatni zarzut Orione znał dobrze. Powodem krzywdzącej opinii mogło być podejrzenie, iż liczni księża suspendowani, którzy stracili grunt pod nogami i przebywali w jego domach, są członkami jego Zgromadzenia.

Skargi napływające do Rzymu były tak liczne, że kardynał La Puma stojący na czele Świętej Kongregacji dla Zakonników zastanawiał się: „Co zrobić z tym człowiekiem i jego Zgromadzeniem?”.

Ksiądz Orione był przekonany o pożytku z istnienia jego Dzieła w wielkim przemysłowym mieście. Zarzuty i skargi bolały go do głębi, a ustawiczne zmartwienia podkopywały jego zdrowie.

Kiedy w 1934 roku wezwano go do udziału w Międzynarodowym Kongresie Eucharystycznym w Buenos Aires, przyjął zaproszenie bardzo chętnie. W Ameryce Południowej Dzieło rozszerzało się bez żadnych trudności i założyciel pragnął oglądać jego rozwój. To był wystarczający powód do podróży. Przyznać trzeba, że walka – albo raczej sposób, w jaki była

prowadzona – męczyła go. Pragnął zaczerpnąć szerszego, swobodnego oddechu, a nadto pogłębić swoje życie wewnętrzne wystawione ostatnio na ciężkie próby.

„Wyjeżdżam, aby ująć prześladowaniom” – powiedział jednemu z zaufanych przyjaciół. Wobec otoczenia zachował jednak pogodę.

Podróż od samego początku ułożyła się bardzo pomyslnie. Nie należał do oficjalnej delegacji, lecz jako zaproszony na kongres płynął tym samym co ona statkiem. Byli tam kardynałowie, biskupi, wyżsi duchowni wszelkich stopni, a między nimi legat papieski kardynał Pacelli, późniejszy papież Pius XII.

Ustalono, że każdego wieczoru wszyscy zbiorą się, by wysłuchać kazania. Pewnego dnia przysłała kolej na kardynała Pacellego. Jako legat papieski był bardzo zajęty i w ostatniej chwili odmówił. O zastępstwo w wygłoszeniu kazania poproszono księdza Orione. Nie było czasu na przygotowanie. Rzadko który kaznodzieja ma przed sobą tak wybitnych przedstawicieli Kościoła, a przy tym krytycznie nastawionych słuchaczy. Ksiądz Orione nie miał pod ręką żadnych podręczników ani notatek homiletycznych. Mimo to szturmem zdobył słuchaczy dzięki kazaniu, którym wykazał znajomość najlepszych dzieł katolickiej literatury włoskiej, przytaczając z pamięci długie cytaty z dokładnym podaniem ich źródeł.

Zanim dotarł do Argentyny, pozycja jego znacznie wzrosła.

W Argentynie nie napotkał żadnych trudności. Wszystko, co zaczynał, udawało się i zyskiwało uznanie. Pokochał Argentyńczyków i Argentyńczycy pokochali jego. Przemawiał w języku włoskim do licznych tłumów mówiących po hiszpańsku. Podobieństwa tych dwóch języków, obfitość gestów i żywość wyrazu pomagały w zrozumieniu treści.

Przez trzy lata pracował dzień i noc, by rozślawiać i krzewić Dzieło Boskiej Opatrzności. W momencie jego przyjazdu Argentyna miała tylko dwa małe domy. Wkrótce powstała pokaźna liczba nowych. Synowie Boskiej Opatrzności ujmowali się za biednymi, o których dotąd nikt nie pamiętał, i to zapewniało im uznanie i przywiązanie ludności Argentyny.

Zaopiekował się też ksiądz Orione słynnym sanktuarium maryjnym w Tucuman, a wszędzie, gdzie przybywał, szerzył kult Madonny.

Zwiedził kolonię dla trędowatych w Chaco, by nieść pociechę skazanym na beznadziejność. Założył nowe szkoły, w których uczy się około sześciu tysięcy dzieci.

Na peryferiach Buenos Aires wznosił swe pierwsze w Ameryce Południowej Małe Cottolengo składające się z osiemnastu pojedynczych domów rozsiadanych na bardzo wielkich obszarach i obejmujące prawie wszystkie rodzaje pracy charytatywnej.

Pojechał do Chile, Las Pampas i do Brazylii. Wszędzie tam powstawały nowe fundacje. Zapłonął nową

przedsiębiorczością i świeżą nadzieją. Pragnął zanieść Dzieło miłości na odległe krańce świata. Przy tym sam wyniszczył się całkowicie.

W Brazylii założył misję dla Indian. Dzisiaj misja ta działa wyłącznie wśród tubylców indiańskich w Goias i obejmuje pięćdziesiąt tysięcy koczowników na olbrzymim obszarze równającym się dwóm trzecim powierzchni Półwyspu Apenińskiego, w odległości dziewięciu godzin podróży powietrznej z Rio de Janeiro. Samolot jest tu jedynym środkiem łączności z resztą świata.

Rozwój Małego Dzieła Boskiej Opatrzności w Brazylii był mniej widoczny niż w Argentynie, jednak i tam powstały dość liczne placówki.

Ksiądz Orione jechał do Ameryki, aby tam ugruntować swoje Dzieło i to mu się świetnie udało, wyniki przewyższały bowiem jego nadzieje i najśmielsze oczekiwania.

Prezydent Republiki Argentyńskiej, generał Justo, złożył księdzu Orione, którego bardzo cenił, trzykrotnie wizytę w jego domach. Był także obecny przy poświęceniu kamienia węgielnego pod Małe Cottolengo w Buenos Aires. Gdy Orione wracał do Włoch, zegnał go na pokładzie statku i ofiarował mu swoją fotografię z dedykacją, podczas gdy małżonka prezydenta wręczyła mu wspaniałą bukiet kwiatów.

Zdrowie księdza Orione już wówczas było mocno nadwerężone i lekarze stanowczo zabronili mu po-

dróżowania samolotem. Mimo to, udając się do Chile, przeleciał nad Andami.

Mieszkańcy Argentyny chodzili za nim krok w krok. Wystawiali całymi dniami przed domami, w których się zatrzymywał, aby mu przedstawić swoje potrzeby i prosić o pomoc. Przychodziły dzieci, a on im błogosławił. Kaleki i niewidomych umieszczał w schroniskach. Odprawiał modlitwy nad opętanymi i wypędzał złe duchy. Wśród tych prac tak się wyczerpał, że obawiano się o jego życie i zwrócono się do księdza Sterpiego, aby pod jakim bądź pretekstem zmusił go do powrotu.

Nikt się nie domyślał, że stosunki w Mediolanie gnębiły go w dalszym ciągu. Osoby towarzyszące mu w Ameryce zapewniały mu, iż nie spostrzegły u niego śladu niecierpliwości lub rozdrażnienia. Zawsze żartował, był pogodny tak, jak to tylko było możliwe dla człowieka takiego temperamentu. Cierpiał w milczeniu, nikomu nie zwierając się ze swej udreki.

W Mediolanie było nadal wiele kłopotów, ale dochodziły też stamtąd radosne wieści. W całych Włoszech tak się wzmożyły powołania do Zgromadzenia, że ksiądz Sterpi musiał w Bra otworzyć nowe seminarium na trzystu osób.

Pożegnanie księdza Orione w Argentynie wywarło na wszystkich obecnych głębokie wrażenie. Kardynał i najwyżsi urzędnicy państwowi odprowadzali go na

statek, a tysięczne rzesze oblegały port i wielu płakało, gdy podniesiono kotwicę.

W Mediolanie w tym czasie nic się nie zmieniło. Nabożnisie reprezentujący różne instytucje odnosili się wrogo do jego osoby i do członków Zgromadzenia, uważając ich za niebezpiecznych dla siebie konkurentów. Skoro tylko wrócił, takie same skargi wnoszono do kardynała Schustera. Księża przebywający w tamtejszym klasztorze byli przygnębieni tą atmosferą. Cierpieli, znajdując się pod ostrzałem wybitnych katolików świeckich, szczególnie jednej grupy, która twierdziła, że działalność księdza Orione jest powielaniem ich działalności i przeszkadza jej.

Ksiądz Orione planował urządzenie wszechstronnego Cottolengu podobnego do tego, jakie było w Buenos Aires, które przygarnęłoby wszelką nędzę. Patrzone na to niechętnie, gorszono się nawet nazwą Zgromadzenia oraz nazwą, jaką zamierzał nadać swemu dziełu. Grupa przeciwników miała osobistych przyjaciół w najbliższym otoczeniu kardynała. Ksiądz Orione był osamotniony i już samo to było dla niego utrudnieniem, natomiast opozycja mogła liczyć na poparcie władz diecezjalnych.

Pewnego dnia zjawiła się u niego delegacja z protestem. Ksiądz Orione zapewnił, że działa z wiedzą i pozwoleniem kardynała. Utraciwszy podstawy protestu, ludzie ci posunęli się do osobistych ataków i obelg. Dawniej Orione byłby może wybuchnął, lecz nauczył

się już, szczególnie w czasie pobytu w Ameryce, panować nad sobą. Zachował więc niewzruszony spokój. Nie przyszło mu to łatwo. Wracając tego wieczoru z Mediolanu do Tortony, nie odmawiał jak zwykle brewiarza ani nie załatwiał licznej korespondencji. Siedział nieruchomo, pogrążony w głębokiej zadumie. Nagle jego towarzysz usłyszał ciche westchnienie: *Soffrire, tacere, adorare* – „cierpieć, milczeć i adorować wolę Bożą”. Powtórzył to trzy razy. Wnet nastąpiło odprężenie i odzyskał znowu swoją żywość oraz pogodne usposobienie.

Cierpiał w milczeniu, ale nadal pozostał otwarty i śmiały. Pewnego razu, gdy była mowa o biurokracji kościelnej, zaskoczył obecnych powiedzeniem: „Chciałbym ujrzeć, jak Watykan część swoich kapitałów przekazuje na wzniesienie małego miasta dobroczynności obok św. Piotra jako żywy model aktywnego chrześcijaństwa, aby pielgrzymi z całego świata mogli podziwiać i naśladować dzieło miłości bliźniego”.

Jednym z długoletnich i szczerze oddanych mu przyjaciół był bogaty senator Cavazzoni, przedstawiciel Włoch w Międzynarodowej Komisji do Walki z Narkotykami przy Lidze Narodów w Genewie. Cavazzoni był zawsze po jego stronie w trudnych sytuacjach. Polegał na nim zupełnie i dokładał wszelkich starań, aby zyskać mu poparcie wyższych sfer, do których sam należał. Ksiądz Orione nie mógł bowiem rozwinąć swych dzieł bez materialnej pomocy ludzi

zamożnych, a właśnie te sfery odnosiły się do niego nieufnie. Dla tych ludzi był ambitnym samoukiem, wiejskim księdzem, któremu udało się wybić i zwrócić na siebie uwagę. Cavazzoni żywił przekonanie, że osobiste zetknięcie tych ludzi z księdzem Orione zmieniłoby gruntownie tę opinię.

Senator utworzył więc ze swych znajomych „koło przyjaciół księdza Orione” i naradzał się z nimi, w jaki sposób przełamać wrogość, która go otaczała. Wpadli wreszcie na wspaniałą pomysł. Zaproponowali mu odczyt o Opatrzności Boskiej w Katolickim Uniwersytecie w Mediolanie.

Katolicki Uniwersytet Najświętszego Serca Jezusa liczy ponad osiem tysięcy słuchaczy i jest ośrodkiem kultury katolickiej Włoch. Na jego czele stał wówczas ksiądz Gemelli, franciszkanin, sławny uczonek.

Uniwersytet powstał w 1921 roku i w 1932 powiększył się o sąsiedni budynek z XV wieku. W sali tego gmachu miał ksiądz Orione wygłosić swój odczyt. Budynek dawnego klasztoru benedyktynów wznosi się obok kościoła św. Ambrożego, gdzie spoczywa ten święty Ojciec Kościoła z IV wieku z dwoma męczennikami, patronami Mediolanu. Sala odczytowa była niegdyś refektarzem mnichów. Potem Napoleon umieścił tam swoje konie; jeszcze w 1924 roku należała do koszar.

Sala jest przepiękna. Sufit zdobią wspaniałe malowidła. W czasie zarazy morowej zamalowano je

wraz ze ścianami wapnem dla dezynfekcji. Następnie wapno usunięto i malowidła odrestaurowano. Ściany sali są ozdobione obrazami. Za mównicą, z której przemawiał Orione, znajduje się malowidło przedstawiające gody w Kanie Galilejskiej – dzieło pochodzące z 1545 roku. Jest tam dziewięćset pięćdziesiąt miejsc siedzących. Sala stwarza nastrój i ma wspaniałą akustykę, o czym sam się przekonałem.

Podczas odczytu sala była przepelniona. Wielu, a może większość, przyszło, aby być świadkiem ujawnienia się jego ignorancji. Inteligencja i burżuazja Mediolanu zjawiała się w komplecie. Mówca od pierwszego zdania porwał słuchaczy i zmusił ich do uwagi, a wkrótce i do respektu. Bo też ten ksiądz pochodzenia wiejskiego, samouk, wygłosił mowę może najgłębszą i najwnikliwszą spośród wszystkich, jakich kiedykolwiek w tej słynnej sali wysłuchano.

Ksiądz Orione był miłośnikiem i znawcą literatury włoskiej, przede wszystkim zaś Dantego. Sposób, w jaki przytaczał przykłady z katolickiej literatury narodowej, zachwycił inteligencję Mediolanu. Wygłaszał z pamięci obszerne cytaty w ciekawym kontekście i oryginalnej interpretacji. Poruszał w słuchaczach nowe struny uczuciowe i otwierał nieznane horyzonty. Jego odczytanie i wnikliwa analiza budziły jawny podziw słuchaczy. Udowodnił im, że jego Dzieło jest naturalną konsekwencją istniejących warunków, owocem tego, co najszlachetniejsze

w katolickiej historii Włoch, w ich tradycji i kulturze. Zwycięstwo było zupełne. Gdy opuszczał mównicę, otoczono go ze wszystkich stron, aby zamienić z nim kilka słów. A on przepraszał w pokorze: „Muszę już iść, spieszę się, błogosławię wam wszystkim”.

Następnego dnia prasa w samych superlatywach obszernie pisała o jego sukcesie. Pokonał przeciwników bronią, której najmniej się po nim spodziewali, i odniósł zwycięstwo. Zdobył Mediolan. „Ależ gdyby chciał, mógłby być profesorem literatury włoskiej” – mówili zaskoczeni mediolańczycy.

Ksiądz Orione odniósł nie tylko osobisty triumf, ale również uutorował drogę swemu Dziełu. Zaciekawiał nie tylko umysły, ale i wzruszył głęboko serca. Senator Cavazzoni poruszył wszystkie sprężyny i wykorzystał wpływy, aby sprowadzić jak najwięcej słuchaczy. Jego żona dzielnie mu w tym sekundowała. Między słuchaczami, których zdobyła, był jeden z najmłodszych, świetnie zapowiadających się profesorów, umysł genialny, ateista. Pani Cavazzoni obserwowała jego rosnące wzruszenie i zachwyty w czasie wykładu. Gdy ksiądz Orione, odchodząc, udzielał błogosławieństwa, podszedł on i uklęknął. Później oświadczył: „Ten ksiądz ma w sobie coś, co go odróżnia od wszystkich innych”. Kilka miesięcy później zachorował śmiertelnie, wezwał księdza Orione, który udzielił mu ostatnich sakramentów. Pojednał się z Kościołem i przyjął przedwczesną śmierć z poddaniem, na jakie tylko dobry chrześcijanin może się zdobyć.

Dzieło księdza Orione umocniło się zarówno w Genui, jak i w Mediolanie. Należało więc odnaleźć jak najwięcej biednych i aby im pomóc, pozyskać jak najszersze grono ludzi zamożnych. Ksiądz Orione rozpoczął tryb życia, któremu pozostał wierny aż do śmierci i który też z pewnością przyspieszył jego zgon. Każdego wtorku jeździł pociągiem z Tortony do Mediolanu, był do dyspozycji wszystkich, którzy zwracali się do niego, a późnym wieczorem wracał do Tortony.

Regularnie co tydzień, całymi dniami, długa kolejka interesantów czekała na niego – czekały dzieci z tak ważnymi dla nich drobiazgami, starzy szukający schronienia, chorzy pragnący wyleczenia i pomocy dla ciała i duszy, bogaci z darami lub z prośbą o względy, ubodzy z podziękowaniem lub szukając pociechy, której nigdzie nie mogli znaleźć.

Ktoś nie miał dachu nad głową – ksiądz Orione dawał mu schronienie. Inny przyznał się, że od czterdziestu lat nie był w kościele – ksiądz Orione go wyspowiadał. Bogaty arystokrata wręczał mu paczkę banknotów – ksiądz Orione wsuwał ją do kieszeni, nie przeliczając wcale. Gdy następny przychodził w nagłej potrzebie – otrzymywał paczkę jeszcze nieotwartą. I tak do końca przez cały dzień. To było męczące, ale jakże owocne.

W podobny sposób jak wszystkie wtorki w Mediolanie, tak wszystkie czwartki spędzał w Genui. W północnych Włoszech żyją jeszcze ludzie, którym po-

mógł w ostatnich latach swojego życia. Z wdzięcznością wspominają słowa i spojrzenia, jakimi ich obdarzał. Chciał być wszystkim dla wszystkich, jakby przeczuwając zbliżający się kres.

Osoby znające go z 1934 roku zauważyły w nim po powrocie z Ameryki w 1937 roku wielką zmianę. Odnosiły wrażenie, że znalazł pełnię pokoju wewnętrznego. Lew nie zmienił się w baranka w ciągu tych trzech lat. Był to ten sam lew, tylko wewnętrznie ujarzmiony. Innymi słowy – najbardziej niebezpiecznym siłom natury wytyczył zdecydowanie właściwy kierunek.

Ksiądz Orión z natury był żywy, porywczy, ognisty, niecierpliwy i nieustępliwy. Tak go określali zarówno wieśniacy, jak prałaci i profesorowie, z którymi się zetknąłem. Dawna nieustępliwość pozostała, lecz uszlachetniona i kierowana całkowicie do Boga, a przeciw sobie. Zawsze wiedział, czego chce. Czynił wszystko, by dopiąć swego, a teraz szczególnie pragnął tego, czego chciała Opatrzność Boża. Dawniej nie zawsze tak bywało.

Z Ameryki wrócił poważnie chory. Serce, wątroba i cały organizm były nadwątlone wskutek przepracowania. Już od lat cierpiał na cukrzycę i używał insuliny. Obecnie pojawiły się nowe dolegliwości. W połowie sześćdziesiątki miał już chód i postawę starca. Schody dworca rzymskiego męczyły go, nie potrafił przyspieszyć kroku. A przy tym był pełen młodzieńczego

zapału. Gdy odpisywał na listy swoim dużym, nieregularnym piórem, pióro jak dawniej śmigało po papierze, a skrzywienie słychać było w sąsiednim pokoju. Duch zachował dawną dynamikę, ale chore ciało odmawiało powoli posłuszeństwa.

Jednak lew budził się w nim jeszcze, o czym świadczy następujący wypadek. Pewnego razu pisał przy biurku, a nikły promyk słoneczny padał przez dziurkę od klucza na papier. W pewnej chwili ten jasny punkt znikł. Ksiądz Orión wiedział, co to znaczy. Chciał być sam, a ktoś go podglądał. Podszedł cicho do drzwi, szarpnął nimi i podpatrujący go seminarzysta uderzył o przeciwległą ścianę. Potem wrócił spokojnie i pisał dalej. To był chyba ostatni wybuch wrodzonej gwałtowności. Płonął do końca, ale tylko dla sprawy, której poświęcił się wyłącznie.

W ostatnich latach życia objawiał dobrotliwą wyrozumiałość dla ułomności i niedociągnięć innych, przede wszystkim dla księży i bezpośredniego otoczenia, co mu zwykle sprawiało największą trudność. Zawsze znalazł pełne miłości usprawiedliwienie i wytłumaczenie dla cudzych słabości, ale nigdy dla własnych.



ROZDZIAŁ VIII

„CUD” Z MALCOVATIM



Wielu pobożnych Włochów przypisywało księdzu Orione już za życia, a tym bardziej po śmierci, moc cudotwórczą, szczególnie dar przewidywania rzeczy przyszłych, uzdrawiania, wypędzania złych duchów, a nawet właściwości bilokacji.

Osoby z różnych środowisk społecznych, o różnej inteligencji i stopniu wykształcenia opowiadały mi o tych cudach. Tych opowiadań ani skwapliwie nie przyjmowałem, ani też ich kategorycznie nie odrzucałem. Nie przyjechałem do Włoch w poszukiwaniu tych rzeczy. Zresztą Stolica Apostolska, zachowując w tych sprawach daleko posuniętą ostrożność, w toku procesu beatyfikacyjnego kilka z tych cudów uznała za autentyczne. Lecz przyznam szczerze, że te sprawy mnie osobiście mniej interesowały.

Pragnąłem jednak bardzo, by dla mnie spełnił się pewien cud. W moich wywiadach spotykałem się często z nazwiskiem Malcovati. Miałem je zanotowane kilka razy rozstrzelonymi literami.

Mówiono, że Malcovati był powszechnie znanym antyklerykałem, który później został zwolennikiem

księdza Orione i dobroczyńcą jego Dzieła. Wielki bogacz i podpora reżimu faszystowskiego, lecz działający za kulisami, człowiek ogromnie wpływowy, który potem został skromnym i nieznanym uczniem księdza Orione. Obeznani ze stosunkami politycznymi twierdzili, że widywano go wśród osobistości faszystowskich w czasie wielkich manifestacji, mimo że sam się nigdy nie wysuwał na widok publiczny. Opowiadano również, że na froncie podczas wojny nosił pod mundurem wstęgę z napisem: „W razie nagłej śmierci nie życzę sobie przyjęcia sakramentów”.

Przełożony jednego domu w Genui opowiedział mi o wypadku, który świadczył o wpływach pana Malcovatiego, jakie miał u władz. Do pewnego szpitala był utrudniony dojazd z powodu braku drogi. Dowiedział się o tym Malcovati, porozmawiał z władzami miejscowymi i po kilku dniach zbudowano drogę.

W Genui opowiadano mi także, że pewnego czwartku 1938 roku w długiej kolejce interesantów czekających na księdza Orione zauważono mężczyznę wyróżniającego się w tłumie. Był wysoki, wytwornie ubrany i miał postawę rozkazodawcy. W rzeczywistości nie było w tym nic nadzwyczajnego, gdyż między oczekującymi stało zwykle kilku bogaczy wspierających Dzieło. Jednak twarz tego człowieka rzucała się w oczy, biła z niej duma i złość. Stał pokornie w długim szeregu wśród starców, dzieci, żebraków i dobroczyńców czekających spokojnie na swoją kolejkę. Od-

tąd regularnie każdego czwartku stawał tutaj, dopóki ksiądz Orione nie zaprzestał przyjazdów do Genui.

Sam Orione nigdy o nim nie mówił. Postać pana Malcovatiego zaintrygowała mnie. Czulem, że muszę się z nim koniecznie spotkać, by od niego samego usłyszeć jego historię. Synowie Boskiej Opatrzności zapewniali mnie, że Malcovati wycofał się zupełnie z życia publicznego, a od śmierci księdza Orione nie widywano go wcale w Genui, gdzie Orione miewał swoje „posiedzenia”, ani też gdzie indziej.

Zbieranie szczegółów z życia księdza Orione dobiegało końca i prawie straciłem nadzieję spotkania tej ciekawej osobistości. Gniewało mnie to, bo przeczuwałem, że tu kryje się jakaś ważna informacja, która jednak wymyka mi się z rąk, gdyż nie miałem ochoty zadowolić się relacjami pośrednimi.

Ksiądz Orione miał to szczęście albo, powiedzmy raczej, tę łaskę Opatrzności, że zawsze otrzymywał, czego koniecznie potrzebował. Kiedy było mu potrzebne pół miliona lirów do godziny trzeciej po południu, otrzymał je punktualnie. Gdy chciał koniecznie spotkać jakąś osobę, pożądana osoba pojawiała się. Tę właściwość posiadają w pewnym stopniu jego bezpośredni następcy. Zdaje się, że wszyscy oni przejęli jego liczne niezwykle zdolności.

Prosiłem więc księdza Orione o spełnienie jednego mojego życzenia – pragnąłem spotkać pana Malcovatiego, jeżeli jeszcze żyje.

Pewnego wieczoru stałem na dworcu we Florencji i czekałem na pociąg do Rzymu. Mój towarzysz, ksiądz Piccinini, poszedł kupić prowiant i wino na podróż. Właśnie wrócił i wręczając mi moją porcję, zawołał w podnieceniu: „Przepraszam, przepraszam” i pobiegł za wysokim mężczyzną, który nieobciążony bagażem torował sobie drogę w tłumie. Kilka minut rozmawiali ze sobą, potem powrócił w towarzystwie nieznanego, przedstawiając mi go:

– To jest pan Malcovati.

Pociąg do Rzymu nadjechał i wsiedliśmy.

– Czy pan pozwoli, że pojedziemy razem? – zapytałem.

– Tak, jadę w tym samym kierunku, ale w połowie drogi wysiadam.

Wyjaśniłem mu, że zbieram materiały do życiorysu księdza Orione, którego jak słyszałem, lubił i podziwiał. Opowiedziałem mu także, jak bardzo pragnąłem spotkać się z nim i jak się obawiałem, że do tego nie dojdzie. Pokazałem mu jego nazwisko figurujące niemal na każdej stronie moich notatek.

– Słyszałem niejedną nedorzecznosc o panu i pańskim życiu – powiedziałem mu – a chciałbym o tych rzeczach usłyszeć osobiście z ust pana.

Malcovati okazał gotowość do udzielenia wyjaśnień. Stawiałem pytania i obserwowałem z ciekawością tę nieprzeciętną postać. Mario Achille Malcovati był okazałym starszym panem. Miał w sobie coś im-

ponującego. Mówił bardzo niskim głosem, podobnym do pomruku. Wrażenie to potęgowało się jeszcze, gdyż mówił przez prawie zamknięte usta. Jego rysy poniekąd pociągały i odstręczały. Zrozumiałem, dlaczego ludziom wydawał się zły. Można go było za takiego uważać, lecz teraz stanowiło to raczej dalekie echo przeżytego zła niż rzeczywiste zło. Obecnie malował się w jego twarzy rys poddania i rezygnacji.

W 1938 roku poznał księdza Orione w okolicznościach, które wszystko wyjaśniają. Starszy przyjaciel pana Malcovatiego, całe życie wrogi duchowieństwu i Kościołowi, obłożnie zachorował. Rodzina chciała sprowadzić kapłana, lecz chory stanowczo się sprzeciwił. Zaproponowano wreszcie odwiedzin księdza Orione. Chory zgodził się, ponieważ znał go osobiście i bardzo cenił. Ksiądz Orione przebywał daleko, bo aż w Tortonie. Wyraził jednak gotowość przybycia i prosił o samochód, ponieważ nie było innego środka lokomocji. Jedynym znajomym właścicielem samochodu, o którym rodzina wiedziała, był Malcovati, zacięty wróg Kościoła. Poproszono go więc, aby oddał przysługę choremu przyjacielowi i przywiózł księdza Orione.

Malcovati zgodził się, lecz tylko przez życzliwość dla przyjaciela. Prawie całe życie był w opozycji do Kościoła. Jako dziecko wiedział, że ojciec jest niewierzący, choć matka była praktykującą katoliczką. W szóstym roku życia przyjął Pierwszą Komunię

Świątą, by sprawić przyjemność matce, lecz dorastając, kroczył śladami ojca.

Gdy proszono go o przywiezienie księdza Orione, powiedział: „Po co ksiądz umierającemu, który przez całe życie obywatel się bez niego? Dlaczego nie zostawić go w spokoju?”. Przekonano go jednak, że taka jest naprawdę wola umierającego.

Mimo że kapłan wsiadał już do samochodu, Malcovati przekonywał go, iż szkoda jego czasu: „Ten człowiek przez całe życie odrzucał wiarę, więc teraz uczyni to samo. On już dogorywa, ksiądz go nie zdobędzie”. Na to Orione odpowiedział z ufnością w głosie, że chory jeszcze nie umrze, a on wcale nie ma zamiaru narzucać mu swojej religii.

Wszedł do domu chorego, a wyszedł z niego po dwóch godzinach:

– Jak tam było? – zapytał Malcovati.

– Wszystko w porządku – brzmiała odpowiedź – przyjął sakramenty święte i wyraził życzenie, bym go odwiedzał. Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby pan zechciał mnie jeszcze podwieźć.

Malcovati był do głębi przejęty wynikiem tej wizyty, lecz tym mocniej postanowił sobie, że nie da się księdzu zdobyć. Dla przyjaciela będzie go woził, ile razy będzie sobie życzył, sam jednak nie da omotać się ani jemu, ani komukolwiek.

Chory rzeczywiście nie umarł. Poczul się lepiej, jak przepowiedział ksiądz Orione. Wrócił do sił i zamiesz-

kał w sanatorium w górzystej miejscowości Lucca, gdzie żył jeszcze cały rok. Ksiądz Orione odwiedzał go co miesiąc, a w drodze opowiadał panu Malcovatiemu o swoim Dziele. Stopniowo Malcovati zaczął interesować się tą sprawą. Sam był filantropem, lecz z zasady nigdy nie brał udziału w dobroczynności chrześcijańskiej. Odtąd zaczął wspierać finansowo i księdza Orione. Był mu bardzo pomocny, zastrzegając jednak, że z jego wiarą nie chce mieć nic wspólnego. Interesuje go jedynie Dzieło.

Droga prowadziła przez stromy przesmyk Bracco. Malcovati zwykle zatrzymywał się tu, aby wypocząć. Ksiądz Orione korzystał ze sposobności, chodził górskimi ścieżkami i modlił się. Pewnego wieczoru towarzyszył nie spuszczał go z oczu i wreszcie zaczął rozmowę.

„Jestem gotów uwierzyć w ideę Boga. Będę pomagał biednym, lecz do spowiedzi nie pójdę. W ten sposób nie poddam się Rzymowi”.

Ksiądz Orione nie namawiał go do niczego. Powiedział tylko: „Pan jest uczciwym człowiekiem. Miłość bliźniego jest najczystsza formą religii. Ponieważ pan miłuje bliźnich, tym samym jest pan religijny”.

Na to Malcovati nie był przygotowany. Ksiądz Orione zauważył ten wstrząs.

„Nie chce się pan spowiadać przed księdzem – powiedział – dobrze, niech pan uklęknie przy mnie, proszę Boga o przebaczenie swoich win, a ja udzielę panu rozgrzeszenia”.

Dumny mężczyzna ukląkł na skrawku ziemi wysoko w górach obok małego księdza i w promieniach zachodzącego słońca płakał jak dziecko. Gdy wrócił z księdzem Orione do Tortony, przystąpił drugi raz w życiu do komunii świętej. Pierwszą przyjął w odległych latach swego dzieciństwa.

– Co właściwie najwięcej pociągało pana w osobie księdza Orione? – zapytałem.

– Od pierwszej chwili spotkania imponowała mi siła jego charakteru. On był pełen prostoty, a jednak miał w sobie wielką moc. Byłem też wzruszony jego miłością bliźniego.

Na koniec Malcovati opowiedział mi nieco o sobie. Był przemysłowcem i łatwo domyślić się, że wspierał reżim faszystowski. Stąd jego bliskie stosunki z władzami i jego fenomenalne powodzenie w różnych przedsięwzięciach. Po swoim nawróceniu wycofał się z życia publicznego, a czas i majątek poświęcał na popieranie Małego Dzieła Boskiej Opatrzności. Wyzbył się prawie wszystkiego, zachowując tylko tyle, ile wymagało zaspokojenie najprostszycy potrzeb. Zerwał z przeszłością, unikał miasta, chroniąc się jako nieznan i bezimienny człowiek do skromnego majątku ziemskiego gdzieś między Florencją i Rzymem. Tam gospodarował sam, pędząc życie samotne, prawie nigdzie nie wychodząc.

– Kiedy był pan ostatnio we Florencji? – zapytałem.

– Od 1940 roku, kiedy udałem się na wieś, unikam miasta i zgiełku ludzi – odpowiedział.

– Dlaczego przybył pan dzisiaj do Florencji?

– Muszę przyznać, że sam nie wiem dlaczego. Przyszła mi nagle myśl, by pojechać.

– A skoro pan przyjechał, co pan robił we Florencji? Czy załatwiał pan jakieś sprawy, robił zakupy?

– Tylko chodziłem ulicami, niczego nie kupowałem. Widzi pan moje puste ręce. Gdy mnie ta wędrówka znudziła, wróciłem na dworzec i tutaj spotkałem pana.

Ponieważ znał księdza Orione, nie dziwiło go to wcale, że w niewytłumaczalny sposób znalazł się w mieście. Spotkanie to bowiem leżało w interesie Dzieła Boskiej Opatrzności. Ksiądz Orione dopomógł, bym go spotkał i usłyszał historię jego życia. Takie niewytłumaczalne zjawiska były normalnym składnikiem codziennego życia księdza Orione.

W Rzymie poznałem syna owego starca, którego nawrócenie stało się przyczyną nawrócenia pana Malcovatiego. Opowiadał mi, że jego ojciec zajmował wysokie stanowisko w zarządzie miasta Genui i żywił niechęć do Kościoła. Nie był wprawdzie wojującym ateistą, ale będąc przekonany o swojej racji, otwarcie się do ateizmu przyznawał.

Ciekawy był powód, dla którego zaczęto mówić o księdzu Orione u łoża chorego. Syn, także niepraktykujący, był jakiś czas burmistrzem Genui. Raz prze-

mawiając publicznie jako burmistrz, zauważył w tłumie małego księdza z utkwionymi w niego oczami. Czy te były tak przenikliwe, tak niepokojące, że pogubił się w swojej przemowie. Pytał o nazwisko owego księdza i dowiedział się, że był to ksiądz Orione. Od tej pory już go nie zapomniał, a wszystko, co o nim słyszał, utwierdzało go w przekonaniu, że jest to człowiek nadzwyczajny i mąż święty. Właśnie z tego powodu zdecydowano się wezwać księdza Orione, gdy wszelkie inne próby ratunku zawiodły.

Ksiądz Orione wkroczył do domu – jak się wyraził syn – jako zdobywca. Od razu opanował bądź co bądź drażliwą sytuację, przedstawiając się siedemdziesięciosiedmioletniemu wrogowi Kościoła jako stary przyjaciel. „Kiedy był pan naczelnikiem stacji kolejowej w Genui, znał pan mego brata” – mówił. I opisał dokładnie okoliczności, w jakich się spotkali.

Od razu pozyskał starca. Spędzili razem prawie dwie godziny. Kiedy po jego odejściu weszła rodzina chorego, ten nie powiedział ani słowa, ale jego oczy były jeszcze wilgotne od łez. Ksiądz Orione nie wyjawiał nic z tego, co między nimi zaszło. Szanował uczucia bliźniego.

Chory przebywał jeszcze dwanaście miesięcy w sanatorium. Pod koniec siły opuściły go zupełnie i stracił przytomność. Odzyskał ją przy dźwiękach dzwonów ogłaszających Wigilię Bożego Narodzenia w 1938 roku. Wysłuchany w ich tony – skonał. Całe życie stał

z dala od Kościoła, a na skutek choroby nie mógł być przed śmiercią w żadnym kościele.

W obu nawróceniach: chorego starca i pana Malcovatiego Orione postępował podobnie jak z modernistami, których doprowadzał do Kościoła, i z wieloma księżmi renegatami, którymi się opiekował. Nie dyskutował z nimi, nie próbował wyprowadzić ich z błędu. Promieniował duchem Chrystusowym i pokonywał ich miłością bliźniego.



ROZDZIAŁ IX

„UMRZEĆ, STOJĄC”



Wracając pewnego razu późnym wieczorem z dworca w Tortonie, ksiądz Orione spotkał żebraka w łachmanach. Orione, który właśnie miał nowe spodnie ofiarowane mu przez kogoś, popatrzył chwilę na żebraka drżącego z zimna. Potem zaciągnął go do ciemnego kąta. W kilka minut później mknął szybko bocznymi uliczkami w samych kalesonach pod sutanną. Wraciał wyczerpany po męczącym dniu w Mediolanie. Był chory. Nim doszedł do domu, bardzo się przeziębił.

To nie był odosobniony wypadek. Często chodził w dziurawych butach zamienionych z przygodnym żebrakiem. Kapelusze, płaszcze, spodnie, buty – wszystko oddawał bez wahania potrzebującym.

„Cóż było można tutaj zaradzić?” – mówił mi pewien lekarz w Rzymie, który dobrze znał księdza Orione. Podziwiał jego życie i jego Dzieło. Wiedział dobrze, że każda rada, jakiej mu udzieli jako lekarz, nie znajdzie odzewu, jeżeli stanie w poprzek ścieżki, którą ksiądz Orione uważał za swoją drogę życiową. Orione pozostawał zawsze sobą. Było więc rzeczą daremną, wręcz niewskazaną sprzeciwiać się mu w tym całopalnym oddawaniu się innym.

„W ostatnich latach po powrocie z Ameryki zasta-
wałem go zwykle przemęczonego i wyczerpanego do
granic. Jednak zaobserwowałem niebywały wysiłek,
jaki podejmował, gdy chodziło o dobro jakiejś duszy
ludzkiej. Ten wysiłek wyczerpywał go jeszcze bardziej
i skracał życie. Ale takie było zrządzenie Boże. Lekarz
był tutaj bezsilny” – mówił.

Przed wyjazdem do Ameryki cukrzyca u księdza
Orione nie była groźna, lecz pogorszyła się znacznie
po powrocie do kraju.

Pewien zaprzyjaźniony lekarz z Genui zapisał mu
recepty na cztery rodzaje lekarstw. Po jego odejściu
Orione popatrzył na zwitek recept i wyrzucił je przez
okno, mówiąc: „Gdybym to wszystko miał zażywać,
to nie mógłbym już o niczym innym myśleć”.

Stale narażał swoje zdrowie i nadwerężał osłabiony
już organizm. Od wielu lat kładł się o północy. Wsta-
wał zaś o wpół do piątej rano i tego trybu życia nie
zmieniał nawet wtedy, gdy był naprawdę wyczerpany.
Katastrofa była więc nieunikniona i wkrótce nastąpiła.

Pewnego kwietniowego dnia 1939 roku pojechał do
Aleksandrii – miasta położonego w pobliżu Tortony.
Jeden z księży Małego Dzieła wioził go samochodem
do nowo zorganizowanego wielkiego domu dla chłop-
ców. W drodze ksiądz Orione uległ zawałowi serca.
W stanie zagrażającym życiu przetransportowano go
do miejscowego szpitala. Zaraz odwiedził go biskup
Aleksandrii. Również księży i zakonnice zgromadzili

się u jego łóżka. Przyjął sakramenty święte i wszyscy
byli przekonani, że zbliża się jego ostatnia chwila,
wszyscy z wyjątkiem chorego. Skoro tylko pierwsze
objawy ataku minęły, nabrał pewności, że będzie żył.
Miał jeszcze tyle pracy do wykonania.

Doprowadzał do rozpaczony swoich pielęgniarzy.
Jeden z jego synów duchowych, ksiądz Konstanty
Costamagna, był nieodstępującym go na krok piele-
gniarzem. To właśnie ten, którego przed dziesięć
laty ksiądz Orione odwołał ze straganu, by przygoto-
wać go do kapłaństwa.

Ksiądz Costamagna opowiadał mi o swoich kłopotach.
Przełożeni, siostry pielęgniarki i lekarz przyka-
zali mu dbać o zupełny spokój i całkowite odprężenie
chorego. Jego zadanie miało polegać przede wszyst-
kim na tym, żeby poskramiać wrodzoną ruchliwość
chorego i zmusić do przestrzegania przepisów leka-
rza. Nakazany był zupełny spokój, a jego obowią-
zkiem było dbać o zachowanie go. Nim jeszcze spróbo-
wał wprowadzić w czyn te zarządzenia, ksiądz Orione
uwikłał go w spisek. „Ja muszę pracować. Przyniesi mi
zaraz papier i pióro. Na tobie mogę polegać, ty mnie
musisz bronić przed tymi ludźmi”.

Ksiądz usłuchał nakazu i zamiast być wykonawcą
poleceń lekarskich, pełnił rolę stróża u drzwi. Sygnali-
zował nadejście lekarza lub innych „wrogów” i wtedy
Orione prędko wsuwał się do łóżka i witał wchodzą-
cych z posłania promiennym uśmiechem.

Siostry martwiły się, że ksiądz Orione nie ma apetytu, i nalegały, by powiedział, co mu może smakować. „Mam sześćdziesiąt pięć lat i jeszcze nigdy w życiu nie myślałem, co bym zjadł. Jem, ile trzeba, aby mieć energię i siły do życia” – mówił. Przy tym żartował i opowiadał dowcipy jak zwykle. Gdy powracał do zdrowia, lekarz wyraził zdziwienie, że w czasie choroby nie stracił nic na wadze. „To pana dziwić nie powinno. Zachowałem wszystkie moje wady i błędy, a te ważą немало”.

Przed gmachem szpitalnym gromadzili się od rana do wieczora mężczyźni i kobiety, dowiedziawszy się z prasy lub radia o jego chorobie. Zatroskani pytali o jego zdrowie, obawiając się bliskiej śmierci. Tymczasem ksiądz Orione siedział na łóżku i pisał liczne życzenia wielkanocne do swoich przyjaciół i księży, podczas gdy jego pielęgniarz – „anioł stróż” – trzymał wartę u drzwi.

Ksiądz Orione miał rację, obawy pesymistów okazały się płonne – wyzdrowiał. Z całych Włoch napływały gratulacje. Ksiądz Orione również dziękował Bogu, lecz zdawał sobie jasno sprawę, że już niewiele pozostało mu czasu. Podjął rychło swoje obowiązki. Pracował jeszcze bardziej intensywnie niż przed chorobą.

W dalszym ciągu co tydzień jeździł do Mediolanu i Genui. Przyjmował całymi dniami interesantów licznie nawiedzających go z różnymi sprawami. Wracając pewnego razu do Tortony, powiedział do swego towa-

rzysza: „Jestem zupełnie wykończony. Wiem jednak, że Bóg udzielił mi łaski pocieszania bliźnich i muszę ten dar wykorzystać”. Innego wieczoru, gdy mozolnie wspinał się po niewygodnych schodach na głównym dworcu w Mediolanie, musiał przystawać co dwa, trzy stopnie, aby zaczerpnąć powietrza. Nareszcie znalazł się na peronie i powiedział: „Moje serce wisi na włosku, któregoś dnia zerwie się”. Mimo to wstawał codziennie rano i pierwszy zjawiał się w kaplicy.

Współbracia czuwali z największą troskliwością nad jego zdrowiem. W podróży miał stale towarzysza. Wynaleziono też słuszny powód, aby jego pielęgniarz – „anioł stróż” – sypiał z nim w tym samym pokoju.

Pewnego jesiennego wieczoru przyszedł do niego w odwiedziny bezdomny chłopak. Orione położył go w swoim łóżku, nim znalazło się inne pomieszczenie. Sam urządził sobie nocleg na dwóch deskach położonych na stosie książek.

Jego mały pokój był urządzony bardzo skromnie i służył jednocześnie za sypialnię i pracownię. Do dziś zachował się niezmieniony, z kamienną posadzką, żelaznym łóżkiem, ubogim biurkiem, małą ascetyczną biblioteką zawierającą przeważnie żywoty świętych oraz jeden sfatygowany egzemplarz *Boskiej komedii*. Stoi też tam zardzewiały żelazny piecyk oraz dwie figury bez wartości artystycznej we włoskim stylu ludowym: Madonna i Serce Jezusowe. To pomieszczenie

świadczy o zrezygnowaniu z księdza Orione z wytworów kultury. Poza *Boską komedią* ogołocił się ze wszystkiego. Pragnął, by jego pobożność była pobożnością prostego ludu.

Na ścianie wisi krucyfiks w rozpowszechnionym we Włoszech stylu realistycznym. Obok zaś kilka obrazów religijnych. Jeden z nich przedstawia księdza Bosko uroczyście spoczywającego po śmierci w krześle i przypomina tę chwilę, kiedy młody Alojzy Orione pełnił straż honorową przy zwłokach zmarłego. Nad łóżkiem na ścianie wisi wielka polska flaga.

Na biurku jest czaszka, która była tam zawsze. Na jej czole są wyryte własnoręcznie przez księdza Orione słowa: *Ti annunzio l'amore di Gesu* – „zwiastuję ci miłość Jezusa”. Pochodzenie czaszki jest nieznane. Na potylicy widnieje długa blizna. Jest to więc czaszka umysłowo chorego ze śladami po operacji. Nie wiemy, czy ten szczegół był znany księdzu Orione, lecz można to przyjąć z dużym prawdopodobieństwem, wszak wiemy, jaką nadzwyczajną miłością obdarzał obłąkanych. Jego placówki dla umysłowo chorych są rozsiądane po całych Włoszech, Szwajcarii, krajach Ameryki Południowej i w innych miejscach świata.

W 1955 roku byłem w Mediolanie obecny na otwarciu przez dawnego ministra pracy kliniki dla chorych na serce i płuca. Przy tej okazji spotkałem architekta pana Gazolo, który opowiedział mi pewną historię. Przytaczam ją bez żadnego komentarza.

W grudniu 1939 roku proszono księdza Orione, aby przemówił do trzystu zebranych przyjaciół swojego Dzieła. Wchodząc na salę, poczuł się bardzo źle. Wszedł na podwyższenie. Przewodniczący otworzył zebranie i Orione chciał się podnieść. Nagle zwrócił się szeptem do pana Gazolo siedzącego obok:

– Nie mogę, nie mam siły, pan musi mi wyświadczyć przysługę.

– Owszem, o co chodzi – zapytał.

– Pan musi do nich mówić.

– Wykluczone, jeszcze nigdy nie przemawiałem publicznie.

– Niech pan mówi, bardzo proszę. Wszystko pójdzie dobrze.

Rozmowa prowadzona po cichu nie trwała nawet minuty i nim Gazolo zdał sobie sprawę z położenia, nim powziął jasną myśl, o czym ma mówić, stał przed wpływowym i poważnym audytorium. Rzucił okiem na księdza Orione i spostrzegł, że jego przenikliwy wzrok wpijał się w niego, jakby ksiądz ze wszystkich sił chciał mu przekazać swoje myśli. Gazolo mówił bez przygotowania i notatek czterdzieści pięć minut, zupełnie nie swoim stylem. Oświadczył mi: „Odnosiłem wrażenie, jakbym po prostu był tubą księdza Orione”.

Trzy lata później inżynier Gazolo czytał w pewnym dzienniku artykuł pisarza Mediciego, który wtedy siedział obok niego przy stole prezydyjnym. Opisywał

całe to zdarzenie. Przytaczał dokładnie przemówienie Gazola i wyrażał swoje przekonanie, że to nie inżynier Gazolo mówił, lecz jakaś tajemnicza siła emanująca z księdza Orione. „Czułem, że potrafiłbym tak samo” – pisał Medici.

W Wigilię Bożego Narodzenia ksiądz Orione nakazał swemu młodemu sekretarzowi: „Pojedziesz na święta do domu, do swojej matki. Dam sobie sam radę” – dorzucił, wręczając mu dwie paczki biszkoptów. Jedna była dla matki. Drugą miał w drugi dzień świąt zanieść młodemu księdzu choremu na gruźlicę mieszkającemu w samotnej parafii w górach. Ksiądz ten nie należał do Zgromadzenia Synów Boskiej Opatrzności, ale Orione słyszał kiedyś o nim i po ojcowsku interesował się chorym.

– Oddasz mu to, by nie czuł się opuszczony – rzekł.

Młody seminarzysta wypełnił zlecenie i odnalazł samotnego księdza. Biszkopty te były jedynym jego prezentem bożonarodzeniowym. O tym podarunku obdarowany nie zapomni nigdy.

W dzień Bożego Narodzenia duchowi synowie księdza Orione zaczęli żywić przekonanie, że ich drogi ojciec nareszcie czuje się zdrowszy, bo udało mu się odprawić wszystkie trzy Msze Święte. Jednak jego pielęgniarz i seminarzysta sekretarz wiedzieli dobrze, że Orione przez cały miesiąc często spędzał bezsenne noce na siedząco. Wykańczały go liczne ataki serca i napady duszności. Rano wstawał, nie chcąc alarmo-

wać nikogo swym stanem zdrowia. Codzienną Mszę Świętą odprawiał z termoforem na plecach.

„Nie rozpowiadajcie niczego. Musimy pracować jak zwykle” – upominał. Tak było przez cały styczeń 1940 roku i w pierwszej połowie lutego.

Od lat miał zwyczaj podawać na tablicy w domu macierzystym w Tortonie jakąś krótką myśl przewodnią na dzień bieżący. Tego zwyczaju przestrzegał także w Ameryce i wysyłał codziennie krótkie orędzie do swoich braci. Te okruchy myśli zebrane razem odzwierciedlają jego duszę, jego dziecięcą pobożność, nadzieje i obawy dokładniej, niżby to mogło zrobić jakieś obszerne opracowanie.

Pewnego dnia na początku lutego 1940 roku hasło dnia brzmiało: „Umrzeć, stojąc”. Dnia 17 stycznia uzyskał zatwierdzenie planu olbrzymiego gmachu na Małe Cottolengo mające dostarczać schronienia i pomocy wszelkiego rodzaju nieszczęśliwym. Po długich walkach lat ubiegłych szczególną radością był dla niego fakt, że kardynał Schuster akceptował plan w całej rozciągłości.

„Bóg zwykł swoje domy budować sam – pisał kardynał – ja mogę jedynie błogosławić zamiarom”.

W dniu 6 lutego ksiądz Orione jechał ostatni raz do Mediolanu. Na dworcu powiedział nagle: „Muszę złożyć kardynałowi moje uszanowanie”. To było zaskakujące, ponieważ miał zwyczaj udawać się do kardynała, jak każdy ksiądz, jedynie za zgłoszeniem. Szedł

powoli po schodach do mieszkania kardynała, który nie zawsze okazywał mu życzliwość, mówiąc: „Kardynał Schuster był naprawdę zawsze bardzo dobry dla nas. Pragnę mu podziękować za wszystko, co dla nas uczynił”.

Kardynał zwierzył się później, że ksiądz Orione rzekł do niego owego dnia: „Wasza Eminencja powinien postępować z największą ostrożnością. W tej chwili oczy całych Włoch są zwrócone na Waszą Eminencję. Kraj niedługo tak mu zaufa, że Wasza Eminencja będzie mógł odegrać bardzo poważną rolę”. Cztery miesiące później Włochy przystąpiły do wojny. Kardynał – jak to przewidział Orione – odegrał rzeczywiście bardzo poważną rolę swoją postawą wobec upadającego faszyzmu jako rzecznik spokoju i ładu wewnętrznego. Wydaje się, jakby na progu śmierci ksiądz Orione odczuwał potrzebę pożegnania kardynała i udzielenia mu pozytywnej rady.

Dwa dni później ksiądz Orione był w Turynie i w Genui. Był zajęty bardziej niż zwykle. Następnego dnia o godzinie piątej rano doznał po raz wtóry ataku serca. Prosił o sakramenty święte, których mu udzielono. Przez kilka godzin znajdował się między życiem a śmiercią. Pod koniec tego samego dnia, 9 lutego, atak się powtórzył.

Tylko z trudem mógł mówić, jednak potrafił wytłumaczyć sekretarzowi, że pragnie pisać. Seminarzysta był zdziwiony i zaniepokojony, lecz ksiądz Orione

nie ustępował: „Idź do infirmerii, tam jest mały pulpit, umieścisz mi go na łóżku, abym mógł pisać”.

Seminarzysta poszedł tymczasem do niezawodnego księdza Sterpiego, prawej ręki księdza Orione i jego późniejszego następcy. Ksiądz Sterpi polecił naciśnąć na księdza Orione, aby wstrzymał się od pracy. „Jest bardzo chory i osłabiony, powinien odpocząć” – powiedział.

Na próżno. Spokojnie, lecz stanowczo i z wielkim wysiłkiem odezwał się ksiądz Orione: „Powinieneś powiedzieć księdzu Sterpiemu, że pragnę wypełniać swe obowiązki aż do ostatniego tchu i od tego nie powstrzyma mnie wzgląd na zdrowie czy życie”.

Wniesiono pulpit i umieszczono obok łóżka ciężko chorego. Orione ujął pióro. Całe życie sprawował potężne apostołstwo pióra. Napisał trzy wyrazy i pióro wypadło mu z ręki. Jeszcze raz próbował, lecz daremnie. „Duch był ochoczy, ale ciało mdłe”.

Ksiądz Orione podniósł wzrok pełen rezygnacji. „Niech i tak będzie. Nie mogę pisać, będę dyktował” – mówił szeptem. Chodziło mu o utrzymanie łączności z księżmi za oceanem. List był skierowany do szczególnie umiłowanego kapłana w Ameryce. Zaczął słowami: „Piszę, będąc już jedną nogą w grobie”. Zdawał sobie sprawę, że przebyty atak był ostatni, jaki mógł przeżyć. Codziennie dyktował jedną lub dwie strony listu. Postanowił list skończyć. Wieczorem czwartego dnia, kiedy pismo obejmowało już osiem stron, spytał

sekretarza: „Czy zgodziłbyś się przyjść do mnie jutro wcześniej? Chciałbym skończyć”.

O piątej rano słabym głosem dyktował przybyłemu sekretarzowi końcową część listu.

Pragnął „umrzeć, stojąc”, działając. Nie jego wina, że mu się to nie udało.

Stan chorego o tyle się poprawił, że mógł – choć z wielkim wysiłkiem – opuścić łóżko i odprawiać Mszę Świętą. Tymczasem ksiądz Sterpi i lekarz starali się nakłonić go do opuszczenia Tortony i zamieszkania w domu, który Zgromadzenie miało w San Remo na Riwierze Włoskiej. Wreszcie im się to udało.

„Lekarz oświadczył, że muszę jechać, myślę więc, że powinienem” – powiedział do swojego sekretarza.

Taki obrót rzeczy nie był wcale po jego myśli. Będąc od lat w Tortonie, miał zwyczaj wygłaszać do seminarzystów „słówko na dobranoc”. Ostatniego wieczoru mimo osłabienia wypełnił ten zwyczaj. Przemawiał wyjątkowo długo i nikt nie wątpił, że ksiądz Orione wiedział, iż odchodzi, aby umrzeć.

Na kilka dni przedtem zgromadził koło siebie swych najbliższych: księdza Sterpiego, lekarza, pielęgniarkę, swego sekretarza seminarzystę i kilku starszych kapłanów. „Odjeżdżam – powiedział do nich – ponieważ takie jest wasze życzenie, ale nie wrócę żywy. Jeżeli wrócę, to w trumnie”.

Prawie wszyscy zaprzeczali i nie chcieli wierzyć w tak bliski koniec. Dlaczego nie miałyby wrócić do

zdrowia jak uprzednio? Lecz ksiądz Sterpi, znając go najlepiej, był odmiennego zdania i zrzucił z siebie wobec nich odpowiedzialność za przeniesienie go do San Remo. „Ja mu wierzę, gdy zapewnia, że żywy nie wróci” – mówił smutno.

Gdy ksiądz Orione wyjeżdżał 9 marca do San Remo, miejscowości o łagodniejszym klimacie, unikał świadomie księdza Sterpiego. Wiedział, że pożegnanie byłoby zbyt bolesne i chciał mu go zaoszczędzić.

W towarzystwie dwudziestoletniego sekretarza seminarzysty wybrał się koleją do San Remo. Jak zwykle podróżował trzecią klasą. W zatłoczonym wagonie poznał go kolejarz i zawołał: „Ależ to jest ksiądz Orione, ja księdzu poszukam lepszego miejsca”.

Sekretarz poszedł za nim i wrócił niebawem po księdza Orione. Jednak kiedy ten zobaczył przygotowane mu miejsce w pierwszej klasie, zawołał: „Nie, nie dla mnie wyściełany przedział pierwszej klasy, wykluczone!” – i wrócił na poprzednie miejsce.

Był przygarbiony, powłóczył nogami, lecz całą drogę, o ile nie pisał listów, żartował z towarzyszem i pasażerami. Kiedy sekretarz wyciągnął butlę z tlenem, w którą zaopatrzył go lekarz, dowcipkował sobie z tej przeczności. Dziwnym trafem do San Remo nie dotarło zawiadomienie o jego przyjeździe. Nie było więc obiadu i niczego nie przygotowano na jego przyjazd. Wszystkie siostry – z wyjątkiem jednej – były na pielgrzymce w pobliskiej miejscowości

pątniczej. Ksiądz Orione udał się do kaplicy. Obchodząc ołtarz, zobaczył na ścianie swój portret. „Zrzucić to, precz z tym. Nie chcę, by wieszano mój portret w kościele” – zawołał.

Było już późno, gdy zakonnice wróciły. Usprawiedliwiały się, lecz on je uspokajał i udał się na spoczynek. Sypialnia była oświetlona jedynie płomykiem lampki przed obrazem Madonny. Ksiądz Orione rzekł, uśmiechając się do towarzysza: „Czy nie odniosłeś wrażenia, że tu jest zupełnie jak w kaplicy cmentarnej?”. Dowcip ten na pewno bardziej podobał się jemu samemu niż towarzyszowi.

Następnego dnia zjawił się lekarz specjalista. Chory nie miał najmniejszej ochoty na korzystanie z usług lekarskiej sławy. „Umrę, po co jeszcze tyle zachodu i kosztów”. Poddał się jednak bezwolnie wszystkiemu. Dawniej byłby się buntował. Lekarz dał się wprowadzić w błąd wspaniałym humorem i udanymi żartami pacjenta. Orzekł, że stan nie jest wcale groźny, śmierć nie jest bliska i ksiądz Orione dożyje późnego wieku. Po skończonej wizycie Orione potrząsnął głową i powiedział: „Biedny, on nic nie wie”.

Najbliższy ranek i dwa następne dni ksiądz Orione od wczesnych godzin spędził na pracy. Po odprawieniu Mszy Świętej brał udział we wszystkich pobożnych ćwiczeniach domu, potem całymi godzinami pisał listy, odmawiał różaniec. Nie zgodził się na żadną dietę. Na próżno jego towarzysz usiłował wyciągnąć

go na przechadzkę. Orione zachęcał go, by sam poszedł na molo, życząc mu wiele przyjemności. Wymawiał się nawalaniem pilnych zajęć.

Wreszcie któregoś dnia udało się pielęgniarzowi nakłonić księdza Orione do poobiedniego odpoczynku w swoim pokoju. Pielęgniarz postąpił bardzo sprytnie, motywując, że jego mocno zniszczoną sutannę trzeba oddać do naprawy jednej z sióstr. Zadowolony ze swojego pomysłu, podkraść się na palcach do pokoju księdza Orione i zastał go odpisującego na stos listów. Policzył odpowiedzi, odnosząc je na pocztę – było ich dwadzieścia dwie. Na protesty pielęgniarza, że jego podopieczny za dużo pracuje, usłyszał w odpowiedzi: „Wszystko w porządku, w niebie będziemy mieli długi odpoczynek”.

Wchodząc pewnego razu do pokoju, pielęgniarz zastał księdza Orione, jak siedział na łóżku i wycinał z kolan grube odciski powstałe przez długie klęczenie.

„Nie wiem, co się dzieje z moim starym ciałem. Muszę się od tego uwolnić, nim umrę. Nie chcę, żeby to ktoś zauważył i stworzył z tego później jakieś historie” – usprawiedliwiał się.

12 marca ksiądz Orione wstał wcześniej niż zwykle. Odprawił Mszę Świętą i chciał następnemu kapłanowi służyć do Mszy Świętej. Pielęgniarz z trudem wyperswadował mu ten zamiar i zastąpił go. Znowu prawie cały dzień pisał listy. W przerwie prosił o *Boską komedię* Dantego i o *Narzeczonych* Manzonię. „Po-

trzeba mi kilku dokładnych cytatów, to są ważne listy i wszystko musi się zgadzać” – rzekł.

Pamiętał o rocznicy koronacji papieża Piusa XII i wysłał telegram gratulacyjny. O godzinie czwartej po południu przyjął kilku serdecznych przyjaciół z Tortony. Spożył kolację, tym razem na stojąco z powodu ataków duszności. Przez chwilę czytał wyjątki z biografii św. Franciszka z Asyżu.

O godzinie dziesiątej wieczorem polecił pielęgniarzowi udać się na spoczynek, twierdząc, że tego dnia musiał pewnie czuć się bardzo zmęczony. Następnie sam przygotował się do snu, lecz już po kilku minutach wezwał z powrotem pielęgniarza.

Nastąpił czwarty i ostatni atak. Pielęgniarz przyniósł zastrzyk i tlen. Przybiegli księża i zakonnice. Chciano sprowadzić lekarza, lecz ksiądz Orione zabronił i nakazał spokój. Spojrzał na pielęgniarza pogodnym wzrokiem i rzekł: „Idę”. Następnie: „Jezu, Jezu, Jezu” i osunął się łagodnie jak człowiek, który zasypia.

Na wieść o śmierci księdza Orione, przyjaciela i ojca ubogich, gromadziły się tłumy ze wszystkich warstw społecznych. Wszyscy chcieli jeszcze raz zobaczyć tego, który był przyjacielem wszystkich. Papież, królowa włoska, kardynałowie nadsyłali kondolencje. Ale przede wszystkim ubodzy, obdarzani przez niego specjalną miłością, tłoczyli się na ulicach, którymi za kilka dni przeciągnął orszak żałobny.

Zwłoki wieziono z San Remo przez Genuę, Mediolan, gdzie stoczył tyle ciężkich bojów i odniósł największe zwycięstwo. Przez Vogherę, gdzie jako młody chłopiec wstąpił do franciszkanów, przez Pontecurone, gdzie się urodził i gdzie już czczono go jako świętego, i przez wiele innych miejscowości – do Tortony.

We wszystkich wioskach, wszystkich osadach i miastach gromadzili się mieszkańcy, tworzyli szpaler. Ulica w Pontecurone była wysypana fiołkami. Uzbierali je wieśniacy i zasłali nimi nierówności bruku.

Syn brukarza Wiktora Orione wracał do domu w triumfie. Ubogi, uboższy może niż gdy wyruszył ze swojej wioski w świat, ale kochany i wielbiony przez miliony serc.



ROZDZIAŁ X
I NADAL DZIAŁA



Udałem się do Włoch, aby zbierać materiały do życiorysu księdza Orione, ponieważ pociągała mnie jego postać i wszystko, co słyszałem o nim i jego Dziele – dziele miłości bliźniego i miłosierdzia.

Równocześnie zaprzętała mi głowę pewna myśl, którą rozwinę w następnym rozdziale. Zwięźle sformułowana brzmi: „W ustroju nowoczesnym w ogóle, a szczególnie w państwie o zorganizowanej opiece społecznej, dążność do sprawiedliwości społecznej wyparła w wielkim stopniu praktykę chrześcijańskiej miłości bliźniego. Czy wobec tego jest tu w ogóle miejsce na działalność Zgromadzenia takiego, jakie ksiądz Orione powołał do życia?”

Był więc i problem, i osoba, które skłaniały mnie do wędrówki wzdłuż i wszerz Włoch śladami księdza Orione.

Wkrótce jednak osobowość księdza Orione pochłonęła mnie całkowicie. Był on nieporównanie większy niż moje wyobrażenie o człowieku, na którego poszukiwanie się wybrałem, a równocześnie o wiele bardziej ludzki i tak bardzo święty – święty naszej epoki. Odkryłem, że jego osobowość miała coś nie-

zmiernie fascynującego. Niewiele czasu spędziłem we Włoszech, ale udało mi się odczuć ten magiczny wpływ w sposób wprost niesamowity; i to nie jako coś, co przemija – lecz jako żywą, działającą siłę. Odniosłem wrażenie, że pracuję dla niego i z nim. Pytałem o niego po tysiąc razy i w krzyżowym ogniu pytań uzyskiwałem obiektywne świadectwo setek ludzi najróżnorodniejszych warstw społecznych: od dostojników Kościoła po prostych wieśniaków.

Pociągały mnie gesty i mimika osób, z którymi robiłem wywiady, gdyż ruchy rąk i wyraz twarzy mówiły prawie tyle samo co słowa. Widziałem w nich odbłask postaci księdza Orione i jego sposób bycia. Zawsze, ilekroć padało jego imię, rozbłyскиwały oczy na wspomnienie jego czynów, słów lub choćby spojrzeń. Relacjom towarzyszyły często gwałtowne ruchy rąk, jakby opowiadający chcieli pokazać coś z jego niewyczerpanej żywotności i ducha lub go po prostu naśladować. Często w toku rozmowy ożywienie nagle zamierało, wzrok przygasał, by w ten sposób wyrazić niewysłowioną łagodność i nieuchwytną delikatność księdza Orione.

Zafascynowany obserwowałem te nagłe zmiany. Czasem miałem wrażenie, jakby rozmówcy już przestali mówić o tym samym człowieku, a jeszcze naśladowali dialog dwóch zupełnie odrębnych osób. To właśnie zjawisko oddawało najdobitniej dynamikę charakteru małego księdza z Tortony, tak żywiołowo wyrażającego nadzwyczajną potęgę miłości.

Jedno przedpołudnie spędziłem w rozkosznej kontemplacji, płynąc motorową barką. Podziwiałem cuda Wenecji z jej kanałami i mostami. Długo siedziałem oczarowany, współczując nowoczesnym miastom ich szalonego wyścigu. Pochwalałem w duchu mądrość tego miasta posługującego się do dziś powolną komunikacją wodną zamiast wykorzystywania rozpędzonych aut o rekordowej szybkości.

Wtem zadzwieczał telefon łączący mnie z sekretarzem kardynała patriarchy Wenecji. Donosił mi, iż kardynał chciałby mnie poznać. Może mi poświęcić kwadrans między dwoma umówionymi spotkaniami, o ile znajdę się za trzydzieści minut w jego rezydencji.

W tej chwili moje błogie zachwyty nad tempem życia w Wenecji prysły jak bańka mydlana. I teraz, kiedy moja barka przesuwała się między gondolami na ożywionym kanale, wydawało mi się to mniej przyjemne. Prawie na czas przeciąłem plac św. Marka obok olśniewającego pałacu dożów oraz ogromnej katedry w stylu bizantyjskim i wchodziłem na stopnie sąsiadującego pałacu kardynała.

Kardynał patriarcha⁵, witając mnie, powiedział:

– Pan przybył, aby zbierać wiadomości o księdzu Orione?

5 Angelo Giuseppe Roncalli, późniejszy papież Jan XXIII (przyp. red.).

– Owszem – odpowiedziałem – proszę mi określić po prostu, bez specjalnego doboru słów najwybitniejszy rys charakteru księdza Orione.

Kardynał nie zawahał się ani sekundy.

– Ksiądz Orione był najbardziej miłującym człowiekiem, jakiego w ogóle znałem. Jego miłość sięgała dalej niż czyjakolwiek, o kim czytałem lub słyszałem. Wykraczała poza wszelkie normalne granice. On wierzył, że miłością można zdobyć świat.

Reakcja na samo nazwisko księdza Orione jest jeszcze wciąż żywa nawet w środowiskach, w których należałoby tego najmniej oczekiwać. Dano mi to poznać pewnej niedzieli w sposób typowo włoski. Jechałem samochodem z Tortony do Genui wzdłuż Riwieri Włoskiej. Szukałem człowieka, który mógłby mi potwierdzić pewną zasłyszaną przeze mnie historię. Człowiek ów mieszkał w ustronnej okolicy, gdzie drogi są złe, domy nieliczne i rozrzucone. Nareszcie znalazłem wskazaną ulicę. Trudno było odszukać mieszkanie, a gdy tam dotarłem, okazało się, że poszukiwanego nie ma w domu. Sąsiedzi zauważyli, że – być może – poszedł na obiad do gospody.

W gospodzie odbywało się właśnie posiedzenie miejscowej partii komunistycznej. Przeszkodziłem w ważnych obradach, dlatego otrzymałem odpowiedzi krótkie, zwięzłe i niechętne. Wywnioskowałem, że tego, którego szukałem, nie było na obiedzie. Obradujący nie mieli czasu i chcieli jak najszybciej

pozbyć się mnie. Wspomniałem, że mi ogromnie na tym spotkaniu zależy. Zbieram bowiem materiały do życiorysu księdza Orione, a człowiek ten ma mi opowiedzieć pewne osobiste przeżycie związane z nim.

Kiedy tylko padło nazwisko księdza Orione, nastrój komunistów zmienił się błyskawicznie. „Ten człowiek – informowali ugrzecznieni – poszedł z pewnością w odwiedzinach do swoich krewnych o kilka kilometrów stąd”. Starali się podać dokładnie kierunek, ale wskazówki były zawiłe, a miejscowość jeszcze trudniejsza do odszukania niż zakątek tutaj.

„Ponieważ chodzi o księdza Orione, my was tam zaprowadzimy” – powiedział jeden z nich, pewnie taki sam komunistą jak burmistrz Peppone w powieści Guareschiego.

Towarzysze skoczyli na motocykle, dosiedli skuterów i pojechałem eskortowany przez dwunastu zmotoryzowanych jeźdźców po włoskich drogach. Dotarłszy szczęśliwie do celu, zawrócili, aby podjąć dalsze obrady. Tortona graniczy z doliną Padu, a ta jest pod każdym względem prawdziwym krajem don Camillo.

Ksiądz Orione wywierał wszędzie i zawsze ogromny wpływ na swoje otoczenie. Niejeden opuścił wszystko, aby pójść za Chrystusem, którego odbicie widział w życiu księdza Orione. Domy Zgromadzenia Synów Boskiej Opatrzności i żeńskiego Zgromadzenia księdza Orione są pełne powołań obudzonych osobistym urokiem Założyciela. Zazwyczaj nie było to wezwa-

nie do czegoś głośnego i rzucającego się w oczy. Było wręcz przeciwnie. Oto przystojne młode dziewczęta po wysłuchaniu go porzucają wszystko, aby spędzić życie na usługach zgrzybiałych, kłótliwych kobiet, bezwładnych starców lub nieuleczalnie chorych umysłowo. Rozmawiając z nimi, można się przekonać, że żyją całkowicie i wyłącznie dla swego powołania. Ich pójście za wezwaniem aż do granic, a nawet poza granice zwykłej miłości chrześcijańskiej, przyniosło im większe szczęście, niż by sobie mogły wyobrazić.

Zastanówmy się na przykład nad życiem księdza Nicco, którego poznałem w Genui, i jego świeckiego współpracownika.

Siedziałem w gorącym mroku czerwcowej nocy i oglądałem film rysunkowy wyświetlany na wolnym powietrzu. Aparatura była umieszczona na dachu niskiego budynku otoczonego ze wszystkich stron zabudowaniami kliniki dla umysłowo chorych kobiet.

W pobliżu siedziała garbata kobieta, która powtarzała bez przerwy: „Dzień dobry, dzień dobry!”. Zwracając się od czasu do czasu do mnie, ciągle powtarzała te słowa.

Rząd za rzędem siedziały kobiety o dziwnym wyrazie twarzy. Ich głowy były zniekształcone, jedne za duże, inne za małe, wszystkie zwrócone na ekran. W pewnym sensie była to publiczność na swój sposób szczęśliwa. Zarówno komicznym, jak i poważnym scenom filmu towarzyszyły pomruki, jakaś mieszanina

chichotu z wesołym krzykiem czy nawet wybuchy zwierzęcych wrzasków, zależnie od stopnia nasilenia zaburzeń umysłowych.

Na najwyższym piętrze każdego skrzydła zabudowań były pomieszczenia o zakratowanych oknach dla pacjentek o najcięższych powikłaniach dochodzących chwilami do szału. Przygnębiające pierwsze wrażenie potęgował widok twarzy kobiecych przyklejonych do krat. Dzikim wzrokiem próbowały dojrzeć, co działo się na dole.

Zwiedzałem zakład w towarzystwie dyrektora, księdza Nicco, i pewnego siedemdziesięcioletniego profesora. Od przeszło dwudziestu lat bezinteresownie poświęcał ten słynny psychiatra włoski połowę swego dnia pacjentom zakładu.

Opowiadał tak: „Poznałem księdza Orione w grudniu 1933 roku. Prosił mnie o pomoc i to mi wystarczyło. Cieszę się z każdej minuty poświęconej temu zakładowi. Tu spędzam najszczęśliwsze chwile mojego życia”.

Szpital ten, jako instytut doświadczalny uniwersytetu, może poszczycić się wspaniałymi wynikami i nie ustępuje rangą innym zakładom tego typu. Część swego bardzo kosztownego wyposażenia chirurgicznego zakład zawdzięcza burmistrzowi Genui – komuniście. W szpitalu mieszka sto pięćdziesiąt upośledzonych umysłowo, osieroconych dziewcząt, sto epileptyczek, dwieście pięćdziesiąt chorych psy-

chicznie kobiet, sto pięćdziesiąt upośledzonych umysłowo dzieci między drugim a czternastym rokiem życia.

Pożegnaliśmy tę specyficzną publiczność zażywającą w dalszym ciągu niedzielnej rozrywki przed ekranem.

Idąc ciemnym korytarzem bocznego skrzydła, usłyszałem jakiś zagadkowy szmer. Ksiądz Nicco pobiegł w jego kierunku i po kilku minutach wrócił ze zgarbioną małą kobietą, która miała przerzucony przez ramię węzełek szmat. W czasie filmu wykradła się z pokoju na najwyższym piętrze.

„Ten mały węzeł wszędzie wlecze za sobą – wyjaśnił dyrektor – jest zupełnie głucha i krzyczy na całe gardło od rana do wieczora, aż ciarki przechodzą”. Obecnie była zadowolona ze spotkania i spokojna. Szczercząc zęby, ufnie wsunęła rękę w jego dłoń i pozwoliła bez oporu zaprowadzić się z powrotem po schodach na górę.

Ksiądz Nicco był jednym z bardziej zdolnych członków Zgromadzenia i dlatego został wysłany na Uniwersytet Gregoriański w Rzymie. Marzył o dalekich misjach, gdy tymczasem ksiądz Orione prosił go, aby objął stanowisko dyrektora społeczności i personelu obsługującego szpital dla umysłowo chorych kobiet i dziewcząt. Nie mogłem powstrzymać się od pytania, w jaki sposób tę propozycję przyjął.

– Czy ksiądz nie był zaskoczony i przerażony taką prośbą?

– W pierwszej chwili owszem, lecz ksiądz Orione prosił i to mi wystarczało. Obecnie pokochałem tę pracę, jak to zresztą ksiądz Orione przepowiedział – przyznał ksiądz Nicco.

Przykład samego księdza Orione, jego księży i zakonnic pociągnął liczne osoby świeckie, jak na przykład owego profesora z Genui. Ludzie ci swój czas, swoje zdolności i wiedzę poświęcili służbie dla najuboższych i najbardziej potrzebujących.

Jedno popołudnie spędziłem w Pompei, a w drodze powrotnej miałem zwiedzić szpital w Neapolu. Samochód zepsuł się w drodze, więc zatrzymałem przejeżdżającego motocyklistę, który chętnie zawiózł mnie do miasta. Nie przejmowałem się wcale tym opóźnieniem, ponieważ nie byłem zapowiedziany, nikt mnie nie oczekiwał, dlatego też nie było żadnego kłopotu z tego powodu.

A jednak przybywszy do szpitala mieszczącego się w dawnym zamku podarowanym Synom Boskiej Opatrzności przez hrabinę, szwagierkę króla Emanuela III, przekonałem się, że czeka na mnie dwudziestu siedmiu lekarzy. Wszyscy byli z Neapolu i bezinteresownie poświęcili szpitalowi swój prywatny czas. Oprócz tego dostarczali własnym kosztem leki i opatrunki oraz zbierali wśród przyjaciół pieniądze na zakup nowoczesnych urządzeń.

Był to jedyny szpital w mieście, gdzie z wszelkich zabiegów korzystano bezpłatnie. Oprowadzał mnie osiem-

nastoletni młodzieniec, ofiara wojny, podczas której stracił obie nogi. Teraz, gdy szedł po schodach, jego protezy były prawie niezauważalne. Lekarze szli za nami, pełni dumy ze swoich osiągnięć.

– Dlaczego poświęcają panowie temu zakładowi tyle czasu, podczas kiedy swoją prywatną praktyką są aż nazbyt zmęczeni? – zapytałem jednego z nich.

– Jesteśmy wszyscy pod urokiem księdza Orione. My dajemy tylko część naszego czasu, on dał siebie całkowicie.

Podczas podróży przez Włochy odniosłem wrażenie, jakby ksiądz Orione jeszcze żył. Wszyscy, którzy go znali, mówili o nim, jakby wciąż był między nimi.

Przykładem jest arcybiskup Montini⁶, były podsekretarz stanu w Watykanie, odgrywający obecnie wielką rolę w Mediolanie. Kiedy przedstawiłem mu cel mojej podróży, powiedział najzwyczajniej w świecie: „W takim razie jest pan gościem księdza Orione. Jest pan w dobrych rękach. On będzie troszczył się o pana”. Nikt ze słuchających nie domyśliłby się, że ksiądz Orione już od piętnastu lat nie żyje.

Wśród cech księdza Orione zwracała uwagę ta niezwykła właściwość (a raczej łaska dana mu od Boga), że zawsze otrzymywał to, czego koniecznie potrzebował. Była ona tak powszechnie znana, że przezwano go „Rozbójnikiem Bożym”.

6 Późniejszy papież Paweł VI (przyp. red.).

Jako przykład wystarczy przypomnieć zdarzenie, kiedy w nieoczekiwany i niewytłumaczalny sposób zdobył dokładnie taką kwotę, jakiej mu było potrzeba na otwarcie pierwszej szkoły w Tortonie. Był wówczas dwudziestoletnim studentem teologii. A podczas całego jego życia takie wypadki były prawie na porządku dziennym. Większość domów założonych przez niego, a później i przez Zgromadzenie, powstała w podobny sposób.

Genueń otaczają pagórki. Na jednym z nich, noszącym nazwę Camaldoli, miał ksiądz Orione mały dom z niewielkim ogródkiem. Wyżej, aż do szczytu, rozciągało się osiedle willowe z większym gmachem, właściwie zamkiem dawnego arystokraty. Nawet kościół był na tym osiedlu. Zamek był zamieszkały przez aktora Daniela Chiarellę. Skupował on poszczególne wille z gruntami i z czasem cała osada stała się jego własnością. W ten sposób powstała swego rodzaju kolonia artystów, bo wille odstępował zaprzyjaźnionym aktorom. Posesja księdza Orione została z czasem otoczona ze wszystkich stron.

Pewnego dnia zjawił się Chiarella u księdza Orione i przedstawił swoją propozycję wykupienia jego domku wraz z przyległym ogródkiem. Orione wzbraniał się, a artysta wpadł w wielki gniew i zaprzysiągł, że nie spocznie, póki nie dopnie swego.

Orione spokojnie oświadczył, że nie on usunie mu się z drogi, lecz przeciwnie – całe wzgórze będzie własnością Zgromadzenia.

Jeszcze długo panoszył się Chiarella na zamku i okolicznych pagórkach. W 1939 roku koszty utrzymania i eksploatacji posesji przewyższyły jego dochody i wtedy artysta zaczął pośpiesznie wyzbywać się parceli z budynkami. Ale i to już nie mogło uratować sytuacji. Przyszło kompletne bankructwo. W krótkim czasie pagórek z zamkiem, kościołem i willami autor wystawił na sprzedaż za milion lirów. Ksiądz Orione już nie żył. Jego następca, ksiądz Sterpi, nabył posiadłość za pieniądze bogatego arystokraty oddanego Zgromadzeniu.

Dzisiaj zamek, wille i wieś razem ze zrujnowanym i sprofanowanym przez Chiarellę kościołem tworzą osadę dla nieszczęśliwych wszelkiego rodzaju. Osada jest znana jako Villaggio Della Carita Don Luigi Orione – Osada Miłosierdzia Księdza Orione. Jeden dom zamieszkują chłopcy dotknięci zakaźną chorobą oczu, drugi mężczyźni i chłopcy dotknięci ciężkim kalectwem, inny wreszcie służy bezdomnym starcom. Kilka domów zamieniono na szpitale i sanatoria. Zamek przeznaczony jest dla chorych zubożałych starszych kapłanów.

Całkiem w stylu księdza Orione nabyli Synowie Boskiej Opatrzności największą ze swych posiadłości w Rzymie. Krótco przed wybuchem II wojny światowej zaczął Mussolini budować na pagórku okazałą kwaterę główną dla młodzieży faszystowskiej. Na jednym z gmachów umieszczono potężny cokół. Tu miał

stanąć posąg Mussoliniego. Posąg, oświetlony nocą reflektorami, miał być widoczny w całym Rzymie. Taki był plan.

Kompleks zabudowań, w chwili wybuchu wojny jeszcze niewykończony, jest dzisiaj własnością Synów Boskiej Opatrzności. Służy on jako mieszkanie i centrum szkoleniowe dla setek młodzieży, ofiar ostatniej wojny. Inna część gmachu, równie rozległa, mieści szkoły zawodowe dla sierot. Mussolini nie stanął na cokole. Dzisiaj jest tam prześliczny posąg Madonny, jeden z największych w świecie. Maryja wyciąga ramiona, jakby chciała całą ludzkość przyciągnąć do swego macierzyńskiego Serca. W jaki sposób do tego doszło?

Kiedy wycofywała się niemiecka armia, będąc prawie na ukończeniu zabudowania zajęło wojsko nazistowskie w celu zabezpieczenia tyłów pobitej armii. Niemcy opuścili te budynki w chwili, gdy alianci weszli do Rzymu. W walkach zginęło mnóstwo ludności cywilnej, rodziny rozproszyły się. Głodne dzieci snuły się ulicami w poszukiwaniu pożywienia w ciągu dnia, nocowały zaś gdzie się dało. Często łączyły się w bandy, aby łatwiej zdobyć chleb, i dopuszczały się rabunków.

Wśród ogólnego zamieszania jedna z tych band, kierowana przez kryminalistę, okupowała jedno ze skrzydeł rozległego kompleksu gmachów. Aby zapewnić sobie bezkarność, ich przywódca podawał się za

kapłana, a banda nazwała się szumnie „Krzyżowcami Dobra”. Oszukańczy manewr udał się.

Alianci zlustrowali pofaszystowskie gmachy publiczne i zajęli je na swój użytek. Na Monte Mario natknęli się na rzekomego kapłana i Krzyżowców Dobra. Ponieważ cel ich działania zdawał się dobry i pożyteczny, pozostawili ich w tej części.

Tymczasem młodzi bandyci rzucali się tak zuchwale na własność wojskową, że wydano rozkaz strzelania bez ostrzeżenia do rabusiów. Na razie nie pokojarzono ujętych młodych przestępców z Krzyżowcami. Alianci zabierali coraz więcej miejsca na urzędy wojskowe. W końcu Anglicy zajęli skrzydło domu Krzyżowców i urządzili tam stację nadawczą. Francuzi zajęli mniejsze budynki, gdzie obecnie są warsztaty, uczelnie dla sierot i poszkodowanych w wojnie. Amerykanie i walczący przy ich boku Włosi obsadzili resztę. Między tymi różnojęzycznymi formacjami wojskowymi szalała rozzuchwalona banda uliczników.

Gdy spokój i porządek zapanowały w mieście, policja przekonała się, iż rzekomi Krzyżowcy są bezczelną bandą złodziejasków, ale ich przywódcę uważano w dalszym ciągu za autentycznego księdza, który zaopiekował się ulicznikami i na próżno starał się utrzymać ich w ryzach. Na koniec policja zwróciła się do władzy kościelnej, oddając sprawę w jej ręce, i domagała się szybkiego zaopiekowania się nimi oraz uregulowania sytuacji.

Wikariusz generalny Rzymu postanowił to trudne zadanie powierzyć Synom Boskiej Opatrzności. Wezwał księdza Picciniego, członka Rady Generalnej Zgromadzenia, zwierzył się mu ze swoich wątpliwości co do osoby rzekomego księdza i prosił usilnie, by zaopiekował się natychmiast siedemdziesięcioma chłopcami, którym ów zagadkowy osobnik przewodził.

„Nie wolno nam tych chłopców rzucić na pastwę losu czy zostawić na ulicy. To jest zadanie na miarę serca księdza Orione. Trzeba w miarę możliwości zająć się nimi”.

Zdobyć zaufanie zdemoralizowanych chłopców, wyrwać ich z rąk przywódcy, uwolnić od jego zgubnego wpływu to było chyba zadanie, które wymagało nie mniej delikatności i taktu niż te, które spadły na barki księdza Orione po trzęsieniu ziemi w Messynie. Były również trudności z uzyskaniem prawa dalszego pobytu uliczników w miejscu, w którym prawie pół tuzina różnojęzycznych formacji wojskowych miało swoje kwatery.

W końcu wszystko ułożyło się pomyślnie. Zdemaskowano fałszywego księdza i za oszustwo skazano na karę więzienia. Część chłopców ukradła jednej nocy wszystkie prześcieradła, koce, garnki, talerze i ulotniła się. Synowie Boskiej Opatrzności jednak zaczęli solidnie nad nimi pracować i chłopcy z czasem uspokoili się. Zatargi istniały jednak w dalszym ciągu. Wyłaniały się wciąż nowe problemy, rodziły

nowe partie polityczne szukające pomieszczeń dla swoich celów. Rozległe gmachy na Monte Mario nęciły wszystkich.

W tej krytycznej chwili zjawił się tam Winston Churchill. Przyjechał z miasta do stacji nadawczej, skąd miało być transmitowane jego przemówienie. Przy tej sposobności zobaczył chłopców, było ich stu pięćdziesięciu. Zainteresował się nimi, pytając, skąd się tutaj wzięli. Gdy w następnych dniach wezwano jednego z Synów Boskiej Opatrzności do wojskowego urzędu angielskiego, księża byli pewni, że chodzi o eksmisję i że trzeba będzie opuścić Monte Mario. Wydelegowany kapłan odmawiał przez całą drogę niezliczoną ilość błagalnych „zdrowasiek”. Był zaskoczony uprzejmym przyjęciem.

„Nasz premier orientuje się w waszej działalności. W czym możemy wam pomóc?” – oznajmiono mu.

Ksiądz przygotowany na wysiedlenie, myśląc o tym, jak bronić zagrożonej pozycji, był olśniony perspektywą polepszenia bytu chłopców, nie wiedział, od czego zacząć. „Prosilibyśmy o przydział pościeli, o ile to możliwe, nasza została skradziona” – zaczął nieśmiało. Wojskowy zanotował i z wyczekującą miną słuchał listy dalszych potrzeb. Z rosnącą odwagą petent dodał: „Koce też by się nam przydały”. I to zapisano, a generał czekał jeszcze na ciąg dalszy. Wtedy ksiądz w nagłym przypływie odwagi poprosił o urządzenia sanitarne, łóżka, może jeden lub dwa jeepy i co mu tylko

przyszło na myśl. Oficer wyjaśnił, że przybędzie następnego dnia o godzinie jedenastej i da odpowiedź, które z podanych rzeczy mogą być dostarczone.

Następnego dnia punktualnie zjawił się na Monte Mario. Oglądał jeszcze nieotynkowane wnętrza gmachu. „Gdyby dom był doprowadzony do stanu mieszkalnego, moglibyśmy przyjąć dalszą setkę chłopców z ulicy i uchronić ich przed występkiem” – wyjaśniał ksiądz generałowi.

Nazajutrz kapitan angielski przyprowadził czterdziestu robotników. Okna zaopatrzono masą plastyczną i przeprowadzono najkonieczniejszy remont. Nawet zainstalowano piekarnię. Kiedy po miesiącu robotnicy opuszczali zakład, cały gmach był odrestaurowany i oficjalnie oddany do użytku Synom Boskiej Opatrzności. Alianci zagwarantowali Zgromadzeniu prawne posiadanie całego kompleksu gmachów.

Przyjęto jeszcze dwudziestu chłopców. Potem powstał plan opieki nad dziećmi okaleczonymi podczas wojny. Synowie Boskiej Opatrzności rozpoczęli dzieło i wkrótce pierwsza grupa sześćdziesięciu kalek znalazła się na Monte Mario. Dzieło rozrastało się. Jeden gmach napelnił się setkami wojennych kalek. Byli chłopcy bez rąk, bez nóg, bez stóp. Wszyscy otrzymali opiekę i wykształcenie umożliwiające im mimo kalektwa własne utrzymanie.

Dzisiaj są tam warsztaty, w których pracują kaleki – *mutilatini*. Znani w całym Włoszech *mutilatini*

są między innymi technikami, zdunami, stolarzami, uprawiają rzemiosło artystyczne.

A nocą czuwa Madonna z Monte Mario nad Wiecznym Miastem i cały Rzym wie, że pod jej opiekuńczym płaszczem tętni życiem jedno z najświetniejszych dzieł miłosierdzia prowadzone przez następców i spadkobierców księdza Alojzego Orione.



ROZDZIAŁ XI
MIŁOŚĆ
I SPRAWIEDLIWOŚĆ



Dzieło księdza Orione kontynuowane przez jego następców budzi ogólny podziw wszystkich, którzy się z nim stykają. Humanitaryzm i zdecydowana gotowość tych dobrych mężczyzn i kobiet przygarniających odepchniętych lub zapomnianych przez świat pobudza ich do poświęcenia.

To ich na wskroś chrześcijańskie działanie wzrusza i skłania do czynu. Lecz czy w świecie współczesnym jest to w ogóle potrzebne? Czy ten rodzaj miłości bliźniego nie przypomina w swoich formach raczej średniowiecza, kiedy wszystko zależało od prywatnego dobroczyńcy, a nie od państwa? Albo może epokę rewolucji przemysłowej, kiedy zachłanny przedsiębiorca poniewierał i deptał biednych, a dla uspokojenia sumienia, uśmierzenia czy zażegnania buntu popierał organizacje łagodzące najjaskrawsze skutki wyzysku?

Partie lewicowe głoszą zasadę, że przez popieranie instytucji dobroczynnych wyświadcza się biednemu niedźwiedzią przysługę i raczej przynosi szkodę, bo uwalnia się rząd od obowiązku wszechstronnej opieki socjalnej. Działacze ci utrzymują, że sprawiedliwość społeczna domaga się opieki państwa nad upośledzo-

nymi umysłowo czy fizycznie. Innymi słowy, w uporządkowanym, kulturalnym i cywilizowanym społeczeństwie objawy ubóstwa nie powinny wcale istnieć. Sprawiedliwość wymaga, żeby wszyscy mieli minimum egzystencji w normalnych warunkach życiowych i od kołyski aż do grobu byli zabezpieczeni.

Walka o sprawiedliwość społeczną przyczyniła się w wielkiej mierze do usunięcia rażących dysproporcji i krzywd. Obecnie klasa robotnicza żyje dostatniej, bo ludzie dostatecznie uświadomieni i sumienni domagali się poprawy jej bytu, a nawet byli gotowi w razie potrzeby o to walczyć.

Logicznym następstwem dążności do takiej sprawiedliwości społecznej – a walka o nią trwa już pół wieku – jest państwo ze zorganizowaną opieką społeczną. W takim państwie zdaje się nie istnieć ani potrzeba, ani miejsce dla dobroczynności chrześcijańskiej. Państwo zapewnia bowiem wszystkim pewien standard życia, niezależnie od tego, czy ludzie będą zdolni w ogóle wypłacić się społeczeństwu i w jakich granicach to uczynią. Zakłada się odpowiednio zorganizowane szpitale dla chorych, funkcjonujące prawidłowo i zabezpieczone finansowo. Państwo zajmuje się kalekami, niedorozwiniętymi, chorymi umysłowo, utrzymuje ich i zapewnia im fachową opiekę.

W rzeczywistości sprawa jest jednak bardziej skomplikowana. Wymiana miłości bliźniego na państwową sprawiedliwość często zawodzi. Zabija w ludziach

poczucie powołania. Zdarza się, że nowocześnie urządzone szpital cierpi na brak pielęgniarzy i musi ograniczać liczbę przyjmowanych chorych.

Któż z nas zgodzi się pielęgnować nieuleczalnych, niebezpiecznych obłąkanych lub zdzieciniałych odpychających starców, gdy nie czuje w sobie wyraźnego powołania do tego rodzaju pracy – jeżeli za to samo wynagrodzenie uzyska pracę bardziej mu odpowiadającą i pociągającą? Gdy braknie umiłowania takiej pracy, może się zdarzyć, że podejmą się jej jedynie tego typu ludzie, dla których inne dziedziny zarobkowania są niedostępne. Będą to jednostki pełniące swoje obowiązki zupełnie mechanicznie, bez wewnętrznego przejęcia.

Nadto doświadczenie uczy, że tym wielkim, według urzędowych wymogów prowadzonym szpitalem, o ogromnej przepustowości, nieraz czegoś jednak brakuje. W szpitalach prowadzonych przez osoby z powołania, materialnie mniej pomyślnie sytuowanych, wyczuwa się coś nieuchwytnego, czego w tamtych po prostu nie ma. Jest to dziwnie nieokreślona atmosfera, lecz niezmiernie dla chorego ważna, wpływająca z szacunku dla jego osoby. O tym wiedzą wszyscy, którzy poznali oba rodzaje szpitali. To tajemnicze nieuchwytnie „coś” – to właśnie chrześcijańska miłość bliźniego.

Doświadczenia wykazują też i inne braki istniejące w państwie o zorganizowanej opiece społecznej.

Dla państwa dzisiejsi i jutrzejsi obywatele są ważniejsi od wczorajszych. To tłumaczy, dlaczego właśnie dziś starsi tworzą warstwę opuszczoną. Duch czasu stępie poczucie odpowiedzialności za ludzi starszych. Można ich spotkać w zimie przez cały dzień w bibliotekach publicznych, gdzie zażywają bezpłatnie ciepła i względnego komfortu. Potem wracają „do siebie”, do wystygłych pieców i próżnych spizarni.

Nie wystarczy tym ludziom podnieść wysokość renty, dostarczyć mieszkania, chociaż i to jest bardzo ważne. Oni potrzebują przywiązania, poczucia przynależności i przekonania, że komuś się jeszcze przydadzą. Gdy ksiądz Paweł Bielone ze Zgromadzenia Synów Boskiej Opatrzności zawitał do Anglii w 1949 roku, mając zaledwie dziesięć szylingów, z zamiarem krzewienia Dzieła księdza Orione, zastał tam zorganizowaną opiekę społeczną w pełnym rozkwicie, dumną ze swoich osiągnięć i pewną siebie. Mogło się wydawać, że chwila ta była zupełnie nieodpowiednia dla działalności „przeżytków” miłosierdzia i miłości chrześcijańskiej. Ale ksiądz Bielone obrał instynktownie właściwą drogę, tak samo jak przed nim ksiądz Orione. Otworzył dom dla starców i w ten sposób zaspokoił rzeczywistą potrzebę chwili. Dzisiaj cieszy się poparciem sfer rządowych, które zachęcają go do rozszerzania akcji. Bowiem starzy ludzie błagają o domy opieki, gdzie mogliby czuć się jednostkami pełnowartościowymi. Powtarza się wciąż ta sama skarża: „Dzisiaj o nas starych nikt nawet słyszeć nie chce”.

Tak samo rzecz się ma w dwóch dalszych domach – St. Mary’s i Colombo House w Teddington – w granicach szerokiego Londynu. I one okazały się konieczne ze względu na palące ludzkie potrzeby niezaspokojone w pełni przez oficjalne instytucje. Dom St. Mary’s jest przeznaczony dla starszych inwalidów, Colombo House zaś jest domem dla bardziej upośledzonych dzieci, które ksiądz Orione obdarzał specjalną miłością.

Podobnie ma się sprawa w Stanach Zjednoczonych, gdzie nie ma w ścisłym tego słowa znaczeniu państwowej opieki społecznej. W kraju, gdzie społeczeństwo ożywia szybki postęp techniczny, biedni i opuszczeni nikogo nie obchodzą. Dlatego i tam – w Bostonie – Zgromadzenie księdza Orione zaopiekowało się w pierwszej kolejności starcami z włoskiej emigracji.

Nie tylko starzy potrzebują pomocy. Nawet przy najlepiej zorganizowanej opiece społecznej i najdostatniej sytuowanym społeczeństwie istnieją liczne grupy niepożądanych, odrzuconych ludzi jak chrońcy, dzieci niedorozwinięte, epileptycy i inni budzący niechęć, a nawet odrazę. Takimi to wyrzutkami społeczeństwa opiekują się Synowie Boskiej Opatrzności w swoich Małych Cottolengach.

Kto twierdzi, że powszechna sprawiedliwość społeczna obejdzie się bez chrześcijańskiej miłości bliźniego, ten nie bierze pod uwagę natury ludzkiej. Można by tę tezę odwrócić i powiedzieć, że gdyby

chrześcijańska miłość bliźniego zapanowała powszechnie, sprawiedliwość społeczna nie byłaby potrzebna. Tymczasem obie są konieczne. Dzieło i przykład uczniów księdza Orione są może dzisiaj bardziej potrzebne niż kiedykolwiek. Oni bowiem przestrzegają tej zasady i spełniają ludzkie potrzeby.

W świecie zachodnim, gdzie panuje wszechwładnie materializm i egoizm tak wśród bogatych, jak i ubogich, nie wystarczy istnienie małych wysepki chrześcijańskiej miłości i nadzieja, że one doprowadzą swoim przykładem do zmiany stosunków społecznych.

Wielkie Cottolengo – miasto wewnątrz miasta Turynu – jest na to żywym dowodem. Nigdzie na ziemi nie znajdzie się więcej bezinteresownych mężczyzn i kobiet oddanych dziełom miłosierdzia pomiędzy wzgardzonymi i odepchniętymi. Stoi ono w samym sercu przemysłowego Turynu i stoi tam już od półtora wieku jako wspaniały przykład chrześcijańskiej miłości bliźniego. Gdyby sama miłość bliźniego wystarczała, to Turyn powinien być najbardziej chrześcijańskim miastem na ziemi; społeczna sprawiedliwość powinna rządzić wszechwładnie, a niezadowolenie powinno być nieznanne. Tymczasem dziś Turyn jest bardziej znany ze swej wielkiej Partii Komunistycznej niż z Cottolengo. Prawie każdy wykształcony Europejczyk wie, że w latach po II wojnie światowej sławne w tym mieście zakłady Fiata wraz z dziesiątkami tysięcy pracowników zostały zdominowane

przez działaczy komunistycznych związków zawodowych. Lecz ilu ludzi słyszało o Cottolengo?

Nie chcę przez to powiedzieć, że Cottolengo jest dziełem nieudanym. Dziesiątki tysięcy ludzi czuje wdzięczność dla niego. Bez niego Turyn, a nawet cały świat, byłby znacznie uboższy.

Zarówno personel Małego Cottolengo, jak i wszyscy inni poświęcający swoje siły służbie najbiedniejszym podtrzymują światło tego płomienia, któremu dzisiaj grozi wygaśnięcie.

Lecz opodal Cottolengo, już w początkach jego istnienia, wyrosło społeczeństwo przemysłowe, które było obrzydliwe i pełne niesprawiedliwości. Kierowało się odwróconą hierarchią wartości. Zysk liczył się bardziej niż człowiek. Masy ludzi były upodlane i uciskane. Społeczeństwo odwróciło się od miłości bliźniego, a pod wpływem przywódców, którzy odrzucili wiarę swych ojców, oddaliło się od Kościoła, z którego chrześcijańska miłość bliźniego bierze swe źródło i który był naturalnym strażnikiem miłości bliźniego i sprawiedliwości. Ludzie ci przyłączyli się natomiast do walki o sprawiedliwość pod sztandarem Karola Marksa.

Wielkie Cottolengo wznosi się jako pomnik chrześcijańskiej miłości bliźniego, a równocześnie dowodzi, że sama miłość bliźniego w świecie współczesnym niestety nie wystarcza. Musi towarzyszyć jej troska o sprawiedliwość wśród wszystkich warstw

społecznych. W epoce neopogaństwa istnieje między nimi głęboki konflikt. Często gdzie jedna kwitnie, druga zanika – tak jednak być nie musi. Według nauki Kościoła uzupełniają się one wzajemnie i przenikają.

W społeczeństwie XX wieku konieczna jest praktyczna synteza miłości bliźniego i sprawiedliwości. Niespodziewanie tę syntezę odkryłem w życiu księdza Orione i w założonych przez niego zgromadzeniach. Spodziewałem się nadmiaru miłości, jednocześnie w głębi mojej duszy czaiła się obawa, że u jego następców odkryję lekceważenie, może nawet niechęć, do współczesnej walki o sprawiedliwość.

Poznawszy głębiej księdza Orione jako człowieka, zrozumiałem, że w pełni uznawał on konieczność oparcia miłości bliźniego na sprawiedliwości. Był urodzonym buntownikiem. W gruncie rzeczy był nawet dumny z tego, że miał coś wspólnego z garybaldczykami. Dlatego też Ignacy Silone, szukając podobnej postaci, wymienił nie kogo innego, tylko Lenina. Ksiądz Orione był jednostką wszechstronną. Był uosobieniem miłości, ale równocześnie walki. Nie tylko płakał z ubogimi, lecz razem z nimi cierpiał pod brzemieniem niesprawiedliwości i płonął zapalem jej zwalczania.

Nie miał złudzeń co do natury ludzkiej. Jego zdolność odkrywania dobroci tkwiącej w każdej jednostce ludzkiej i umiejętność rozwijania jej jest wprost zdumiewająca, prawie niewiarygodna. Niemniej wyczu-

wał zło tkwiące w człowieku. Bogaci przemysłowcy i arystokraci popierali wprawdzie jego działalność, jednak ksiądz Orione nie miał złudzeń co do tego, że nieprzynaglani, a nawet nieprzymuszani, nie zatroszczyliby się sami o polepszenie bytu mas pracujących. Podobnie ani przez chwilę nie sądził, że biedni – jako pracująca klasa społeczna – widząc dzieła miłosierdzia i korzystając z nich, tym się zadowolą, że będą cierpliwie czekać nadejścia epoki powszechnej miłości, która zapewni im lepszy los.

Znany jest nam typ chrześcijanina czynu, żyjącego wyłącznie dla miłości bliźniego oraz poświęcającego każdą wolną chwilę praktycznej służbie chorym i biednym. Znamy też typ do niego przeciwny, który również stara się urzeczywistnić sprawiedliwość chrześcijańską, pracując zespołowo, obejmując odpowiedzialne stanowiska w radzie załogi fabrycznej. Taki człowiek bierze udział w kursach, poświęcając chwile wolnego czasu na gruntowne teoretyczne dyskusje o niezaprzeczalnych prawach człowieka. Obie te postawy są potrzebne. Zdają się opozycyjne, w rzeczywistości wzajemnie się uzupełniają. Każda z nich na swój sposób przyczynia się do chrystianizacji świata. Wielkość księdza Orione polegała między innymi na tym, że łączył w sobie te dwa typy. A członkowie jego Zgromadzenia postępują tak samo.

Jeden z kapłanów księdza Orione, rektor dużej uczelni technicznej liczącej około siedmiuset stu-

dentów, znajdującej się w Berna-Mestre, fabrycznej dzielnicy Wenecji, opowiadał mi, że celowo kształcał chłopców tak, by po ukończeniu szkoły umieli oni aktywnie uczestniczyć w życiu przemysłowym i politycznym. Wielu z nich zostało działaczami czy przywódcami związków zawodowych. Inni robili karierę w lokalnym świątku politycznym. Było to na początku mojego odkrywania życia księdza Orione i ten aspekt ich pracy był mi nieznany.

„Jak to, czy zgadza się to z pojęciem miłości bliźniego waszego Założyciela?” – zapytałem.

Z kolei rektor był moim pytaniem zaskoczony.

„Ależ pomysł takiej szkoły w Wenecji wyszedł od samego księdza Orione, on stale podkreślał, że robotnikowi należy się słuszna zapłata, że ma on prawo domagać się dobrych warunków pracy. Gdyby ksiądz Orione jeszcze żył, z pewnością aprobowałby to, co robimy. On nie znosił przygarbionych pleców i opuszczonych głów. Mamy przekonanie, że wychowujemy uczniów na godnych synów księdza Orione, gdy wpajamy im świadomość obowiązku walki o sprawiedliwe prawa” – mówił.

Prawdą jest, że studentów uświadamia się o słusznych prawach, lecz czyni się to w sposób wykluczający nienawiść. Tutaj dochodzi do głosu pojęcie miłości księdza Orione. Walka o sprawiedliwość jest konieczna i wskazana, lecz walki tej nie wolno prowadzić z nienawiścią. To sprzeciwiałoby się zupełnie

duchowi nieograniczonej miłości bliźniego będącej najbardziej charakterystyczną cechą księdza Orione, a także podstawą społecznej nauki Kościoła.

W rzeczywistości to brak chrześcijańskiej miłości, w najpełniejszym tego słowa znaczeniu, jest tym, co zamienia zdrowe, dynamiczne dążenie do dobrego społeczeństwa w plugawą walkę klasową. Gdyby sama istota miłości bliźniego nie została zatracona jeszcze przed rewolucją przemysłową, cała gorzka historia ubiegłego wieku mogłaby być inna. Przesłanie zawiści Marksa trafiłoby wtedy w próżnię. Znajac naturę ludzką, wiemy, że ludzie tak czy inaczej musieliby walczyć o swoje prawa, lecz cały duch tej walki byłby inny.

To właśnie porzucenie kościelnej koncepcji miłości bliźniego, przyjmowanej przez wieki przez całe chrześcijaństwo, było tym, co spowodowało, że rewolucja przemysłowa i nowe społeczeństwo, które wraz z nią przyszło, były tak niechrześcijańskie i plugawe od samego początku. Skutki tego trwają po dziś.

W równej mierze w mniej bezlitosnych, dalece bardziej cywilizowanych państwach ze zorganizowaną opieką społeczną brak takiej koncepcji chrześcijańskiej miłości bliźniego wyjaśnia, dlaczego wszelkie starania dokładane przez naszych świeckich humanistów rozczarowują tych, którym mają przychodzić z pomocą. Nowoczesne państwo potrzebuje duszy, którą tchnąć w nie mogą nie kto inny jak chrześcijanie.

Jestem zdania, że w tym tkwi znaczenie takich ludzi jak Synowie Boskiej Opatrzności – oni mogą wpływać na myślenie społeczne. Oni świecą przykładem, który pociąga, wskazują drogę do realizacji prawdziwie chrześcijańskiego stylu życia. I to jest wyjątkowa w swoim rodzaju wartość, jaką ksiądz Orione wniósł w życie społeczne XX wieku. Był człowiekiem, który przekroczył wszystkie przyjęte granice i obowiązki chrześcijańskiej miłości bliźniego. Jego życie uformowała potęża silnej, męskiej, wszystko ogarniającej miłości w epoce, w której słowo *caritas* – miłość było albo pustym dźwiękiem, albo oznaczało zniewieściałość.

Uważam, że nikt inny jaśniej nie wskazał drogi rzetelnego postępu, niż to uczynił Alojzy Orione, syn brukarza z Pontecurone, którego proces beatyfikacyjny zaczął się w kilka lat po śmierci. Imię jego jest czczone i kochane przez wszystkich, którzy słyszą o jego życiu lub oglądają jego dzieła.

Z homilii św. Jana Pawła II
wygłoszonej podczas beatyfikacji
ks. Alojzego Orione⁷

Najdrożsi Bracia i Synowie!

Ksiądz Orione objawia się nam jako wspaniałe i genialne wyrażenie chrześcijańskiej miłości.

Jest rzeczą niemożliwą podać w kilku zdaniach syntezę życia bujnego, a niekiedy wręcz dramatycznego człowieka, który z pokorą, ale mądrze nazwał się „harownikiem Bożym”. Możemy jednak powiedzieć, że był on na pewno jedną z najznakomitszych osobowości naszego wieku – ze względu na swoją wiarę chrześcijańską, otwarcie wyznawaną, i swoją miłość heroicznie praktykowaną. Jako kapłan należał do Chrystusa całkowicie i w sposób radosny. Wędrował po Włoszech i Ameryce Południowej, poświęcał swoje życie tym, którzy cierpią bardzo z powodu nieszczęść, nędzy, ludzkiej złości. Wystarczy wspomnieć jego czynną obecność wśród ofiar trzęsienia ziemi w Messynie i Marsyce. Biedny wśród biednych, powodowany miłością do Chrystusa i do braci najbardziej potrzebujących założył Małe Dzieło Boskiej

⁷ Plac św. Piotra na Watykanie, 26 października 1980 roku.

Opatrzności, Zgromadzenie Sióstr Małych Misjonek Miłosierdzia, a następnie Sakramentki Niewidome i Pustelników w Sant'Alberto. Otworzył domy w Polsce (1923), w Stanach Zjednoczonych (1934) i w Anglii (1936) – powodowany prawdziwym duchem ekumenicznym. Następnie w sposób widzialny skonkretyzował swoją miłość do Maryi, wznosząc w Tortonie wielkie sanktuarium ku czci Matki Bożej Strażniczki.

Jest rzeczą dla mnie wzruszającą, gdy pomyślę, że ksiądz Orione miał szczególną miłość do Polski i cierpiał ogromnie, kiedy moja droga ojczyzna została napadnięta i rozdarta we wrześniu 1939 roku. Wiem, że polska flaga biało-czerwona, którą podczas tych tragicznych dni triumfalnie zaniósł w orszaku do sanktuarium Matki Bożej, dotychczas wisi na ścianie jego bardzo ubogiego pokoiku w Tortonie – sam chciał ją tam mieć. W ostatnim pożegnaniu, które wygłosił wieczorem 8 marca przed udaniem się do San Remo, gdzie zmarł, powiedział jeszcze: „Ja tak bardzo kocham Polaków. Kochałem ich już jako chłopiec, kochałem ich zawsze. (...) Kochajcie zawsze tych naszych braci”.

Z życia tak intensywnego i dynamicznego wydobywa się sekret wielkości i geniuszu księdza Orione – dał się prowadzić tylko i zawsze ścisłej logice miłości: miłości bezmiernej i całkowitej do Boga, do Chrystusa, do Maryi, do Kościoła, do Papieża; miłości całkowitej do człowieka, do całego człowieka,

z duszą i ciałem, do małych i wielkich, biednych i bogatych, prostych i uczonych, świętych i grzeszników; ze szczególną dobrocią i uczuciem do cierpiących, ludzi z marginesu społecznego i desperatów. Oto, w jaki sposób wyraża swój program działania: „Naszą polityką jest miłość wielka i boża, która świadczy dobro wszystkim. Naszą polityką niech będzie «Ojczyzna»». Nie pragniemy niczego innego, jak tylko tego, by zbawić dusze. Dusz! Dusz! – oto całe nasze życie. Oto nasze hasła i nasz program; cała nasza dusza, całe nasze serce”. Z akcentem iście lirycznym zawoła: „Widzę nadchodzącego Chrystusa, który w swoim sercu niesie Kościół, a swym ręką łączy i krew ubogich; sprawę prześladowanych, uciśnionych, wdów, sierot, poniżonych i odrzuconych. Za Chrystusem widzę otwarte nowe niebo, które jest jak gdyby jutrzeńką zwycięstwa Boga”.

Ksiądz Orione miał hart i serce apostoła Pawła. Był wrażliwy do łez, niezmordowany i odważny aż do ryzyka, wytrwały i dynamiczny aż do heroizmu, stawiający czoło każdemu niebezpieczeństwu. Żył w przyjaźni z wielkimi osobistościami ze świata polityki i kultury. Niósł światło wiary ludziom, którzy byli z dala od Boga, nawracał grzeszników. Był zawsze zagrożony w ciągłej i ufnej modlitwie, połączonej niejednokrotnie z dużą pokutą.

Rok przed śmiercią ujął w sposób syntetyczny istotę programu swojego życia: „Cierpieć, milczeć,

modlić się, kochać, być ukrzyżowanym i adorować”.
Przedziwny jest Bóg w swoich Świętych. Ksiądz
Orione pozostanie dla wszystkich światłanym przy-
kładem i umocnieniem w wierze...

Przemówienie
ks. Stefana kard. Wyszyńskiego
Prymasa Polski z racji beatyfikacji
ks. Alojzego Orione⁸

TEKST AUTORYZOWANY

Umiłowany Ojciec Święty, nasz Najwyższy Pasterzu, Na-
uczycielu i Bracie!

Pragniemy dziś dziękować Ci w szczególny spo-
sób za niezwykłą dobroć i serce, które okazałeś wiel-
kiemu Przyjacielowi Polski, błogosławionemu Aloj-
zemu Orione. Tak szczęśliwie Dobry Bóg złożył, że
ten wielki Przyjaciel Polski był beatyfikowany przez
Waszą Świętobliwość, papieża Polaka.

Pragniemy przypomnieć bardziej charakterystycz-
ne zdarzenia z życia człowieka, którego Bóg przepro-
wadził przez trudne sytuacje. Prowadził go do stwo-
rzenia własnego Zgromadzenia Orionistów poprzez
życie alumna w seminarium, kontakt z księdzem Bo-
sko – dziś świętym Janem Bosko – i przez spotkanie

8 Przemówienie ogłoszone na Watykanie 28 października
1980 roku podczas prywatnej audiencji polskiej pielgrzym-
ki u Ojca Świętego Jana Pawła II.

z Józefem Cottolengo – dziś także świętym. W ten sposób Don Orione zebrał doświadczenia, spostrzeżenia i moce życia religijnego autentycznej Italii i niezwykłego ducha narodu włoskiego, który przejawiał się w tak charakterystycznych postaciach jak święty Jan Bosko i święty Józef Cottolengo. Bodajże to od nich czerpał wzór dla swego odważnego programu szczególnego umiłowania biednych, chorych i opuszczonych.

Italia jest krajem bogatym w wielkich świętych, miłośników ubogich, przedziwnych organizatorów opieki nad opuszczoną dziatwą i młodzieżą. Przykładem niemal niepowtarzalnym są wymienieni święci, miłośnicy Boga i ludzi po Bożemu, prawdziwi naśladowcy Chrystusa – Odkupiciela człowieka z jego największej nędzy i niedoli moralnej, religijnej i materialnej. Dlatego Don Orione – zanim go Pan Bóg poprowadził dalej – musiał się zetknąć z tak wspaniałymi ludźmi, jak święty Jan Bosko, od którego wziął niezwykle umiłowanie młodzieży, i święty Józef Cottolengo, od którego nauczył się przedziwnej troski o każdego człowieka, w którym trzeba dostrzec Chrystusa Cierpiącego. To jest szczególna właściwość, potrzebna na czasy dzisiejsze. Rzecz znamienna, że właśnie na te czasy dumne, zarozumiałe i bogate, Opatrzność Boża w Kościele Chrystusowym wysuwa ludzi, którzy ukazują, jak ten bogaty świat jest zarazem światem nędzarzy i biedaków.

Don Orione postawił sobie krótki i zwięzły, iście katechizmowy program: Jezus, Papież, Dusze, Maryja. Dodałbym – Polska! Jezus! Przecież ten człowiek był niejako chodzącym duchem Ewangelii, która każe ubogich nawiedzać i przepowiadać Dobrą Nowinę tym najbardziej zniszczonym i zmęczonym ludziom. To było szczególne zadanie Don Orione, który widział wokół siebie straszliwą nędzę.

Zarówno święty Jan Bosko, jak i jego niemalże duchowy uczeń, Don Orione, spotkali się wówczas z wielką nienawiścią do Głowy Kościoła, Ojca Świętego. Postanowili sobie za wszelką cenę powiedzieć światu, kim jest Ojciec Święty dla Rodziny ludzkiej – nie tylko dla Italii, ale dla całego świata. Wasza Świątobliwość! Człowiek przez Ciebie beatyfikowany mówił Italii i światu – kim jest Ojciec Święty. Budził umiłowanie do papieża w rzeszach ludzi, ożywiało zainteresowanie jego posłannictwem i zadaniem. Taki właśnie człowiek był potrzebny na czasy, w których trzeba było obudzić wrażliwość na posłannictwo Głowy Kościoła i mówić o tym całemu światu.

Następny punkt programu Don Orione, organicznie związany z poprzednim – to dusze ludzkie. Boć przecież Jezus Chrystus, który oddaje swoje życie za nas, Jezus Chrystus, który nie zostawia nas sierotami, ale żyje w Głowie Kościoła do dziś dnia, ma przed oczyma dusze. Podziwiamy, Wasza Świątobliwość, przedziwną wrażliwość tych trzech wielkich

ludzi: świętego Jana Bosko, świętego Józefa Cottolengo i Don Orione, na dusze ludzkie, na ich serca i potrzeby. Są to czasy, w których trzeba na nowo odkryć człowieka. Czynili to zarówno Jan Bosko i Józef Cottolengo, jak i Don Orione. Ustawiam ich niemal na równi wobec wielkiego zadania, którego wypełnienie było konieczne dla Kościoła Chrystusowego.

A teraz dodam – Maryja! Przecież całe życie tego człowieka było związane ze szczególnym synostwem i postawą służebną wobec Maryi. Gdy się wczytujemy w jego notatki i wypowiedzi, zdumiewa nas wrażliwość na Maryję, jakaś szczególna potrzeba rehabilitacji Matki Najświętszej w życiu i pracy Kościoła. Ujawniło się to w życiu Don Orione i wtedy, gdy był małym chłopcem, i wtedy, gdy był alumnem i gdy był związany z salezjanami, i później, gdy żywo kontaktował z dziełami don Cottolengo i przez całe jego dalsze lata. Działal on w przedziwnej wrażliwości na cześć Służebnicy Pańskiej – Maryi. I dlatego tak wysoko, wysoko wyniósł Ją na wieżycy w Tortonie, gdzie króluje Ona i władza nie tylko nad miastem, ale i nad światem. Jesteśmy mu za to bardzo wdzięczni.

Pozwoli Wasza Świątobliwość, że powiem, iż widzę szczególne właściwości i cechy, które Ojca Świętego dzisiaj zbliżają do tej postaci człowieka – który żyje Chrystusem, staje się pasterzem biednych i ma tak żywy i bezpośredni z nimi kontakt, jak to umie czynić Wasza Świątobliwość. Wszystko to dzieje się,

by ratować dusze ludzkie, w znaku Wspomożycielki i Służebnicy Pańskiej – Maryi.

Do programu Don Orione dodam jeszcze – Polska. Dlaczego? Dlatego że był on przedziwnie uwrażliwiony na naszą Ojczyznę. Czym się to da wytłumaczyć? Myślę, że ludzką szlachetnością, jaką w sobie uosabiał. A nadto – odczytaniem się o sprawach polskich. Polskę kochał do tego stopnia, że przechowywał w swoim mieszkaniu sztandar polski, który całował ze czcią. Lękał się wybuchu wojny i tego, aby Italia nie była w tę wojnę wciągnięta, a gdy się to już stało – nie przestał się modlić za Polskę, tak ciężko nawiedzoną. Sądzę, że i teraz jest on szczególnym – naszym Patronem, modlącym się w niebie i za Polskę. Musimy obecne trudne chwile – a Polska nigdy nie jest od nich wolna – przeżyć pod szczególną opieką tego człowieka, którego beatyfikował papież Polak, Ojciec Święty Jan Paweł II.

Miałem tę radość, że zetknąłem się bardzo wcześnie z dziełem orionistów na terenie Polski. Już biskup Stanisław Zdzitowiecki przyjął orionistów do Zduńskiej Woli, a później do Włocławka. Zamieszkali oni naprzód w mieście robotniczym, a potem w prawdziwym osiedlu biedaków i żebraków – na Grzybowie, zwanym za moich czasów „Grzywnem”. Tam wspólnie z jednym orionistą montowaliśmy ośrodek duszpasterski i tam później poświęciłem pierwszy dom orionistów we Włocławku. Dawne to dzieje, Ojciec

Święty, ale zapadły mi głęboko w serce. Zapamiętałem też takie postaci jak księdza Chwiłowicza, fundatora domu w Zduńskiej Woli. Było to osiedle i gniazdo świętych – jakim był Ojciec Maksymilian Maria Kolbe, ksiądz Marabotto i ksiądz Zanatta. Ten ostatni, Włoch, orionista, zorganizował ośrodek opieki nad nieuleczalnie chorymi. Tak rozmiłował się w Polsce, że gdy mu wszyscy mówili, aby dla ratowania zdrowia wrócił do Italii, odmówił. Wolał umrzeć tutaj, w ziemi polskiej, którą tak umiłował. Był promieniem słońca z serca Don Orione – dla Polski. Nie mógł Don Orione przyjechać do Polski, ale wysłał jakby swojego zastępcę, który rozmiłował się w naszej Ojczyźnie.

Takiego człowieka, jak Don Orione, raczyłeś, Ojczyści Święty, zaliczyć w poczet błogosławionych. Sądzę, że będę wyrazicielem wszystkich tu obecnych, a zwłaszcza naszej dzielnej Polonii, która tu przybyła, aby podziękować Ci za tak wielką dobroć, okazaną patronowi ubogich, który gorąco ukochał Polskę. Bóg Ci zapłać, Ojczyści Święty, a Maryja niech będzie Twoją szczególną Pomocnicą.

Przemówienie św. Jana Pawła II
wygłoszone do pielgrzymki polskiej
uczestniczącej w beatyfikacji
ks. Alojzego Orione⁹

Pragnę przede wszystkim z całego serca podziękować ks. Prymasowi za jego wspaniałe słowa – słowa prymasowskie, słowa Prymasa Polski na temat wielkiego przyjaciela Polski, którego mamy szczęście oglądać od ubiegłej niedzieli, od przedwczoraj, jako Błogosławionego w chwale ołtarzy.

Zgromadzenie, które bł. don Orione powołał do istnienia, nosi nazwę Małego Dzieła Boskiej Opatrzności. Trudno nie widzieć w tym fakcie, że tego wielkiego przyjaciela Polski dane było wynieść na ołtarze Papieżowi z Polski – szczególnego dzieła Bożej Opatrzności. I tej właśnie Bożej Opatrzności, która tak głęboko przewodniczyła w sercu i działaniu don Orione – Sługi Bożego, błogosławionego, tej Bożej Opatrzności należy złożyć hołd za to, co się stało, i za to, jak się dokonało. Za to, że ten wielki miłośnik Chrystusa i człowieka, zwłaszcza człowieka cierpią-

⁹ Przemówienie wygłoszone w Kaplicy Klementyńskiej 28 października 1980 roku.

cego, mógł zostać zaliczony w poczet błogosławionych, i za to, że mógł tego dokonać Papież, który ma w stosunku do jego osoby oraz do jego Zgromadzenia szczególne długie wdzięczności z racji swojego własnego pochodzenia – właśnie jako Polak.

To tak chciałem przede wszystkim odpowiedzieć na te wspaniałe słowa ks. Prymasa o naszym nowym Błogosławionym.

Raduję się z tego, że w jego osobie, w jego postaci wyniesionej na ołtarze Kościół ma nowy wzór świętości, i to świętości współczesnej, zrodzonej w naszych czasach, w naszym stuleciu i przeznaczonej dla naszych czasów, dla naszego stulecia. Radujemy się wszyscy z tego, że w jego postaci, w postaci don Orione, wyniesionej na ołtarze jako błogosławionego, jego własna rodzina duchowa – Zgromadzenie Księży i Braci Orionistów, Zgromadzenie Sióstr Orionistek i inne zgromadzenia oparte na tej samej duchowości znajdują jak gdyby nowe natchnienie dla swojego posłannictwa. Dla tego posłannictwa tak bardzo ewangelicznego, które nigdy się nie przedawnia, które w każdym miejscu świata i w każdej epoce dziejów jednakowo jest potrzebne, ażeby człowiek żył, bo bez miłości człowiek umiera. Potrzebni są ci wielcy mężowie miłości, ażeby człowiek nie umierał nawet wówczas, kiedy ludzkość i społeczeństwa zdają się żyć w agonii.

Tak więc dziękuję wspólnie z wami Opatrzności Bożej za tego nowego Błogosławionego Kościoła.

I cieszę się, że mogę to uczynić wspólnie z wami, moimi Rodakami. Cieszę się, że przybyliście tutaj na tę beatyfikację tak licznie, zarówno z Ojczyzny, z Polski, jak też i spoza Polski, z emigracji. I że stanowicie w tej pielgrzymiej grupie jedną wspólnotę jednakowo śpiewającą, jednakowo mówiącą, jednakowo czującą. To jest dla mnie wielka pociecha. Można powiedzieć: dodatkowa radość tej beatyfikacji, że dała sposobność, a zwłaszcza daje sposobność dziś spotkania z moimi Rodakami. Spotkania z księdzem Prymasem, do którego zwracają się zawsze uczucia mojej i naszej wspólnej czci i zaufania. Spotkania z Księżmi Biskupami przedstawicielami Episkopatu Polski, spotkania z tyłu kapłanami dostojnymi, zasłużonymi, pracowitymi. Spotkania z siostrami zakonnymi zarówno z Polski, jak też i spoza Polski, z emigracji. I wreszcie spotkania z wami wszystkimi, którzy tutaj dziś wypełniacie tę salę, tak jak przedwczoraj zajmowaliście wcale pokaźne miejsca na placu św. Piotra.

I trzeba przyznać, że dawaliście skutecznie znak o sobie. A to jest bardzo potrzebne, to jest „słuszne i sprawiedliwe” – mówiąc językiem prefacji – ażeby Polacy, Polska dawała znać o sobie na placu św. Piotra w wielkiej wspólnocie ludów i narodów, które przynależą do Kościoła Chrystusowego. Ażeby dawała znać o sobie w świecie współczesnym, żeby mówiła o sobie całą prawdę.

Jest to prawda niełatwa. Powiedziałbym – bardzo trudna. Lekcja historii, od której czasem odwracają się wygodni ludzie i wygodne społeczeństwa. Niemniej jednak ta lekcja należy do ludzkiej, społecznej, narodowej i międzynarodowej rzeczywistości. Więc dobrze, że także na placu św. Piotra Polacy dają znać o sobie swoją obecnością. Że ta obecność od roku, od dwóch lat bardzo się nasiliła, że i Papież może słyszeć i rozumieć ich mówiących własną mową i oni mogą słyszeć i rozumieć papieża mówiącego ich mową wówczas, gdy wszyscy inni obecni na tym placu tej mowy nie rozumieją. Wszyscy inni – nie chciałbym być niesprawiedliwy na tym urzędzie, powiem – prawie wszyscy inni, żeby uczynić zadość sprawiedliwości.

Moi drodzy! Błogosławiony Luigi Orione prawdopodobnie także nie rozumiał polskiej mowy. Ale oprócz języka, który jest wielką rzeczywistością kultury i dziejów oraz podstawowym środkiem komunikacji między ludźmi (jak wiadomo, czasem ten środek zawodzi) – jest jeszcze ludzkie serce, które jest środkiem bardziej uniwersalnym, głębszym i skuteczniejszym nawet od ludzkiej mowy. I tak właśnie Don Orione, który najprawdopodobniej nie znał polskiej mowy, przypuszczam, że na pewno jej nie znał i nie było mu się jej łatwo nauczyć, tak jak widzę, że nie jest się jej łatwo nauczyć i jego rodakom... My jesteśmy w o wiele lepszej sytuacji – nam to o wiele łatwiej przychodzi nauczyć się ich mowy.

Otóż właśnie ten błogosławiony Don Orione, który nie znał polskiej mowy, równocześnie miał ten olbrzymi, wewnętrzny dar, dar Boży, ugruntowany w jego sercu, który pozwalał mu Polskę i Polaków rozumieć nawet bez tej mowy, bez tego języka. Rozumieć jej dzieje, rozumieć jej trudne posłannictwo we wspólnocie ludów i narodów Europy i świata. Rozumieć i głęboko odczuwać jej zmagania o wolność naszą i waszą. Rozumieć i szanować jej wysiłki związane z pragnieniem życia godnego człowieka i godnego Narodu. To wszystko rozumiał swoim sercem. Wprawdzie to serce przestało bić na początku II wojny światowej, ale myślę, że w wymiarach przyszłego wieku, w wymiarach Królestwa Niebieskiego – bije dalej dla tej Polski dzisiejszej, po czterdziestu latach od jego śmierci. Od jego błogosławionej śmierci, która była przejściem do żywota.

Bije więc to jego serce dalej dla Polski. Tak samo jak biło wówczas, kiedy Polska znajdowała się właśnie w latach od trzydziestych dziewiętych począwszy, w strasznym cierpieniu, w strasliwym dziejowym doświadczeniu. Bije to serce dla Polski dzisiejszej, dla Polski 1980 roku. Dla tej Polski, którą my znamy, którą my stanowimy. Dla tej Polski, w której w dzisiejszych dążeniach i doświadczeniach my uczestniczymy. Dla tej Polski, za którą nieustannie się modlimy.

Mamy to przekonanie, że on modli się z nami. I chociaż nie był synem naszej ziemi, jak wszyscy inni

patronowie Polski, począwszy od św. Stanisława, to przecież dzięki charyzmatowi swojego serca stał się jednym z naszych patronów. Bo chociaż Polska nie była jego ziemską ojczyzną, była w jakimś znaczeniu ojczyzną jego duszy.

I to jest, czcigodni i drodzy pielgrzymi, bracia i siostry, to jest źródło tej dodatkowej, a równocześnie tak bardzo wielkiej radości, którą przyniósł mi dzień niedzielny – dzień beatyfikacji bł. Don Luigiego Orione – i dzień dzisiejszy, który jest tej niedzieli dopełnieniem.

Ksiądz Prymas był łaskaw wspomnieć także o wielkim przywiązaniu Błogosławionego do Stolicy Apostolskiej, do osoby następcy św. Piotra, do Papieża. Pozwolę sobie z tego wyciągnąć jeszcze jeden wniosek. Myślę, że ten papież z Polski ma także w niebie nowego patrona, który wstawia się za nim, który z ostatecznej perspektywy Królestwa, do jakiego należymy i do jakiego dążymy, wspiera jego posługiwanie, jego starania i jego ludzką słabość na tym miejscu, na którym Opatrzności Bożej spodobało się go postawić, na które Opatrzności Bożej spodobało się go powołać. I tę wielką ufność w pośrednictwo bł. Don Orione pragnę wyznaczyć wobec was wszystkich, którzy jesteście jego synami i córkami duchowymi i wobec was wszystkich, którzy jesteście moimi rodakami.

W Polsce wiele się modlą za Papieża. Wiele się modlą za Kościół. W mojej kaplicy domowej także często rozbrzmiewa ta pieśń: „Weź w swą opiekę nasz

Kościół święty, Matko Najświętsza, Niepokalana”. Pieśń, którą wszyscy znacie i nieraz śpiewacie. Ta pieśń – modlitwa za Kościół, pieśń – modlitwa za Papieża, za Następcę św. Piotra jest w swej trzeciej zwrotce modlitwą za ojczyznę: „I kraj nasz cały, i lud Twój wierny Tobie, Maryjo, dziś polecamy”. Dziś, podkreślam to dziś. „Niechaj nas zbawi Bóg miłosierny, którego przez Twe Serce błagamy”. Amen.

Z homilii św. Jana Pawła II
wygłoszonej podczas kanonizacji
ks. Alojzego Orione¹⁰

MSZA KANONIZACYJNA

„Pokój mój daję wam” (J 14, 27). W okresie wielkanoctnym często słyszymy te słowa obietnicy, którą Jezus dał swoim uczniom. Prawdziwy pokój jest owocem zwycięstwa Chrystusa nad mocą zła, grzechu i śmierci. Wszyscy, którzy wiernie Go naśladowają, stają się świadkami i budowniczymi Jego pokoju.

W tym świetle chcemy kontemplować postacie sześciorga nowych świętych, których Kościół ukazuje dziś jako godnych powszechnej czci: Alojzego Orione, Hanibala Marii Di Francji, Józefa Manyaneta y Vivesa, Nimatullaha Kassaba al-Hardiniego, Pauli Elżbiety Cerioli, Joanny Beretty Molli.

„Mężowie, którzy dla imienia Pana naszego Jezusa Chrystusa poświęcili swoje życie” (por. Dz 15, 26). Te słowa z Dziejów Apostolskich można odnieść do świętego Alojzego Orione, człowieka całkowicie od-

danego sprawie Chrystusa i Jego królestwa. Cierpienie fizyczne i duchowe, zmęczenie, trudności, niezrozumienie i wszelkiego rodzaju przeszkody naznaczały jego posługę apostołską. „Chrystusa, Kościół, dusze – mawiał – musimy kochać i służyć im na krzyżu, jako ukrzyżowani; inaczej nie kochamy ich i nie służymy im wcale”.

Serce tego stratega miłości „nie znało granic, bo rozszerzyła je miłość Chrystusa”. Gorliwa miłość do Chrystusa była duszą jego odważnego życia, wewnętrzną motywacją bezgranicznego altruizmu, zawsze świeżym źródłem niezłomnej nadziei.

Ten pokorny syn brukarza głosił, że „tylko miłość zbawi świat” i wszystkim powtarzał, że „doskonała radość pochodzi jedynie z doskonałego poświęcenia siebie Bogu i ludziom, wszystkim ludziom”.

Pozdrawiam kardynała arcybiskupa Mediolanu oraz innych obecnych tu dostojników, jak również delegację rządu włoskiego oraz wszystkie osobistości uczestniczące w uroczystości. Pozdrawiam wszystkich, którzy przybyli, by oddać cześć nowym świętym, w szczególności duchowych synów i córki księdza Orione – z Włoch i z różnych części świata.

L'Osservatore Romano; 2004, nr 7-8, s. 8-10.

¹⁰ Homilia wygłoszona podczas kanonizacji ks. Alojzego Orione na placu św. Piotra 16 maja 2004 roku.

Skorowidz osobowy

Albera P., bp 75, 77

Amicis de E. 75

Bandi H., bp 54 – 60, 71, 85, 73 – 74, 76 – 78, 85

Barbarossa F., ces. 135

Belloc H., 128

Benedykt (z Nursji), św. 85

Benedykt XV, pż, 118, 126

Bersani, adw. 96

Bidone P., ks. 18, 19, 26

Bosko J., św. 42 – 45, 47, 51, 52, 55, 85, 114,
123, 127, 186, 237 – 240

Bozzi F. 30, 68

Cavazzoni

sen. 157 – 158, 160

żona sen. 160

Chesterton G.K. 128

Chiarella D., aktor 211, 212

Churchill W. 216

Costamagna K. 183

Cottafavi E., ks. 94

Cottolengo J. B., św. 121, 123 – 124, 153, 240

Cribellati F., bp 98

- Dante A. 75, 114, 159, 195
- Edward II, król 80
- Emanuel III, król 209
- Franciszek (z Asyżu), św. 85, 196
- Fryderyk, król 68, 69
- Gazolo, arch. 186 – 188
- Gemelli A., o. 158
- Goggi G., ks. 77
- Guareschi, 205
- Hażbiewicz J. 129
- Hugel von, baron 102
- Hyde D. 6, 9 – 10
- Jan Paweł II, pż 5, 6, 233, 237, 241, 243, 250
- Jan XXIII (Roncalli), pż 203
- Justo, gen. 154
- Kolbe M. M., św. 242
- La Pira 16, 17
- La Puma, kard. 151
- Lenin 83, 138
- Leon XIII, pż 79, 114
- Malcovati M. A. 167 – 177
- Marabotto B., ks. 129, 242
- Manzoni A. 75, 195
- Medici 187 – 188
- Minoretti, kard. 144
- Misciatelli 118
- Mussolini B. 135, 138, 212 – 213
- Napoleon, ces. 135, 158
- Novelli, ks. 55
- Orione
- K. (Feltri) 24 – 27
- W. 24, 29, 41, 46, 197
- Pasquale, ks. 93
- Paterno, księżna 147
- Paweł ap., św. 5, 114, 235
- Paweł VI (Montini), pż 210
- Pellico 75
- Pensa K., ks. 129
- Perosi
- J. 55, 86
- W., ks. 55, 68, 72, 86
- Piccinini
- K., ks. 106, 170, 215
- Pius X (Sarto), pż 85 – 90, 97, 98, 100 – 102, 106, 115, 118 – 119
- Pius XII (Pacelli), pż 152, 196
- Poggi A. 58, 63
- Pollarolo J., ks. 18
- Sacchi E. 29 – 31
- Schuster I. kard., 151, 156, 189 – 190
- Secchiaroli H., ks. 16 – 17

Segalia, ks. 42, 44 – 45
Silone I. 9, 18, 105, 106, 108 – 110, 138, 228
Sobieraj E., ks. 6
Stassano
 D. 63, 65 – 66
 L. (syn) 57 – 59, 63
Sterpi K., ks. 71, 72 – 74, 77, 96, 120, 127, 128, 155, 191 – 193, 212
Szulczewski R., ks. 128

Vaccari A., ks. 48, 70

Wincenty à Paulo, św. 85
Witkowski T., ks. 6
Wyszyński S., kard. prymas 237 – 242

Zanatta M., ks. 242
Zdzitowiecki S., bp 241

Postowie

I dziś, jak dawniej, mimo technicznego postępu, jest wśród nas tak wielu ludzi potrzebujących: chleba dla ciała i wzmocnienia na duszy. Potrzeba otwartych serc i przygarniających dłoni – jest równie niezbędna i dziś.

Jak św. Matka Teresa z Kalkuty wraz ze swoją „armią miłości”, tak na początku XX wieku, wieku przemian i rewolucji wewnątrz i na zewnątrz człowieka, otworzył swe ogarniające wszelką biedę serce – szalenie Opatrzności Bożej – ksiądz Alojzy Orione.

Oddany całkowicie potrzebującym pragnął całym swoim jestestwem, by tę posługę w imię Jezusa Ukrzyżowanego, pod przemożną opieką Matki Opatrzności Bożej i z błogosławieństwem namiestnika Chrystusowego podejmowali ludzie młodzi, których sam nazywał „słońcem lub burzą przyszłości”. Zaiste, garnęli się oni do tego „Rozbójnika Bożego”, a on tworzył z nich „armię tragarzy Boskiej Opatrzności”, do której zaciągnęli się między innymi i Polacy.

Toteż jako dar Bożej Opatrzności odczytujemy fakt jego wyniesienia na ołtarze właśnie przez papieża Polaka, który o tym Przyjacielu naszego Narodu powiedział: „Polska była ojczyzną jego duszy”.

Dla tych, którzy chcieliby pod sztandarem tego świętego szaleńca Opatrzności służyć człowiekowi potrzebującemu lub wspierać go swym duchem ofiarnym, zamieszczamy dane teleadresowe w celu służenia bliższymi informacjami o Małym Dziele Boskiej Opatrzności:

GAŁĘZIE RODZINY ORIOŃSKIEJ

- Zgromadzenie Zakonne Małe Dzieło Boskiej Opatrzności – Orioniści (FDP)
- Zgromadzenie Sióstr Małych Misjonarek Miłosierdzia – Orionistki (PSMC)
- Orioński Instytut Świecki (ISO)
- Orioński Ruch Świecki (MLO)

Zgromadzenie Zakonne Małe Dzieło Boskiej Opatrzności – Orioniści (FDP)

Zgromadzenie Zakonne Księża Orionistów narodziło się na ziemi włoskiej w 1892 roku, a to dzięki zaledwie wówczas 20-letniemu klerykowi Alojzemu Orione. Już jako kapłan ks. Alojzy Orione założył inne gałęzie Ro-



dziny Oriońskiej, których charyzmatem jest służba najbardziej ubogim, a przy tym kierowanie się wewnętrznym przekonaniem, że „Tylko Miłość zbawi świat!”. Papież św. Jan Paweł II podczas beatyfikacji w 1980 roku nazwał go kolejnym patronem Polski i Polaków, a podczas kanonizacji, która miała miejsce 16 maja 2004 roku określił go mianem „wielkiego stratega miłości”.

W Polsce orioniści prowadzą parafie i dzieła miłosierdzia: między innymi schroniska dla bezdomnych, oratoria – świetlice i ośrodki wychowawcze dla dzieci i młodzieży, hospicjum, domy opieki dla osób chorych, niepełnosprawnych i w podeszłym wieku.

Największym przywilejem Zgromadzenia jest służba ubogim i odrzuconym. Jego zawołaniem jest Pawłowe: „Odnówić wszystko w Chrystusie!” (Ef 1,10). Obejmuje więc wszystkich, którzy cierpią, ale nie mają kogoś, kto by zadbał dla nich o kawałek chleba, dach nad głową, pokrzepienie duchowe.

„Zgromadzenie to – mawiał św. Alojzy Orione – być może ilościowo jest najmniejszym dziełem wiary i miłości spośród dzieł, jakie wypłynęły z Serca Jezusa, ale nie chce być drugie w miłości i służbie Kościołowi, Papieżowi, Ojczyźnie i ludowi”. Ksiądz Orione był przekonany, że świat można zdobyć tylko miłością. To przekonanie ożywia dziś jego duchowych synów: księży, braci zakonnych i pustelników w różnych zakątkach ziemi. Są oni pewni, że – jak mawiał ksiądz Orione: „Tylko miłość zbawi świat!”.

PRZYJDŹ I ZOBACZ!

Informacje dla kandydatów do naszego zgromadzenia
na kapłanów, braci zakonnych lub pustelników:



Dyrekcja Prowincjalna:

ul. W. Lindleya 12, 02-005 Warszawa

tel. 22 622 56 78

www.orione.pl

powolania@orione.pl

Wesprzyj dzieła Miłosierdzia:

Zgromadzenie Zakonne

Małe Dzieło Boskiej Opatrzności

Orioniści Prowincja Polska

Numer rachunku:

PL 73 1600 1127 1841 7763 4000 0011

tytułem: Darowizny na kościelną
działalność charytatywno-opiekuńczą

**Małe
Dzieło
Boskiej
Opatrzności**

Siostry Małe Misjonarki Miłosierdzia (Orionistki PSMC) oraz Siostry Sakramentki Niewidome



GDZIE? Polska i świat.

DLA KOGO? Dla ubogich, opuszczonych, wyrzuconych poza nawias społeczeństwa, w których odkrywamy Chrystusa.

JAK? Przez czystość, ubóstwo, posłuszeństwo, miłość – cztery śluby to cztery drogowskazy na drodze naszego życia oraz przez różne formy posługi apostołskiej, modlitwę, adorację Najświętszego Sakramentu.

DLACZEGO? Aby „żyć Chrystusem, kochać wszystkich w Chrystusie, służyć Chrystusowi w ubogich, odnowić wszystko w Chrystusie, zbawiać zawsze, zbawiać wszystkich z wielkim zapalem i odkupieńczą pasją” (św. A. Orione).

PRZYJDŹ I ZOBACZ!

Kontakt (dla kandydatek do Sióstr Orionistek
i do Sióstr Sakramentek):

Dom Prowincjalny
ul. Piękna 44/46
05-540 Zalesie Górne
tel.: (22) 756-52-26
e-mail: dmp@orionistki.pl
www.orionistki.pl

Orioński Instytut Świecki
(ISO – Istituto Secolare Orionino)

Jesteśmy kobietami, które oddały swoje życie Chrystusowi w odpowiedzi na Jego wezwanie, by pójść za Nim. Jesteśmy konsekrowane Bogu, ale pozostajemy w świecie. Naszym zadaniem jest przemieniać świat od wewnątrz. Dzięki temu, że nie mamy habitu i pracujemy w różnych zawodach, przenikamy wszystkie środowiska; z tego względu zazwyczaj nie informujemy innych o naszym powołaniu. Nasz apostolat dokonuje się przede wszystkim poprzez dawanie świadectwa swoim codziennym życiem, gdy jesteśmy zaangażowane w różnorakie przedsięwzięcia charakterystyczne dla osób świeckich.



Prowadząc życie świeckie, żyjemy według rad ewangelicznych – składamy śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa oraz dodatkowo czwarty ślub, który jest zgodny z charyzmatem oriońskim – szczególnej wierności Papieżowi. Prowadzimy intensywne życie modlitewne, wsłuchując się w Słowo Boże, adorując Najświętszy Sakrament, uczestnicząc codziennie w Eucharystii, dbając o relację z Oblubieńcem.

Instytut jest najmłodszą gałęzią Rodziny Oriońskiej. Ze względu na pochodzenie i charyzmat jest zjednoczony z Małym Dziełem Boskiej Opatrzności. Instytut zachowuje jednak autonomię swojej tożsamości oraz posiada własne struktury i formację.

Będąc w instytucie, tworzymy wspólnotę, która jest bardziej wspólnotą tego samego powołania niż wspólnego mieszkania. Na co dzień pozostajemy w swoich środowiskach, ale spotykamy się na comiesięcznych dniach skupienia oraz corocznych rekolekcjach, które służą naszej formacji, a także wzajemnemu umocnieniu się na tej samej drodze, budowaniu siostrzanej miłości i jedności między sobą, by kroczyć ku zjednoczeniu z Chrystusem i żyć w świecie stylem Ewangelii.

Jesteśmy konsekrowane Bogu.

Jesteśmy zanurzone w świecie.

*Jesteśmy po to, by przemieniać świat od wewnątrz
i odnowić wszystko w Chrystusie.*

Więcej informacji:

www.iso.orione.pl; Facebook
lub kontakt na adres e-mail: iso@orione.pl

**Informacje o rekolekcjach,
pomoc w rozeznawaniu powołania:**

dorota@maryjni.pl

**Orioński Ruch Świecki
(MLO – Movimento Laicale Orionino)**



20 listopada 2012 roku Kongregacja dla Życia Konsekrowanego w Watykanie na mocy dekretu, zatwierdzając nasz statut, uznała Orioński Ruch Świecki za „publiczne stowarzyszenie wiernych świeckich”.

ORŚ tworzą wierni świeccy pragnący żyć charyzmatem św. Alojzego Orione i pokazywać go światu. Życie charyzmatem ks. Orione polega na „życiu i szerzeniu znajomości i miłości Jezusa Chrystusa, Kościoła i Papieża, szczególnie pośród ludu i ubogich najbardziej oddalonych od Boga i najbardziej opuszczo-

nych”, aby każdy człowiek mógł odnaleźć swą własną godność i wolność dziecka Bożego. Wierni z Oriońskiego Ruchu Świeckiego, podobnie jak ks. Orione, ufając Opatrzności Bożej, zobowiązują się do życia charyzmatem i do budowania świata bardziej sprawiedliwego i ludzkiego, mając zawsze na uwadze znaki czasów, aby *Instaurare omnia in Christo* – „Odnowić wszystko w Chrystusie”.

Charakterystycznym aspektem naszej duchowości jest dynamizm miłości, która jest zdolna zbawić świat; czynne zaufanie do Boskiej Opatrzności; umiłowanie Eucharystii, Chrystusa Ukrzyżowanego, Matki Bożej, Kościoła i Papieża; dowartościowanie i szacunek dla osoby, ze szczególnym uwzględnieniem najuboższych, ostatnich i najbardziej oddalonych; duch ewangelicznego ubóstwa i duch rodzinności; misyjność i zaangażowanie na rzecz jedności; optymizm wynikający z wiary, radość, pokora, prostota, nadzieja, gościnność, współzawodnictwo i duch dostosowania się do trudu; przedsiębiorczość, dyspozycyjność i wrażliwość na nowe formy ubóstwa.

Przekazywanie elementów oriońskiego charyzmatu odbywa się poprzez projekt formacji, który przewiduje:

- pogłębianie znajomości faktów z życia Założyciela, Świętych z Rodziny Oriońskiej i poznawanie Małego Dzieła Boskiej Opatrzności;

- współuczestnictwo w momentach życia Rodziny Oriońskiej, w jej świętach, w działalności charytatywnej, w pielgrzymkach do miejsc oriońskich, w czasie modlitwy, w spotkaniach formacyjnych i dniach skupienia Rodziny Oriońskiej.

Orioński Ruch Świecki jest otwarty dla wszystkich bez względu na kolor skóry, dla wszystkich, którzy chcą poznawać piękno charyzmatu ks. Orione (charyzmatu MIŁOŚCI), żyć nim i wypełniać go. Znajdziesz nas wszędzie tam, gdzie są księża orioniści i siostry orionistki: w parafii oriońskiej i dziele prowadzonym przez te Zgromadzenia zakonne.

Adres siedziby:

Orioński Ruch Świecki (MLO)
ul. W. Lindleya 12
02-005 Warszawa
Tel. 22 6225678
www.mlo.donorione.org



Fundacje

- Fundacja Księdza Orione Czyńmy Dobro
- Fundacja Iskra Bożej Opatrzności

Fundacja Księdza Orione Czyńmy Dobro



Nasza Fundacja działa od 2007 roku. Misja – wypełnienie duchowego testamentu Patrona poprzez pochylanie się nad potrzebującymi, prowadzenie ich

do Jezusa oraz czynienie dobra zawsze wobec wszystkich. Pomoc realizowana jest w różnych obszarach poprzez projekty oriońskie, misyjne, humanitarne, indywidualne i ekologiczne. Wsparcie trafia do dzieci i młodzieży oraz dorosłych. Podopiecznymi Fundacji są osoby chore, niepełnosprawne, w trudnej sytuacji życiowej, zagrożone wykluczeniem. Obszar działania: Polska, Białoruś, Ukraina, Kenia, Madagaskar.

Adres siedziby głównej:

Fundacja Księdza Orione Czyńmy Dobro
ul. Williama Lindleya 12, 02-005 Warszawa
fundacja@czynmydobro.pl
czynmydobro.pl
facebook.com/czynmy.dobro
KRS 0000-282796
Numer 09 1240 1053 1111 0010 1452 8931
tytułem: darowizna na cele statutowe





FUNDACJA ISKRA BOŻEJ OPATRZNOŚCI

WYDAWCA:

ORIONE.PL, FILMY DOKUMENTALNE,
AUDIOBOOKI, KSIĄŻKI I INNE PUBLIKACJE KATOLICKIE

WWW.FIBO.ORG.PL
WWW.ORIONE.PL

